

Paulina  
KUZAWIŃSKA

# DAMA Z WAHADEŁKIEM

Granice pomiędzy  
miłością i zbrodnią  
zaczynają zacierać się  
we mgle...



LIRA  
WYDAWNICTWO

Paulina  
KUZAWIŃSKA

**D**A  
MAMA  
Z WAHADEŁKIEM

L  R A  
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2019

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2019  
© Copyright by Paulina Kuzawińska, 2019

Projekt okładki: Teresa Chylińska-Kur, KurkaStudio  
Zdjęcie na okładce: © Raisa Kanareva/Stock Adobe  
Zdjęcie Pauliny Kuzawińskiej: archiwum prywatne

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora  
Redakcja: Ewa Popielarz  
Korekta: Marek Kowalik  
Skład: Igor Nowaczyk






Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska

Lira Publishing Sp. z o.o.  
Wydanie pierwsze  
Warszawa 2019

ISBN: 978-83-66229-68-6 (EPUB); 978-83-66229-69-3 (MOBI)



[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

Dedykacja

Prolog

1. Powrót na wrzosowiska
2. Świat we mgle
3. Ostatni goście
4. Wahadełko
5. Światło z zaświatów
6. Cień podejrzeń
7. Tajemnica Gabriela Ackroyda
8. Smocza krew
9. W sieci podejrzeń
10. Sekret naszyjnika
11. Księżycowa muzyka
12. Twarz upiora
13. Maska śmierci
14. Drugie uderzenie
15. Nie zmienisz przeszłości
16. Doktor Watson
17. Pierwsze pytania
18. W ogrodzie smutku
19. Czarna suknia
20. Pogrzeb
21. Dziedziczka

22. Wyrzuty sumienia

23. Oszustka

24. Łzy Anny

25. Ogień i woda

26. Przy żywopłocie

27. Odcienie czerwieni

28. Walizka

29. Bukiet

30. Samotna wysepka

31. Jaskinia

32. Duchy we mgle

33. Gorączka

34. Cała prawda

Epilog: Powiew jesieni

Przypisy

*Dla moich Najbliższych*

# PROLOG

Zwłoki leżały w wodzie, twarzą w dół – na powierzchni falowały ciemne włosy, niczym kępki dziwnych wodorostów. Zabity człowiek miał szeroko rozrzucone ręce i nogi. Kredowoblade, niemal sine dłonie zdawały się opuchnięte, rozdęte od wody, niczym jasne brzuchy martwych ryb. Mężczyzna – jego płęć poznałam po ubraniu – musiał nie żyć od dłuższego czasu. Przemykający po skałach krab, którego widocznie spłoszyłam, przywrócił mnie do rzeczywistości.

Obrzydliwy odór śmierci trącał moje nozdrza i kazał skrecać się wszystkim wnętrznościom – podziałał na mnie mocniej niż sole trzeźwiące. Odwróciłam się i wymiotowałam.

Dopiero wtedy mój mózg zaczął pracować gorączkowo niczym kocioł pędzącej lokomotywy.

# 1. POWRÓT NA WRZOSOWISKA

Kiedy lokomotywa wtoczyła się na stację kolejową w Torquay, siedziałam w przedziale z twarzą niemalże przyklejoną do szyby. Ku mojemu rozczarowaniu nadmorskie miasteczko tonęło spowite w gęstych mgłach – jak gdyby to buchająca z sykiem para, która wprawiała w ruch pociąg przez całą drogę z Londynu aż na północ Półwyspu Kornwalijskiego, zawisała teraz między dachami domów. Torquay pojawiło się, a potem prędko znikło, niczym siedlisko ludzkie ukryte w chmurach. Bryczka, którą ciotka Hortense wysłała po mnie na stację kolejową, podskakiwała na wybojach od chwili, gdy opuściliśmy ostatnią zabudowaną uliczkę.

Na przekór trwającemu latu musiałam ciasno otulić się peleryną, żeby wśród białych oparów nie zacząć dygotać z zimna. Pomyślałam, że nazwa posiadłości, w której miałam spędzić najbliższe tygodnie, idealnie pasuje do obecnej aury – Wzgórze Mgieł. Dom mojej ciotki znajdował się kilkanaście mil od Torquay w hrabstwie Devon, pośród bezkresnych, dzikich wrzosowisk Exmoor. Górował nad okolicą złożoną z kopulastych wzgórz i rozsianych między nimi zagajników. Wrzosowiska opadały wprost do oceanu stromymi, białymi jak kość klifami, o które nieustannie biły kapryśne fale. Podobno nazwa „Torquay” wzięła się od zmienności koloru tutejszych wód. Zazwyczaj morze wydawało się szare, lecz w niektóre, jasne i słoneczne dni stawało się turkusowe...

Rozglądałam się teraz z powozu po surowym krajobrazie, który przypominał mi dzieciństwo. Miałam wrażenie, że dobiegło ono



końca zaledwie przed chwilą. Spędziłam we Wzgórzu Mgieł niejedne wakacje w czasie, kiedy moje serce było wolne od obecnych trosk, a dorośli z większą niż dziś pobłażliwością spoglądali na ekscesy dziewczynki – a nie młodej damy.

Jednym z owych dorosłych z mojego dzieciństwa był siedzący teraz na kozle pan Smith. Niegdyś opiekował się ogrodem mej ciotki – już wówczas był wiekowym mężczyzną. Przez te lata bardzo mocno się postarzał. Było mi smutno, bo za wyjątkiem powitania nie odezwał się do mnie dotąd ani słowem. Od czasu do czasu potrząsał lejcami i cicho pogwizdywał pod nosem – chyba w zamierzeniu jego gwizdy, przypominające wołanie smutnego ptaka, miały układać się w jakąś nuconą w myślach melodię. Próbowалаm go zagadywać, ale bez skutku. Stary ogrodnik od rozmowy ze mną wolał swoje świergotliwe nucenie.

Droga zaczynała mi się dłużyć, a dookoła robiło się coraz ciemniej. Przez krótką chwilę pomyślałam z tęsknotą o Londynie. Zostawiłam za sobą wielkie miasto z jego gazowymi latarniami, które nocą rozsiewały zielonkawe światło, z jego podziemną kolejką i z setkami kołyszających się po ulicach wygodnych dorożek. Zamiast tego na jakiś czas miałam zamieszkać w odludnej wiejskiej siedzibie bez elektryczności ani żadnych nowoczesnych udogodnień. Pomyślałam z odrobiną przestachu, że czeka mnie tam samotność i pustka. Przygryzłam usta.

Czyż nie tego pragnęłam? Czyż nie chciałam uciec od wszystkiego i od wszystkich?

Pochyliłam się lekko do przodu, żeby spróbować znowu zagadnąć pana Smitha, kiedy coś nagle przykuło moją uwagę. Pośród snujących się po wrzosowisku kłębow mgły ujrzałam jeźdźca. Pędził na grzbiecie ciemnego konia i zbliżał się ku nam z oszałamiającą prędkością. Dosiadający wierzchowca mężczyzna pochylał się nisko

nad szyją zwierzęcia. Zdawało mi się, że pragnie nas dogonić. Moje serce забиło szybciej, bo przestraszyłam się, że to jakiś posłaniec z posiadłości i że coś stało się mojej ukochanej ciotce Hortense. Już miałam kazać stangretowi zatrzymać powóz, kiedy jeździec osadził konia w miejscu. Wierzchowiec stanął dęba, bijąc powietrze przednimi kopytami. Wychyliłam się z powozu. Końskie kopyta z impetem uderzyły o ziemię, a ja ujrzałam twarz nieznanego. Przeszyło mnie spojrzenie ciemnych oczu. Był młody, ciemnowłosy... Na jego twarzy malował się jakiś przejmujący smutek. Poczułam nagły, szaleńczy łomot własnego serca. W następnej chwili skłębione opary przesłoniły męską sylwetkę. Jeździec pogalopował w gęstą mgłę. Tętent kopyt poniósł się w niej stłumionym, miękkim echem.

Zaczął siąpić drobny deszcz – półotwarty powóz nie chronił przed nim zbyt dobrze. Poczułam osiadającą na twarzy i włosach wilgoć i naciągnęłam głębiej pelerynę. Na szczęście zza zakrętu drogi wyłaniały się rozmazane jeszcze nieco światła Wzgórza Mgieł.

\* \*

– Madeline! Jak cudownie, że jesteś! – Moja ciotka, lady Hortense Lancey, powitała mnie w przestronnym holu wychodzącym na rześcicie oświetlony salon, z którego na piętro prowadziły dwie pary wygiętych w miękkie łuki, starych dębowych schodów. Razem z jej okrzykiem radości dobiegł mnie znany zapach pasty do czyszczenia podłóg, woń suszonej lawendy i aromat mocnej herbaty w filiżankach w słońce, podarowanych ciotce przez świętej pamięci wuja Rogera na pamiątkę ich podróży do Indii. Uścisnęłam serdecznie staruszkę, której szczupła postać skurczyła się od mojej ostatniej wizyty. Poczułam ogarniające mnie wzruszenie i radość, że znowu mogę gościć w jej domu. Jego zapach, jego grube kamienne ściany, obrazy i pociemniałe drewniane boazerie budziły

najpiękniejsze wspomnienia.

– Biedactwo! Jesteś cała przemoczona! Rosalind, bądź tak dobra i przygotuj gorącą kąpiel dla panienki Madeline! To przywróci ci siły po podróży, moje dziecko.

Wpadłam w ramiona Rosalind – energicznej, starszej wiekiem kucharki, która niegdyś była dla mnie jak babka. Dopiero kiedy po dłuższej chwili się z nich oswobodziłam, usłyszałam z salonu męski głos.

– Gdyby mnie uprzedzono, że tak śliczna panna przyjeżdża dzisiejszym pociągiem do Torquay, sam odebrałbym panią ze stacji automobilem.

Pan Smith właśnie wniósł moje bagaże, zaś do holu wszedł młody mężczyzna w surducie, o gęstych miodowozłoty włosach i intensywnie niebieskich oczach. Prowadził pod rękę starszą pulchną damę o ustach mocno zaznaczonych czerwoną szminką.

– Madeline, to moja droga przyjaciółka Flora Jones. Na pewno ją pamiętasz. W końcu jesteśmy z Florą niemalże jak siostry, przyjaźnimy się od dziecka. A ten przystojny młodzieniec to jej siostrzeniec, Clark Cagwar.

Wysoki blondyn ujął mą dłoń i szarmancko ucałował akurat to miejsce, na którym jeszcze do niedawna nosiłam pierścioneck...

– Flora dopiero co wróciła z rocznej podróży do Ameryki i przywiozła do Torquay mnóstwo nowin – szczebiotała radośnie ciocia Hortense. – Pewnie w Londynie słyszałaś już o wirujących stolikach? W Ameryce Flora odkryła w sobie niezwykle zdolności. Jestem taka podekscytowana! Tylu gości naraz! – Ciotka klasnęła w ręce. – Jutro planujemy urządzić seans!

– Jaki seans? – spytałam pospiesznie, zarazem onieśmielona niebieskimi oczami Clarka i zdezorientowana potokiem słów wypływającym z ust ciotki.

– Seans spirytystyczny, oczywiście! Flora odkryła w sobie cechy najprawdziwszego medium! Rozmawia z duchami! Już kilka znaczniejszych rodzin w okolicach Torquay skorzystało z jej daru, żeby móc poczuć obecność zmarłych bliskich! – Ciozia ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do salonu.

Podczas gdy Hortense mówiła nieprzerwanie, uświadomiłam sobie, że słyszałam już o „wirujących stolikach”. Owo określenie narodziło się za oceanem i przeniosło się do Anglii tak jak i szerząca się w Londynie moda na towarzyskie spotkania, w trakcie których próbowano wejść w kontakt z duchami. W pewnej gazecie pisano nawet, że komuś udało się przywołać zjawę jednej z sióstr Fox, które przed laty zapoczątkowały w Stanach obecną modę na seanse spirytystyczne.

Na myśl o udziale w podobnym wieczorze poczułam lekki dreszczyk ekscytacji. Może tego właśnie było mi trzeba? Chwilowego oderwania się od rzeczywistości...

Upiłam łyk herbaty z niejasną myślą, że w Londynie zaczynałam się już dusić. Odkąd pamiętałam, ojciec wychowywał mnie pod kloszem i bardzo po staroświecku – jeszcze do niedawna nieodzowną towarzyszką moich dni była francuska guwernantka. Odetchnęłam głęboko pełną piersią – jakbym wciągała w płuca upragnioną wolność – taką, jaką obdarzano mnie tu w dzieciństwie. W domu ciotki Hortense zawsze czułam się swobodnie i inaczej...

Dwie starsze panie rozsiadły się na kanapie, a ja i Clark Cagwar przysłuchiwaliśmy się ich paplaninie.

– Pani ciotka to urocza osoba – odezwał się mężczyzna.

Na moją twarz wypłynął lekki uśmiech.

– To prawda. Myślę, że można powiedzieć to również o pańskiej ciotce. Chociaż muszę wyznać, że to, co razem planują, wydaje mi się trochę niesamowite. Czy myśli pan...

– Proszę mi mówić Clark.

Skinęłam głową na tę propozycję, odrobinę speszona.

– Madeline.

– Przerwałam ci, to było niegrzeczne z mojej strony. O co zatem chciałaś spytać, Madeline?

– Czy pani Flora... ukhm... jest przekonana do tego, co robi?

Clark uśmiechnął się ciepło, nachylił się ku mnie i rzucił konfidencjonalnym szeptem:

– Dziwactwa starszych pań! Mają do nich prawo, czyż nie? Kto wie, jacy my będziemy w ich wieku?

Uśmiechnęłam się na tę uwagę, ale nadal miałam wątpliwości. Clark to zauważył.

– Czyżbyś wierzyła w duchy, Madeline?

– Sama nie wiem, czy w nie wierzę. Ale jest tyle spraw, których nauka do tej pory nie potrafi wyjaśnić...

– Zatem przyjdiesz na seans z otwartym umysłem. To bardzo dobrze. Przyda się ktoś taki.

– Ty też tam będziesz?

Przytaknęłam.

– Chcę sprawić przyjemność ciotce Florze. Poza tym lubię obserwować typy najrozmaitszych ludzkich postaw i zachowań, a tego rodzaju wydarzenie wiele mówi o psychicznym życiu uczestników.

Ostatnie słowa Clarka sprawiły, że drgnęłam.

– Czyżbyś interesował się pracami Zygmunta Freuda? – spytałam bez zastanowienia.

Oczy mu błysnęły i spojrzał na mnie z szacunkiem.

– Owszem, ale nie poznałem jeszcze damy, którą by zajmowały jego poglądy na ludzką naturę.

– Czytałam jedynie jego *Objaśnianie marzeń sennych* – odrzekłam

cicho i poczułam, że się rumienię.

Nie chciałam dodawać, że zainteresowałam się Freudem i jego kontrowersyjną teorią psychoanalizy głównie z powodu dręczących mnie koszmarów, które zaczęły się pewnego lata w dzieciństwie właśnie tutaj, niedaleko posiadłości Wzgórze Mgieł.

Zamilkłam, co Clark niewątpliwie wziął za oznakę kobiecej skromności.

– Wybacz, nie chciałem cię spieszyć. Zdajesz mi się niezwykle ciekawą osobką, Madeline. Cieszę się, że będziemy widywać się tego lata.

– Więc spędzasz wakacje u twojej ciotki Flory?

– Nie – spoważniał. – Moja rodzina pochodzi z okolicy. Po śmierci ojca postanowiłem zamieszkać na jakiś czas w posiadłości moich rodziców. Prawdę mówiąc, zamierzam sprzedać dom po ojcu, ale na razie muszę uporządkować sprawy majątku... W tym roku ukończyłem studia prawnicze. Przyda mi się chwila przerwy, zanim rozpocznę pracę w zawodzie w Londynie.

Upiłam kolejny łyk herbaty. W salonie było przyjemnie ciepło, w kandelabrach na komodzie płonęły świece. Wreszcie poczułam, że mogę się odprężyć. Choć bardzo odpowiadało mi towarzystwo Clarka, ucieszyłam się, kiedy niebawem on i pani Flora się pożegnali. Za wysokimi oknami starego domostwa zakasłał silnik tajemniczego samochodu, a ja mogłam z rozkoszą zanurzyć się w wypełnionej parującą wodą wannie na mosiężnych lwich łapach. Dopiero wówczas poczułam, jak odpływa ze mnie zmęczenie podróżą. Pobyt w Torquay miał uleczyć moje złamane tej wiosny serce i po raz pierwszy od długich tygodni zasnęłam z ożywczą myślą, że to naprawdę może się udać.

\* \*

Kiedy rankiem zbudziłam się w świeżej pościeli w wielkim drewnianym łożu otulonym baldachimem, nad wrzosowiskami za oknem szemrał deszcz. Niebawem jednak kilka nieśmiałych promieni słońca zaczęło prześlizgiwać się po ścianach mojego pokoju pokrytych tapetą w blad różowe kwiaty. Do sypialni przylegała łazienka – po umyciu się włożyłam suknię i usiadłam przed toaletką z wielkim lustrem, żeby upiąć włosy. W Londynie najczęściej pomagała mi w tym pokojówka, ale tutaj, na wsi, wolałam nosić zarówno mniej wyszukany strój, jak i prostszą fryzurę, które zawsze bardziej mi odpowiadały. Rozplątałam spleciony na noc warkocz i przyjrzałam się krytycznie swojemu odbiciu. Rozczarowanie i ból złamanego serca pozostawiły ślad na mojej twarzy. Byłam bledsza i chudsza niż jeszcze dwa miesiące temu, a pod oczami miałam lekkie cienie. Mimo to pomyślałam z nadzieją, której źródła nie potrafiłabym wskazać, że choć nigdy nie olśniewałam urodą, to w mojej twarzy nadal tkwiło coś interesującego. Za jej największą ozdobę uważałam oczy o orzechowym odcieniu, odziedziczone podobno po babce, lady Greenwood, której nie dane mi było poznać. To po niej dostałam również drobny, lekko zadarty nos i łagodną linię podbródka. Moje niesforne, lekko falujące ciemne włosy, latem rozjaśnione przez słoneczne refleksy, niestety potęgowały wrażenie bladości, która od zawsze była moją największą bolączką.

Zeszłam po schodach do niewielkiej, przytulnej jadalni, z której ciotka Hortense korzystała od śmierci wuja Rogera. Napływał stamtąd aromat świeżo zmielonej kawy, smażonych jajek, grzanek i konfitury. Rosalind właśnie nalewała kawy do dzbanka.

- Dzień dobry – przywitałam się z uśmiechem.
- Dzień dobry, panienko Madeline.
- Czy mogę w czymś pomóc?
- Dziękuję, nie trzeba.

– Ciocia już wstała?

– Skoro świt. Kończy wypisywać bileciki z zaproszeniami na seans z duchami, który ona i pani Flora zamierzają zorganizować dziś wieczór. – Zawahałam się. – To nie moja sprawa, ale czy to aby na pewno nie grzech? Jak panienka sądzi? Artur ma doręczyć zaproszenia po śniadaniu...

W tym momencie zjawiała się ciocia. Była podekscytowana i radosna, jak gdyby wróciły jej zdrowie i siły, na których brak narzekała w ostatnich listach. Pomyślałam, że tak podziałał na nią powrót do Torquay jej starej przyjaciółki, pani Flory, a także, jak sądziłam, mój przyjazd. Uśmiechnęłam się. Poczułam się lepiej na myśl, że choć okoliczności mojego przybycia do Wzgórza Mgieł były dla mnie bolesne, to jednak wniosłam mały promyczek radości w życie ciotki. Liczyłam na to, że i na mnie on spłynie. Dobre emocje rozkwitają, kiedy się nimi dzielimy.

– Brakowało mi ciebie, Madeline! – wyznała Hortense. – Popatrz na siebie! Jeszcze wczoraj byłaś dzieckiem, a dziś jesteś prześliczną młodą kobietą! Wczoraj wieczorem siostrzeniec Flory nie mógł oderwać od ciebie oczu...

Nie byłam jeszcze gotowa na podobne rozmowy o mężczyznach. Ciotka wyczuła to chyba i gładko zmieniła temat.

– Tak się cieszę z powrotu Flory z Ameryki! To wspaniale, że po latach pogodziła się z siostrą.

– To znaczy z matką Clarka? – spytałam i upiłam spory łyk kawy z bładoniebieskiej porcelanowej filiżanki. Smakowała wybornie.

– Tak. Rodzina Clarka pochodzi z tych okolic, lecz jego matka, siostra Flory, opuściła ojca Clarka dla jakiegoś słynnego aktora. Nie pamiętam dziś już nawet jego nazwiska... Uciekła z nim do Ameryki. Flora nie utrzymywała z nią kontaktu, ale w końcu postanowiła to zmienić. Ojciec Clarka zachował się szlachetnie, zapisał wszystko



synowi, a wiem, że i Flora chce uczynić z siostrzeńca swego jedyne go spadkobiercę. Ludzie pragną naprawić relacje z najbliższymi, kiedy zbliża się starość, a razem z nią myśl o śmierci.

Skinęłam głową.

– Pani Flora nie tylko pogodziła się z rodziną siostry, ale także zainteresowała się spirytyzmem.

Po obliczu ciotki Hortense przemknął cień smutnego uśmiechu. Mimo upływu lat ta szczupła twarz zachowała jakąś ujmującą, wewnętrzną świeżość, a jej oczy – szlachetny kolor szmaragdów. Natychmiast przykuwały wzrok rozmówcy, odwracając go od siwizny i licznych zmarszczek. W młodości Hortense była piękna niczym wiosna; obecnie, w jesieni życia, jej uroda zmieniła się, ale nie przeminęła. Starość u tej kobiety zdawała się być tylko zsuniętą na twarz woalką jednego z jej eleganckich kapeluszy.

– To prawda – westchnęła i odłożyła na brzeg spodka malutką srebrną łyżeczkę. – Wyznam ci w sekrecie, że Flora jest poważnie chora. Nie wie, ile czasu jej zostało. Możliwość spotkania bliskich zmarłych uśmierzyła chyba jej lęk przed śmiercią. Dzięki niej czuję teraz to samo. Ogarnia mnie spokój. Tak bardzo chciałabym znowu zobaczyć mojego drogiego Rogera!

Ostatnie zdanie wyrzekła niemal z rozmarzeniem.

Pierwszą połowę dnia spędziłam z ciotką. Koło południa starsza pani poczuła się zmęczona i postanowiła uciąć sobie drzemkę przed wydarzeniami tego wieczoru. Ja wybrałam się na spacer po wrzosowiskach. Po tym, co mnie spotkało w Londynie, łaknęłam samotności, a tej sprzyjały tutejsze puste krajobrazy.

Lekki wiatr szeleścił moją suknią i przyjemnie pieścił twarz, niosąc wspomnienia dni spędzonych tu w dzieciństwie. Błękitne niebo przecinały szare chmury, przypominające stada owiec przemierzających bezkresne łąki. Pogрузyłam się w zadumie i nawet

nie spostrzegłam, kiedy wydeptana wśród wrzosów ścieżyna doprowadziła mnie nad ocean. Jego fale rozpryskiwały się u podstawy klifów, zwiastując nadchodzący przypływ. Patrzyłam na morze i w jednej chwili oczy zaszyły mi łzami.

*Moja miłość jest wieczna, Madeline. Jak ocean – usłyszałam w myślach słowa wypowiedziane pewnego wieczora w Londynie przez Edmunda. – Ma swoje przypływy i odpływy, ale w głębi moje przywiązanie do ciebie jest niewzruszone i stałe.*

## 2. ŚWIAT WE MGLE

*Edmundzie, dlaczego nie byłeś szczery? Dlaczego moje pierwsze prawdziwe uczucie okazało się kłamstwem?*

Otarłam wierzchem dłoni pojedynczą łzę, która uczepiła się mego podbródka. Wiatr znad fal osuszył zostawiony przez nią ślad na policzku. Nie wiedzieć czemu pomyślałam o samotnym jeźdźcu, którego spotkałam wczoraj w czasie podróży przez wrzosowiska. Dlaczego zatrzymał konia tak blisko bryczki, po czym nawet się nie przedstawił? Pomyślałam z odrobiną gorzkiej ironii, że manieri mieszkańców tych odludnych okolic znacznie odbiegają od uprzejmości i towarzyskiej ogłady, do jakich przywykłam w Londynie. Z drugiej strony może w milczącej obojętności tkwiła przynajmniej szczerść. Tej ostatniej niestety brakowało licznym osobom należącym do londyńskiej socjety...

Obojętność... Tego właśnie dla siebie pragnęłam.

Zdobyć się na obojętność wobec plotek i palących jak policzek spojrzeń.

Westchnęłam cicho i spojrzałam w dół, na biały piasek pomiędzy skałami, które z wolna zalewała woda.

Serce mocno załomotało mi w piersi.

Znad oceanu zaczynała napływać mgła, lecz mimo to wyraźnie dostrzegłam sylwetkę mężczyzny na plaży.

Oddalał się ode mnie, był odwrócony plecami. Nie mógł mnie zobaczyć ani tym bardziej usłyszeć. Niemniej musiałam krzyknąć, gdyż przeszył mnie strach.

Nie o siebie.

O niego.

*Czyżby nie wiedział, że właśnie zbliża się przyptyw?!*

*Jeżeli natychmiast nie opuści plaży, ocean na zawsze uwięzi go pod tymi klifami!*

– Proszę uciekać! – zawołałam z desperacją, próbując przekrzyczeć coraz mocniejsze fale i morski wiatr. – To bardzo niebezpieczne! Proszę uciekać! Hej! Hej!

Ostatni okrzyk zamarł mi na ustach. Nieznajomego przysłonił tuman białej mgły. Jednocześnie mocniejszy podmuch wiatru zaszeleścił moją suknię i uniósł nad ziemię lekkie muślinowe falbany. Odwróciłam się ku wrzosowiskom i serce zabiło mi jeszcze szybciej. Wiatr pędził coraz gęstsze tumany mgły – w parę chwil przykryły wrzosowisko grubą kurtyną.

*Jeszcze chwila, a zostanę uwięziona na szczycie klifu niczym rozbitek pośrodku morza obłoków!*

Zebrałam suknię i szybkim krokiem ruszyłam w kierunku domu ciotki Hortense. Na twarzy i włosach osiadała mi teraz wilgoć. Pospieszny marsz potęgował nieprzyjemne wrażenie, że suknia nasiąkła wodą i stała się ciężka. Piękny jasny materiał ciągnął mnie ku ziemi, krępował ruchy i plątał się wokół moich stóp.

Nie wiem, po jakim czasie zdałam sobie sprawę, że nie potrafię już odnaleźć ścieżyny, która przywiodła mnie nad ocean. Dookoła widziałam tylko biel. Samotne drzewa i oddalone zagajniki zmieniły się w zawieszony w pustce bezkształtne cienie. Nawet granica pomiędzy ziemią a niebem się dla mnie zatarała...

Zrobiło się chłodno. Wraz z zimnem poczułam przejmujący, przenikający moje ciało strach. Zaczęłam iść coraz szybciej, potem biec. Próbowałam odnaleźć jakikolwiek szczegół krajobrazu, który wskazałby mi drogę do domu. Nagle w oddali dostrzegłam zbliżające

się ku mnie rozmazane światło. Miałam wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim usłyszałam stukot kopyt i turkotanie bryczki. Woźnica, który przypominał teraz plamę cienia, zeskoczył z kozła i uniósł wysoko przeszkloną latarenkę z migoczącym wewnątrz płomieniem. Byłam tak przerażona, że dopiero ów pradawny, zaklęty w tysiącach ludzkiej historii widok ujarzmionego ognia upewnił mnie, że mam do czynienia z żywym człowiekiem...

– Panienska Madeline? – usłyszałam zdziwiony męski głos.

Głos zmienił się, nabrał głębokich tonów, ale i tak rozpoznałam go natychmiast.

– Dzięki Bogu, że to ty! – szepnęłam i odetchnęłam z bezgraniczną ulgą.

To był Artur, syn starego ogrodnika ciotki, pana Smitha. Wracał z objazdu po paru okolicznych domach, gdzie rozwiózł zaproszenia na dzisiejszy seans spirytystyczny Flory Jones.

Młody mężczyzna pomógł mi wgramolić się do powozu i otulił moje ramiona pledem.

– Jest panienska całkiem zziębnięta!

Nie odpowiedziałam, a on po prostu machnął lejcami. Bryczka ruszyła z miłym dla ucha turkotem kół.

– Wybrałam się na spacer i zaszłam chyba za daleko. – Spróbowałam lekko się uśmiechnąć i odkryłam, że nawet mięśnie twarzy mam całkiem stężałe od chłodu. Woźnica mógł zobaczyć tylko mój niewyraźny grymas.

W milczeniu dryfowaliśmy bryczką przez mgłę. Jako dzieci Artur i ja bawiliśmy się razem na tych wrzosowiskach. Prawdę mówiąc, byliśmy nierozłączni... Siedziałam obok niego na kozle i poczułam się bardzo dziwnie na myśl, że czasy, kiedy mówił mi po imieniu, dawno odeszły. Teraz byłam dla niego „panienką”.

Gdzieś po głowie snuła mi się chęć zapytania, czemu to on nie

przyjechał po mnie wczoraj na stację. Czy po tym, co przydarzyło się nam dwojgu w dzieciństwie, mój przyjazd wywoływał w nim przykre wspomnienia?

Walczyłam ze sobą chwilę, ale nie miałam dość śmiałości, żeby go o to spytać. Tymczasem najwyraźniej przez ostatnie lata Artur stał się takim samym milczkiem jak pan Smith. Nie wiem, dlaczego zaniepokoiło mnie to nagłe podobieństwo starego ojca i jego młodego syna. A może mój niepokój był po prostu wyrzutem sumienia, do którego nie chciałam się przed sobą przyznać?

Mimo upływu czasu nadal istniały sprawy, o których nie potrafiłam rozmawiać otwarcie.

– Powinna panienka bardziej uważać – zauważył w końcu Artur, przerywając długotrwałą ciszę, jaka między nami zapadła. – Tutejsze mgły bywają niezwykle zdradliwe. Jest panienka bardzo daleko od domu. Cóż za szczęście, że akurat przejeżdżałem i zauważyłem panienkę na drodze.

Nie mogłam uwierzyć, że nie wiedząc o tym, stałam pośrodku drogi. Gdyby Artur nie pojawił się właśnie w tej chwili, zapewne po prostu bym ją minęła i obecnie nadal błąkałabym się po wrzosowiskach. Mogłabym trafić na bagna albo, co gorsza, zgubić się i zawrócić nad krawędź klifów...

– Masz całkowitą rację. – Skinęłam głową. – Nie było mnie tutaj parę lat i najwyraźniej zapomniałam, dlaczego posiadłość ciotki Hortense nosi nazwę Wzgórze Mgieł.

– Najwyraźniej. – Artur uśmiechnął się szerzej. Nie mogłam nie zauważyć, jak bardzo wyprzystojniał od czasu, kiedy ostatni raz bawiliśmy się razem, jeszcze jako dzieci. – Na szczęście konie z oddali wyczuły człowieka. Zaczęły parskać na wiatr i się niepokoić. Dlatego domyśliłem się, że ktoś stoi na drodze. Gdyby zamiast powozu jechał wtedy automobil pana Clarka, mogłoby dojść do wypadku... – mruknął

woźnica i zawiesił głos.

Wyczułam, że albo nie przepada za Clarkiem Cagwarem, albo ma zastrzeżenia co do jego samochodu... Ten wynalazek ostatnich lat zyskiwał sobie pierwszych zwolenników w Londynie, lecz tutaj, na wsi, nie był jeszcze nazbyt częstym widokiem. A przy tym „mechaniczny powóz” kosztował fortunę.

– Wiele osób sądzi, że automobile to przyszłość – powiedziałam. – Czyżbyś nie podzielał ich zdania?

Artur wzruszył ramionami.

– Nie wiem, dlaczego ponad żywe istoty człowiek miałby przedkładać maszynę.

– Maszyny są niezawodne – rzekłam z namysłem. – Robią to, czego żąda od nich człowiek.

Artur zmarszczył ciemne brwi i lekko machnął lejcami.

– Ale w odróżnieniu od maszyn konie mają instynkt przetrwania.

Kiedy zajechaliśmy przed dom ciotki Hortense, mężczyzna wyciągnął ku mnie ramiona i pomógł mi zsiąść z kozła. W podzięce lekko ścisnęłam go za rękę. Miałam wrażenie, że przytrzymał moją dłoń odrobinę dłużej, niż było trzeba, ale mogło mi się tylko zdawać.

Postanowiłam szybko przemknąć do mojego pokoju, żeby zmienić suknię i osuszyć wilgotne włosy. Nie chciałam, żeby ciotka Hortense zobaczyła mnie w ubłoconej spódnicy, z bladą twarzą i ustami sinymi od zimna... Nie miałam też ochoty tłumaczyć się starszej pani z mojej nieostrożności. I tak już zbyt wiele stresów przeżyła przeze mnie przed laty. Przed przyjazdem do Torquay obiecałam sobie, że tym razem nie dam Hortense powodów do zmartwień.

Dopisało mi szczęście – w salonie nie było nikogo. Cicho wbiegłam na górę po dębowych schodach. Położyłam dłoń na chłodnej, mosiężnej klamce od drzwi mego pokoju i rzuciłam czujne spojrzenie ku sypialni ciotki. Wówczas wzdłuż kręgosłupa przemknął mi lekki

dreszcz.

W głębokim cieniu ujrzałam czyjąś twarz. Była wpatrzona we mnie – obserwowwała mnie zza załomu ściany. To była chyba dziewczyna – w pierwszej chwili nie potrafiłam tego stwierdzić, tak bardzo wstrząsnął mną wyraz jej oczu. Mierzyły mnie spojrzeniem pełnym nienawiści. Nie pamiętałam, by ktoś patrzył mi prosto w oczy w ten sposób: z taką złością, gniewem... i chyba odrazą. Z wrażenia lekko rozchyliłam usta. Moja ręka osunęła się z klamki i opadła wzdłuż ciała. Chciałam coś powiedzieć – przez myśl przemknęło mi pytanie: czy to możliwe, że to tylko nowa pokojówka? Rosalind wspominała mi o Annie, która wczorajszego dnia wzięła wychodne.

Zrobiłam krok w kierunku przyczajonej w cieniu postaci, ale wtedy ona zerwała się z miejsca i prędko jak podmuch wiatru czmychnęła przez półmrok za ciężkie, pogrążone w ciemności drzwi ozdobione złoceniami. Nienaoliwione zawiasy jęknęły przeciągle, po czym rozległ się stłumiony trzask. W powietrzu na moment mignął tylko jej warkocz – był właściwie wszystkim, co zapamiętałam. Musiał być rudy, ale wydał mi się czerwony niczym błyskająca w bladym świetle smużka krwi...

Przebrałam się i odświeżyłam. Zamierzałam od razu zejść do salonu, jednak incydent z tajemniczą dziewczyną ani na chwilę nie dawał mi spokoju. Jej wycelowane we mnie z ciemności spojrzenie przypomniało mi starą bajkę o bazyliisku. Gdyby wzrok mógł zabijać, z pewnością byłabym już martwa. Pytanie brzmiało: czemu patrzyła na mnie w ten sposób? Na wspomnienie wyrazu jej oczu ramiona wciąż pokrywały mi się gęsią skórką.

Wyszłam za drzwi sypialni na korytarz. Stałam tam nieruchomo przez dłuższą chwilę, pełna wahania.

*Powinnaś spróbować sama to wyjaśnić, Madeline – podpowiadał*



cichy głosik w mojej głowie. – *Wyjechałaś z Londynu, żeby znaleźć spokój. Nie możesz ciągle uciekać przed ludzkimi spojrzeniami. Nie możesz udawać, że nic się nie stało.*

Westchnęłam i cicho postukując obcasikami, podeszłam do wysokich, ciężkich drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. Prowadziły do wschodniego skrzydła domu, którego ciotka Hortense nie użytkowała od lat, a dokładniej: od śmierci wuja Rogera. Czy to możliwe, że rudowłosa była tam nadal?

– Jest tu kto? – spytałam, kiedy znalazłam się za drzwiami. – Nie bój się... – Przełknęłam ślinę, bo poczułam nagle suchość w gardle. – Jeśli tu jesteś... Chciałam powiedzieć, że nie zamierzam się gniewać.

Odpowiedziała mi cisza, a właściwie coś, co przypominało najcichszy pogłos echa – jakiś ulotny, przenikający powietrze rezonans moich słów. Doznałam dziwnego uczucia na myśl, że ta część domu stoi zamknięta od lat. Chociaż posiadłość należała do drogiej mi osoby z mojej najbliższej rodziny, to przez moment poczułam się jak nieproszony gość. Jak intruz.

A przecież te nieużywane pokoje budziły we mnie tyle pięknych wspomnień z dzieciństwa. Ciotka Hortense i wuj Roger byli tu tacy szczęśliwi – życie w ich domu wydawało mi się niekończącym się świętem. Bale i rauty, konne przejażdżki, podróże, rejsy statkiem i czytanie na głos przy kominku... I ja z nimi, jako mała dziewczynka spędzająca tutaj każde lato. Wtedy czułam, że jestem dla nich najważniejsza. Wuj i ciotka zawsze mieli dla mnie czas – mimo że prowadzili tak intensywny tryb życia...

Tryb, który ciocia Hortense na zawsze porzuciła po śmierci wuja Rogera.

Zaczęłam powolutku iść wzdłuż amfilady wysokich, milczących pokoi. Ciężkie pluszowe zasłony w większości okien były pozaciągane. W mdłych smugach wpadającego tu i tam światła

tańczyły i skrzyły się drobiny kurzu. Masywne meble, kanapy i sofy poprzykrywano białymi prześcieradłami. Jasne płachty, które spływały z nich do ziemi, przypominały zastygłe w bezruchu zjawy. Stare portrety w grubych złotonych ramach obserwowały mnie z powierzchni chłodnych ścian. Tu i tam wisiały również gobeliny i pięknie tkane werdiury ze scenami łowów lub obrazami inspirowanymi mitologią...

Nagle usłyszałam prędkie kroki. Odwróciłam się w chwili, kiedy za moimi plecami trzasnęły drzwi. Przestraszona, z pośpiechem dopadłam klamki. Odetchnęłam z ulgą, gdy okazało się, że drzwi nie zostały zamknięte. Wyszłam znów na korytarz i mnąc w palcach rąbek sukni, postanowiłam po prostu udać się do salonu.

Chłód, który wraz z mgłą napłynął znad oceanu, sprawił, że mimo lata Rosalind rozpałała w kominku. Z przyjemnością usadowiłam się w wygodnym fotelu z filiżanką gorącej herbaty. Niewielki ogień trząskając wesoło na suchych drwach w palenisku, rzucając na ściany ulotne złote błyski. Dopiero teraz na wskroś odczułam, że bieganie po wrzosowisku oraz zwiedzanie opuszczonych pokoi kompletnie mnie wycieńczyło. Wtuliłam się w miękkie oparcie fotela i nie wiedzieć kiedy – zapadłam w drzemkę.

Zbudziły mnie odgłosy krzątania. Ciotka Hortense wraz z panią Florą przy pomocy Artura i służącej przygotowywały salon na seans z duchami. Pośrodku pokoju stanął okrągły stół z mahoniowego drewna, a na nim świece, wycięte z papieru litery oraz małe porcelanowe talerzyki. W oknach zawisły grube zasłony, przez co wewnątrz zapanował półmrok. Pani Flora wyjaśniła mi, że to dlatego, iż zjawy są półprzezroczyste i w mocnym świetle nie sposób ich dostrzec.

– Tak głęboko panienka spała, że nie zbudziłam panienki na obiad – rzekła do mnie Rosalind. – Jedzenie czeka w kuchni. Zupa jest

jeszcze gorąca, a mięso trzymałam w piecu. Zje panienka teraz?

– Z przyjemnością.

– Pana Clarka nie ma? – spytałam Rosalind w kuchni. Nie widziałam potrzeby, żeby tylko dla mnie nakrywać do stołu w jadalni. Jako dziecko często asystowałam Rosalind przy pieczeniu ciast i lubiłam jej małe królestwo.

– Ma zjawić się wieczorem. Niedawno przywiózł samochodem panią Florę i odjechał. Miał chyba coś do załatwienia.

Ze smakiem pałaszowałam pyszny obiad. Wraz z kolejnymi kęsami moje ciało odzyskiwało siły, a ja poczułam wreszcie dreszczyk ekscytacji na myśl o nadchodzącym wieczorze. Mimo że w Londynie słyszałam o fenomenie wirujących stolików, nigdy nie uczestniczyłam w takim spotkaniu. Przypuszczałam, że mój ojciec nie byłby tym zachwycony.

Siedziałam z francuską powieścią przy kominku, a ciotka Hortense narzekała na pogodę.

– Przez tę mgłę pewnie nikt z gości się nie zjawi – załamywała ręce, wpatrując się w okno, jak gdyby można było przez nie dostrzec cokolwiek poza wszechogarniającą bladą szarością.

– Nie możemy nikogo za to winić – rzekłam cicho. Odłożyłam na brzeg stolika osiemnastowieczne wydanie *Księżnej de Clèves* Madame de La Fayette. Nie wiedzieć czemu po raz kolejny sięgnęłam po tę opowieść o odwzajemnionej, lecz mimo to nieszczęśliwej miłości...

Wstałam i krzepiąco położyłam dłoń na ramieniu ciotki.

– Naturalnie, że nie – przyznała mi rację pani Flora. – Ta pogoda absolutnie nie sprzyja nawet krótkim podróżom. Ale sprzyja pojawieniu się duchów. Zjawy z przeszłości chowają się we mgle...

– Macie rację – uśmiechnęła się Hortense. – Może to lepiej, że zobaczymy się w niewielkim gronie? Dla mnie to będzie prawie

jak spotkanie rodzinne – oznajmiła pogodniejszym tonem. Spojrzałam na nią z uwagą, gdyż cichy głosik w mojej głowie spytał ostrzegawczo, czy aby nie jest to aluzja na temat życzeń ciotki co do mnie i do Clarka? Wszak nie byliśmy nawet daleką rodziną...

– Spotkanie rodzinne? – spytałam lekkim tonem, próbując dać do zrozumienia, że choć Clark jest miły, to widziałam go tylko raz i nie chcę być swatana z nim na siłę.

– Ależ tak – potwierdziła Hortense. Wzruszenie błysnęło w jej zielonych oczach, kiedy wyciągnęła ku mnie szczupłe dłonie i ścisnęła mnie za rękę. – Cieszę się, że przy tym będziesz, Madeline. Zamierzamy przywołać ducha twojego wuja Rogera!

### 3. OSTATNI GOŚCIE

Wieczór zapadł nie wiadomo kiedy. W jednej chwili rozpostarł swoje krucze skrzydła nad wrzosowiskami. Poncz, ciasta z owocami, a nawet niewielkie ilości alkoholu na ukojenie nerwów, o ile zaszłaby taka potrzeba, czekały na przybycie gości. Zaczynałyśmy jednak wątpić, czy ktokolwiek zjawi się w tę pogodę. Mgła przypominająca watę gęstniała z każdą chwilą. Kiedy w wieczorowej sukni stałam przy oknie, w świetle płonących przed domem pochodni ledwie dostrzegałam pojedyncze listki pnącego się tuż przy framudze bluszczu.

Nadzieja, która nie opuszczała zwłaszcza ciotki Hortense, została jednak wynagrodzona. Niebawem usłyszałyśmy powóz zajeżdżający przed główne drzwi domu. Kląskanie końskich kopyt i turkotanie kół zabrzmiało dziwnie odległe, jak gdyby stłumione przez mgłę.

Pokojówka pobiegła otworzyć. Rzuciłam na nią szybkie spojrzenie w holu – i tak po raz pierwszy zobaczyłam Annę. Rosalind wcześniej chciała mi ją przedstawić, ale pewnie przez to, że zasnęłam w fotelu, nie było okazji...

Mimo czepka na głowie młodej służącej zauważyłam pasemko wymykających się na jej czoło rudych włosów. Przełknęłam ślinę. A więc to jednak ona musiała być dziewczyną, która przestraszyła mnie tego popołudnia!

Służąca zaanonsowała pana i panią Martensów. Uśmiechnęłam się szeroko na ich widok. Było to starsze, zamożne małżeństwo z okolic Torquay – dobrze pamiętałam ich z dzieciństwa. Wysoki hol

domostwa wypełnił się gwarem powitań. Pan Martens był emerytowanym pułkownikiem, który większą część służby wojskowej dla imperium brytyjskiego odbył w Indiach, a później w Egipcie. Pamiętałam, że ilekroć wracał na przepustkę, uwielbiałam słuchać jego opowieści o tych egzotycznych krajach.

Kilka chwil później za oknami spowitymi w grube zasłony zakaszłał znajomo silnik samochodu. Nie spodziewałam się, że aż tak się ucieszę na ponowne spotkanie z Clarkiem Cagwarem. Wszedł do środka ubrany w czarny smoking, w którym prezentował się niezwykle efektownie – wysoki, jasnowłose, ujmujący... Moje serce zabiło szybciej, gdy po turze wzajemnych powitań jego intensywnie niebieskie oczy padły na mnie z radosnym błyskiem. Czułam, jak jego spojrzenie przesuwają się po moim ciele od stóp do głów, zatrzymując się na chwilę na moich elegancko upiętych włosach, mojej odsłoniętej szyi i... na moich ustach.

– Madeline, wyglądasz zachwycająco – szepnął, szarmancko składając na mojej dłoni pocałunek.

Spuściłam rzęsy i dygnęłam, cicho dziękując za komplement.

– Gotowa na spotkanie z duchami?

Uśmiechnęłam się do niego.

– Gotowa.

– Czy spodziewamy się jeszcze kogoś? – spytał pan Martens, spoglądając na zegar z kurantem stojący pod przeciwległą ścianą salonu. Połączone wskazówki na cyferblacie dobiegały godziny ósmej wieczorem.

– Wątpię, by ktoś jeszcze się zjawił – powiedział Clark. – Z powodu mgły sam musiałem jechać wyjątkowo ostrożnie. W dodatku wiatr się wzmaga. Ciociu – zwrócił się do pani Flory i gestem świadczącym o przywiązaniu pogładził lekko ramię starszej pani – wiem, że ty i pani Hortense spodziewałyście się liczniejszego grona, ale robi się

późno. Myślę, że powinniśmy zaczynać.

– Clark ma rację – zgodziła się Flora. – Czy jesteś gotowa, Hortense?

Ciotka chwyciła mnie za rękę. Była głęboko przejęta. Spojrzała na mnie i skinęła głową.

– Zaczynajmy.

Duży okrągły stół przewidziany dla licznych gości już wcześniej zastąpiono mniejszym – po to, żeby zgodnie z zaleceniem pani Flory wszyscy uczestnicy seansu mogli złapać się za ręce. Nie bez radości w sercu stwierdziłam, że Clark odsunął dla mnie krzesło obok siebie. Zadrżałam na myśl, że zrobił to celowo – po to, żeby nasze dłonie mogły się stykać w ciemności. Rozsiadliśmy się wszyscy na krzesłach. Pani Flora zapaliła świecę. Zegar wygrywał pełną godzinę, kiedy nagle na zewnątrz ozwało się szczekanie psów i dało się słyszeć turkot kół kolejnego powozu.

Zgromadzeni nie kryli zaskoczenia.

– A jednak przyjechał ktoś jeszcze! – Ciotka Hortense z radości klasnęła w ręce.

– Kto to może być? – spytała pani Martens. – Że też nie bali się podróżować w tę pogodę...

Szczekanie psów przybrało na sile. Ruszyliśmy do holu przywitać gości. Kiedy drzwi się otwarły, zdumiałam się, jak dalece zgęstniała już mgła. Ledwie można było dostrzec w niej nikłe światła latarń u powozu i pochodnie zapalone przed domem. Posiadłość Wzgórze Mgieł była praktycznie odcięta od świata. Zdało mi się, że stary wiktoriański dom dryfuje niczym samotny okręt po niezbadanych, białych jak mleko falach. Pomyślałam, że żaden z gości raczej nie opuści nas tej nocy. Wyminęłam parę osób, żeby dyskretnie poinformować o tym fakcie Rosalind. Na szczęście służąca zapewniła mnie natychmiast, że pokoje gościnne czekają w pogotowiu. Uspokojona wróciłam pospiesznie do reszty towarzystwa – w samą

porę, żeby przywitać nowo przybyłych.

Do salonu wszedł elegancko ubrany, siwiejący już dżentelmen mniej więcej w wieku mojego ojca. Towarzyszyła mu równie dostojna dama o smutnej, pociągłej twarzy i zaczerwienionych oczach, które skrywała pod ciemną woalką spływającą z szykownego kapelusza ozdobionego strusimi piórami. Natychmiast zauważyłam, że nosi czarną suknię, najwyraźniej na znak żałoby.

– Państwo Ackroydowie – zaanonsował ich stangret, który stanął sztywno przy drzwiach. Dopiero słysząc jego słowa, zobaczyłam wynurzającego się z mgły młodego mężczyznę o ciemnych włosach, osmaganej wiatrem skórze i oczach w głębokim, jeszcze ciemniejszym niż włosy odcieniu. Zdało mi się, że celowo ociągał się z wejściem, co mogło zostać wzięte za nietakt. Najwyraźniej jednak nie pochwalał pomysłu na wzięcie udziału w seansie spirytystycznym. Jego spojrzenie padło na mnie niespodziewanie, a moje serce zabiło jak oszalałe. Stałam jak wryta i z wrażenia lekko rozchyliłam usta.

Młody mężczyzna obdarzył mnie ukłonem, a ja omal nie zapomniałam, żeby odwzajemnić ten gest głębokim dygnięciem.

– ...a ten młody człowiek, Madeline, to syn państwa Ackroydów, pan Gabriel – dobiegł do mnie nieco podniosły głos pani Flory. Miałam wrażenie, że wyrwał mnie z dziwnego transu, w który wpadło moje serce i moje myśli. – Panna Madeline Hyde jest siostrzenicą naszej gospodyni. Zaledwie wczoraj przybyła do Torquay z Londynu – wyjaśniła pani Flora z uśmiechem, który rozciągnął jej mocno uszmińkowane czerwienią usta. – Czy kiedykolwiek widział pan, Gabrielu, wdzięczniejsze od niej stworzenie?

Gabriel Ackroyd zmierzył mnie poważnym spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Zdawały się zaglądać na dno mej duszy. Jego wzrok był nicujący. Miałam wrażenie, że przenika przez jedwabisty materiał mej sukni, prześlizguje się po nagiej skórze i niezauważalnie ją



rozpala. Poczułam, że zaczynam się rumienić, a mój oddech wbrew woli przyspiesza, kiedy nagle usłyszałam jego słowa.

– Owszem, widziałem jeszcze wdzięczniejszą – stwierdził niespodziewanie głębokim głosem, jakby ocenił mnie, a teraz miał wygłosić werdykt.

Zmroziło mnie w środku. Być może chciał być szczery – w końcu nie byłam olśniewającą piękną, jednak taka uwaga wypowiedziana głośno w towarzystwie to dla młodej damy, takiej jak ja, wymierzony celnie policzek.

– Czy ktoś ci coś powiedział? – spytał natychmiast Clark, podchodząc do nas. Widziałam, że lekko zaciska pięści.

– Widziałem wdzięczniejsze stworzenie – powtórzył Gabriel Ackroyd, po czym niespodziewanie skłonił się przede mną głęboko i sięgnął po moją dłoń, żeby złożyć pocałunek na krańcach mych drżących palców. – Czy może pani zaprzeczyć, Madeline? Czyż nie widzieliśmy się wczoraj na wrzosowisku? – spytał, unosząc wzrok znad mojej dłoni. Nasze spojrzenia znowu się spotkały.

– To prawda – szepnęłam, nie mogąc oderwać od niego oczu. Miałam wrażenie, że trzyma je na uwięzi, ale ja wcale nie chciałam się uwalniać. – Wczoraj zobaczyłam pana we mgle.

– Proszę darować mi śmiałość, ale sądzę, że w powozie, z tymi miękkimi włosami falującymi od lekkiego deszczu, wyglądała pani jeszcze piękniej niż dziś. Taka naturalna, taka ulotna... Przypominała mi pani heroinę z dawnych wieków.

– Pan za to wydał mi się bardzo tajemniczy. – Uśmiechnęłam się kąciakiem ust. – Pana koń stanął dęba, a potem tak nagle pan zniknął... Bez słowa.

– Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem. Proszę wybaczyć, nie zachowałem się wczoraj jak dżentelmen. Nie zostaliśmy sobie jednak jeszcze przedstawieni i nie śmiałem zakłócać pani spokoju. Czas mnie

gonił, dlatego musiałem gnać galopem...

– Mogę więc tylko wyrazić nadzieję, że zdążył pan na czas... – szepnęłam.

– To się okaże – rzekł Gabriel tajemniczo i zawiesił głos.

– Drodzy państwo, proszę zajmować miejsca przy stole – poprosił Clark, zwracając się do towarzystwa w salonie. Młodszy pan Ackroyd i ja ruszyliśmy nieśpiesznie w stronę stołu, przy którym miał odbyć się seans.

– Nie wygląda pan na zachwyconego – zauważyłam ściszym głosem.

– Uważam, że ten seans to niezwykle zły pomysł.

– Czemu więc pan przyjechał?

– Ze względu na matkę. Moi rodzice stracili niedawno jednego syna i muszę wspierać ich, nawet jeśli nie pochwalam ich decyzji. Musiałem się zjawić.

Zadrżałam.

– Współczuję panu ze szczerego serca. To straszne stracić brata, w dodatku w pana wieku. Byliście bardzo zżyci?

– Bardziej, niż może pani sobie wyobrazić. – Po twarzy młodego mężczyzny przemknął bolesny skurcz. Zrozumiałam teraz, skąd ten wyraz smutku i zadumy, który dostrzegałam w jego oczach. Natychmiast też domyśliłam się jeszcze czegoś.

– Pańscy rodzice pragną przy pomocy pani Flory wywołać jego ducha?

Ciemne oczy znów przeszły mnie na wylot.

– Owszem. Moja matka jest w rozpacz, a ojciec godzi się na jej fantazje.

– Więc uważa pan, że duchy to fantazja?

– Przekonamy się, Madeline. – Poczułam przyjemny dreszcz, kiedy niespodziewanie zwrócił się do mnie po imieniu. Miałam wrażenie,

że wypowiedział je z nutką czułości. Odsunął mi krzesło przy okrągłym stoliku, przy którym sadowiła się już reszta zebranych. – Zobaczymy, czy zjawi się między nami jakiś duch.

## 4. WAHADEŁKO

Usiadłam przy okrągłym stole z ciemnego mahoniowego drewna o pięknym rysunku słoju, pośrodku którego zapłonęła świeca. Jej drżący płomień rzucał ulotne błyski na twarze zebranych osób. Salon tonął teraz w niemal całkowitej ciemności, rozświetlonej nielicznymi kandelabrami. Zrobiło się cicho i niezwykle uroczyście.

– Czyjego ducha na początek mam wywołać? – spytała gości pani Flora.

Ciotka Hortense spojrzała na ubraną w czerń matkę Gabriela Ackroyda, która siedziała po jej lewej stronie.

– Myślę, że pani Ackroyd ma pierwszeństwo – powiedziała.

– Dziękuję, lady Lancey. – Pani Ackroyd spojrzała na nią z wdzięcznością, po czym uniosła do kącika oka białą chusteczkę z haftowanym brzegiem. Szybko otarła pojedynczą łzę. – To dla mnie wiele znaczy. Tak bardzo chciałabym jeszcze raz móc porozmawiać z synem! Jego śmierć... – Zrobiła pauzę, żeby odetchnąć głębiej i uspokoić drżenie głosu. – Po prostu nami wstrząsnęła!

– Doskonale rozumiem, moja droga pani Ackroyd – rzekła widocznie wzruszona pani Flora Jones, wyciągając ku niej swoją pulchną bladą rękę usianą jasnobrązowymi plamkami. – Zrobię dla pani, co tylko w mojej mocy. Mam nadzieję, że uda się nam przywołać pani syna i zadać mu pytania, które trapią pani serce.

Pani Ackroyd skinęła głową.

– Zaczynamy.

Medium odezwało się cichym, podniosłym głosem.

– Drodzy państwo, na początek wszyscy chwycmy się za ręce. W ten sposób każdemu łatwiej będzie wyczuć sygnały z zaświatów.

Zadrżałam. Siedziałam przy stole między ujmującym Clarkiem Cagwarem a tajemniczym Gabrielem Ackroydem. Clark uśmiechnął się do mnie – zamknął krańce mych drobnych palców w swojej dużej dłoni, jakby zamykał perłę w ogromnej muszli. Drgnęłam, kiedy sekundę później Gabriel Ackroyd sięgnął po moją prawą dłoń i splótł swoje palce z moimi. Choć ręce miał niespodziewanie chłodne, jego dotyk mnie zelektryzował. Miałam wrażenie, że przez moje ciało przepłynął prąd, niezwykły impuls, który uniósł mi najdrobniejsze włoski na karku i spowodował przyjemne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Z zaskoczeniem spojrzałam mu prosto w oczy – byłam ciekawa, czy on też to poczuł. W jego czarnych jak noc źrenicach zobaczyłam odbite płomienie świec wijące się w lekkim podmuchu, który niespodziewanie musnął moje ciało.

– Muszę uprzedzić, że nie wolno nam przerywać kręgu. Jeśli ktoś chce opuścić nasze zebranie, może zrobić to teraz. W przeciwnym razie zobowiązuje się zostać z nami aż do końca seansu, kiedy zamknę przejście między naszym światem a tamtym... Wówczas krąg, w którym się gromadzimy, będzie mógł zostać bezpiecznie rozwiązany – rzekła pani Flora.

– Co dokładnie oznacza przerwanie kręgu? – spytałam prawie szeptem. Nie wiedzieć czemu mimowolnie zniżyłam głos.

– Wszyscy muszą pozostać przy stole, dopóki nie pożegnamy się z duchami, Madeline.

– Czy cały czas musimy trzymać się za ręce?

– To nie jest konieczne, ale ułatwia kontakt.

Wszyscy po kolei w milczeniu skinęli głowami na znak, że rozumieją i zgadzają się na ten warunek.

– Pani Ackroyd, czy ma pani przy sobie coś, co należało do pani

syna? – spytała Flora. – Jakiś przedmiot, rzecz, która miała dla niego dużą wartość?

– Owszem, mam srebrny krzyżyk, który syn dostał jako dziecko na pamiątkę chrztu. Nosił go od tamtej pory nieprzerwanie. Miał go na szyi, kiedy... – Głos jej zadrżał. – Kiedy to się stało...

– Spokojnie, Saro – rzekł do żony pan Ackroyd.

– Mam go w torebce – kontynuowała matka Gabriela. Sięgnęła do niewielkiej sakiewki z czarnego jedwabiu z metalową ramą. Sporawy, kunsztownie wykonany krzyżyk z czystego srebra zamigotał w blasku świecy.

– Bardzo dobrze – ucieszyła się Flora. – Świetnie się składa, że to przedmiot w formie wisiorka. Będziemy mogli posłużyć się nim jak wahadełkiem.

– To znaczy?

– Jego ruchy powiedzą nam o obecności pani syna.

Clark przesunął srebrny wisior po blacie stołu do swojej ciotki.

– Clark, czy mógłbyś trzymać wahadełko? – odezwała się pani Flora zmęczonym głosem. – Ręka mi drży, a ty masz pewne ramię. Siedzisz naprzeciw mnie, będę mogła obserwować...

Mężczyzna sięgnął po krzyżyk.

– Oczywiście, ciciu.

Pani Flora wyprostowała się na krześle i zamknęła oczy. Lekko odchyliła się do tyłu. Nie mogłam już dokładnie widzieć jej twarzy.

– Muszę się skoncentrować – rzekła cicho. Mocno zacisnęła powieki i syknęła, jakby nagle rozboleła ją głowa. – Będę recytowała kolejne przywołania. Wszyscy państwo za każdym razem powtarzajcie za mną...

Milczała chwilę, po czym wzięła głębszy oddech.

– Duchu, duchu...

Powtórzyliśmy jej słowa.

– Zebraliśmy się tutaj...  
...żeby przywołać między nas...  
...syna państwa Ackroydów...  
...zjaw się między nami...  
...my, żyjący na tej ziemi...  
...ofiarujemy ci ciepło tej świecy...  
...żeby ogrzała cię w zimnych zaświatach...  
...ofiarujemy ci światło jej płomienia...  
...żeby przez ciemność wskazało ci drogę do świata żywych...

Przyjmij ofiarę!

– Przyjmij ofiarę.

– Zjaw się między nami! – głos staruszki stopniowo narastał. Ostatnie zdanie wypowiedziane zostało z dziwnym świstem. W chwili, kiedy wybrzmiało, pani Flora zgasiła świecę. Zapadła ciemność, a przez moją dłoń splecioną z dłonią Gabriela Ackroyda przepłynął chłodny prąd.

Pani Flora skrzesała nową zapałkę. Jej twarz wyłoniła się z cienia, blada i tajemnicza. Świeca zapłonęła znowu, dokładnie ukazując wszystkie, nawet najdrobniejsze zmarszczki starej damy i jej jadownicie czerwone usta. Odblask płomienia padł na wahadełko. Clark Cagwar trzymał je w prawej dłoni nad porcelanowym talerzykiem, wokół którego ułożono alfabet z wyciętych z papieru liter.

Poczułam obmywający moje ciało lodowaty podmuch, którego źródła nie potrafiłam wykryć.

– Cała drżysz, Madeline. Nie bój się, nic się nie stanie – usłyszałam niski szept Clarka nachylającego się nad moim uchem. Urwał, wyraźnie czymś zaskoczony.

Coś zaczęło się dziać z wahadełkiem.

Srebrny krzyż na grubym łańcuszku zaczął wirować, wolno

zataczając równe pętle.

Usłyszałam, jak wszyscy wokół, łącznie ze mną, wstrzymują oddech.

– Czy pan to robi, panie Cagwar? – spytał starszy pan Ackroyd.

– Ależ skąd! – W głosie Clarka zabrzmiało lekkie zdenerwowanie. – Jeśli pan chce, może pan podtrzymywać moją rękę. Nie żartowałbym sobie w ten sposób państwa kosztem!

– Wyczuwam jakąś energię... – szepnęła pani Flora. Wpatrywała się nieobecny, zamglony wzrokiem w wahadełko, które z chwili na chwilę wykonywało coraz dziwniejsze akrobacje. – Tak, wyraźnie czuję czyjąś obecność...

Sara Ackroyd jęknęła. Wydała mi się tak blada, że zaczęłam się obawiać, czy nie zemdleje. Jej smukłe, arystokratyczne rysy: grecki nos z lekkim garbkiem, delikatnie zarysowane kości policzkowe i wąska szczęka zaostrzyły się, gdy po jej twarzy przemknął bolesny skurcz.

– Czy to nasz syn? – szepnął jej mąż, pan Frank Ackroyd.

Spojrzałam na Gabriela. Nie odezwał się ani słowem, lecz jego oczy były utkwione w matce. Wyrażały smutek, ból i nadzieję... Pomyślałam, że mimo sceptycyzmu podświadomie liczy na pojawienie się ducha swego brata. Czyż można pogodzić chłodny rozsądek z pragnieniami serca?

– Czy jesteś z nami? – spytała spokojnym, cichym głosem pani Flora.

Wszyscy zamarli w wyczekiwaniu. Niemal słyszałam bicie naszych serc w podniosłej ciszy, którą mąciło tylko tykanie zegara. Nic się jednak nie wydarzyło. Jedynie wahadło w ręku Clarka z wolna zmieniało tor swego lotu nad talerzykiem. Nie mogłam oderwać wzroku od błyskającego miarowo krzyża na srebrnym łańcuszku. Po chwili odniosłam wrażenie, że wszystko wokół przestaje istnieć.



Salon z wolna stapał się z ciemnością nocy, a moje myśli, cała moja uwaga, stopniowo skoncentrowały się na wahadełku.

– Jeśli tu jesteś, daj nam jakiś znak – odezwała się znowu pani Flora. Jej głos napawał mnie drżeniem. – Przekaż nam wiadomość, którą powinniśmy od ciebie usłyszeć.

Pan Martens zakasłał i wszyscy aż podskoczyli na krzesłach. Pani Martens zganiła go spojrzeniem za przestach, który niechcący spowodował.

– Wahadło... Wskazuje literę N! – szepnęłam.

Teraz nikt już nie odrywał wzroku od srebrnego krzyża. Moje serce uderzało gwałtownie. Poczułam, że mocniej ściskam chłodną dłoń Gabriela Ackroyda. Jego obecność w dziwny sposób dodawała mi otuchy.

– Czy jest z nami zmarły syn państwa Ackroydów? – Pani Flora ponowiła swe pytanie.

Wahadełko przesunęło się ponad talerzykiem i zawisło nad papierową literą I.

Potem krzyż wyraźnie wskazał literę E.

– NIE. – Pan Martens i Clark Cagwar jednocześnie wypowiedzieli słowo, które wszyscyśmy naocznie odczytali.

– Nie? – Ciotka Hortense zamrugała zogromniałymi oczami niczym zdumiona sowa.

– To nie syn państwa Ackroydów...

– A więc kto? – To pytanie nagle zmroziło mi krew w żyłach. Zauważyłam, że całe towarzystwo zbladło. Obecni zwrócili ku medium przestraszone, pytające i pełne napięcia twarze.

Pani Martens zachichotała histerycznie.

– Zaczekajcie! – szepnęła z napięciem Sara Ackroyd. Niemal brakowało jej tchu. – Wahadło porusza się nadal.

To była prawda.

– Nie porusza pan ręką, panie Cagwar?

– Ani trochę! Mogę państwu przysiąc!

Nachyleni nad porcelanowym talerzykiem z ułożonym wokół niego alfabetem odczytywaliśmy na głos kolejne litery, które wyraźnie wskazywał zwisający w powietrzu srebrny wisior.

– B.

– E. Znowu E!

– Z.

– P.

– I. Wyraźnie wskazuje I.

– Znowu E!

– C.

– Z.

– E. Kolejne E!

– N!

– S.

– T.

– W.

– O!

Ciotka Hortense lekko wygięła wąskie, pomarszczone usta, a potem cmoknęła z przejęciem.

– Niebezpieczeństwo – rzekła ze świstem, kręcąc głową.

Rozejrzałam się wokół i lodowaty dreszcz przeszył moje ciało.

## 5. ŚWIATŁO Z ZAŚWIATÓW

– Jakie niebezpieczeństwo? – spytałam pani Flory, przełamując pełne napięcia milczenie.

– Spokojnie, Madeline. Jestem pewien, że to się da wyjaśnić. Prawda, ciociu Floro? – rzekł opiekuńczo Clark i obdarzył mnie bladym uśmiechem. Doskonale grał pewnego siebie, lecz wyczuwałam, że to tylko pozór. Jego również to jedno, niepokojące słowo nakreślone w nieruchomym powietrzu zbiło na moment z tropu.

– Wyjaśnić? Więc sądzi pan, że to nie była wiadomość od ducha? – zdumiał się na głos pułkownik Martens. Nadął podbiegłe kwią policzki i wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Nie wierzę w duchy – oświadczył Clark.

– Nie? To co pan tutaj z nami robi?

– Może pan Clark chciał się przekonać... – uspokajała męża pani Martens.

– Jestem tu dla ciotki Flory – oświadczył Clark stanowczym tonem.

– A także, czego nie zamierzam ukrywać, dla panny Madeline.

Na to wyznanie moje serce zabiło szybciej. Czy aby nie padło ono zbyt pośpiesznie? Choć atmosfera pozostawała niezwykle gęsta, a mrok zdawał się skrywać wiszącą w powietrzu tajemnicę, w tamtej chwili ucieszyłam się z otaczającej nas ciemności. Dzięki niej mogłam ukryć rumieniec wypływający na me policzki. Tymczasem Gabriel Ackroyd zmierzył Clarka poważnym wzrokiem.

– Czy to pański najważniejszy powód? – spytał swym głębokim

głosem.

Jasnowłosa mężczyzna lekko zmarszczył brwi.

– Oczywiście.

Pan Frank Ackroyd odchrząknął.

– Odłóżmy na bok spory. Jeśli jakaś zbłąkana dusza istotnie jest między nami, powinniśmy się dowiedzieć, o jakim niebezpieczeństwie nas ostrzega. Czy może to pani dla nas zrobić, pani Floro? – Spojrzenia zebranych utkwiły w starszej pani.

Z drżeniem stwierdziłam w myślach, że przyjaciółka mojej drogiej ciotki Hortense nie wygląda najlepiej. Skóra jej twarzy była niemal trupoblada – na tym tle odcinały się jaskrawo uszmkowane usta.

Z drugiej strony któż z nas mógł teraz dobrze wyglądać? Nasze twarze były naznaczone głębokim napięciem, a na obliczu medium malowało się ono najsilniej. Z lekko zamglonymi oczami i delikatnie odchyloną w tył głową pani Flora przypominała starodawne, milczące bóstwo o srebrzystych włosach mocno pachnących lawendą. Opadały one łagodnymi falami na jej ramiona i w świetle świecy wyglądały jak aureola.

– Muszę spróbować – odparła, lekko skinąwszy głową. – Jakiś byt ostrzega nas przed niebezpieczeństwem. To oznacza, że sprawa jest wielkiej wagi. Myślę, że żeby ułatwić duchowi kontakt, powinnam posłużyć się pismem automatycznym.

– Pismem automatycznym? – szepnęłam pytająco.

– Ciotka Flora uważa, że potrafi przelewać na papier przesłanie duchów – wyjaśnił ściszym głosem Clark. – Zapada w trans, pisze, wyłączając umysł, a przywołane duchy prowadzą jej rękę.

– To prawda, pani Floro? – spytała pani Martens.

– Oczywiście.

Salon spowiła cisza.

– Jeśli zechce pani spróbować... – zaryzykował pan Martens.

– Czy wszyscy uważamy, że to dobry pomysł? – spytał Clark, patrząc po twarzach zebranych.

Każdy ze zgromadzonych po kolei skinął głową.

– Jesteś pewna, ciociu? – zapytał Clark z troską w głosie.

Jak gdyby w odpowiedzi wahadło w jego ręku gwałtownie się poruszyło.

– To znak! – szepnęła z przejęciem pani Ackroyd.

– W rzeczy samej.

– Jestem zdecydowana poddać się woli duchów – oznajmiła z bladym uśmiechem pani Flora.

Przełknęłam ślinę, czując, że mam gęsią skórkę. Zaschło mi w ustach. Gabriel Ackroyd jak gdyby czytał w moich myślach. Sięgnął po fasetową karafkę stojącą na rzeźbionym pomocniku w zasięgu naszych rąk i podał mi szklanekę chłodnej wody.

– Czy ktoś z państwa oprócz panny Madeline życzy sobie coś do picia? – zapytał.

Pani Ackroyd i nasze medium przytaknęły. Gabriel przysunął szklanekę z wodą każdej z nich. Zauważyłam, że pani Flora sięgnęła do swej niedużej torebki i wyciągnęła stamtąd jakąś drobnostkę. Zrozumiałam, że to lekarstwo – połknęła je, popijając wodą. Ze smutkiem przypomniałam sobie, co powiedziała mi ciotka Hortense o stanie zdrowia swojej przyjaciółki. Flora Jones była ciężko chora. Czy to świadomość zbliżającej się śmierci pchnęła ją ku zainteresowaniu spirytyzmem? A może to właśnie dlatego, że wraz z upływem lat i utratą zdrowia stara dama zbliżała się do cienkiej granicy między światem żywych i umarłych, objawiły się jej mediumiczne zdolności?

– Napiłbym się czegoś mocniejszego, ale myślę, że teraz nie pora na to – rzekł pan Martens.

Pan Frank zgodził się z nim skinieniem głowy i lekko podkręcił

wąsa. Rosalind bez słowa zabrała opróżnione przez panie szklanki i cicho opuściła salon. Po tym, jak wyszła, na prośbę Flory znów chwyciliśmy się za ręce. Przed naszym medium zaś spoczęło kilka przygotowanych już wcześniej na tę okoliczność czystych kartek oraz pióro do pisania.

Zauważyłam, że wahadło w ręku Clarka porusza się coraz szybciej.

Pani Flora ujęła pióro drżącą ręką.

– Zbłąkane dusze obecne w tym domu, przekażcie przeze mnie swoją wiadomość!

Zapadła cisza. Tylko wahadło odchyliło się od pionu coraz mocniej, i to we wszystkich kierunkach. Już nie wskazywało liter – jego ruchy były prężkie i chaotyczne, jak gdyby jakiś tajemniczy magnetyzm szarpał raz po raz za srebrny krzyż. Wisior jednocześnie huśtał się i wirował niczym mała srebrna baletnica.

Milczenie zostało przerwane chrapliwym westchnieniem pani Flory.

Z trudem oderwałam wzrok od wahadła, od którego harców nagle zakręciło mi się w głowie. Cały pokój zaczynał wirować, gdy przeniosłam spojrzenie na przeciwległy kraniec stołu, na nasze medium.

Stara dama miała nieobecne oczy. Lekko kołysała się na krześle, naśladując przy tym rytm wahadła. Nagle chwyciła za pióro. Jej blada dłoń zawisała nad kartą niczym sztywne kończyna spętanej niewidzialnymi sznurkami marionetki. Sznurki zadrgały i naraz pióro poszło w ruch.

Bezwiednie ścisnęłam chłodną dłoń Gabriela Ackroyda. Odpowiedział mi silniejszym uściskiem. Nie wiedziałam, w jaki sposób, ale jego obecność uspokajała mnie na tyle, że zdołałam jakoś oswoić największy lęk. Szeroko otwartymi oczami obserwowałam panią Jones, która jak w transie zapełniała kolejne kartki podsuwane

przez ciotkę Hortense. Siedzący po drugiej stronie medium pan Martens zaczęła odczytywać zapiski, podczas gdy pióro śmigało nieprzerwanie po papierze.

Jego głos przeszył mnie dreszczem.

– NIEBEZPIECZEŃSTWO, NIEBEZPIECZEŃSTWO,  
NIEBEZPIECZEŃSTWO...

WOKÓŁ TEGO STOŁU WIELE OSÓB TKWI, ALE TYLKO JEDNA  
MA SZALONE SNY...

ZBLIŻA SIĘ, ZBLIŻA SIĘ, ZBLIŻA SIĘ, ZBLIŻA SIĘ...

STRZEŻ SIĘ MGŁY, STRZEŻ SIĘ, MGŁA, MGŁA...

JESTEM BLIŻEJ, NIŻ MYŚLISZ. NIE TAM. NIE TAM, GDZIE SIĘ  
SPODZIEWASZ...

TUTAJ...

ŚMIERĆ... ŚMIERĆ JEST CORAZ BLIŻEJ...

Sara Ackroyd jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

– Na litość boską, proszę to przerwać! – wykrzyknął blady jak kreda pan Ackroyd.

– Ciociu, przerwij to! – poparł go Clark.

Flora Jones jednak nie słyszała. Mechanicznie zapełniała kolejne kartki powtarzającymi się wyrazami i zdaniem, których pan Martens nie nadążał już odczytywać. Jej oczy uciekły w głąb czaszki, ukazując teraz tylko białka.

– Muszę pomóc jej wybudzić się z transu! – oświadczył Clark i gwałtownie szurnął swoim krzesłem.

– Co też pan robi?! – zapiszczała pani Martens. – Przerwie pan krąg! Pani Flora stanowczo zabroniła nam przerywać kręgu!

Clark wstał, ale jeszcze nie odszedł od stołu.

– Z całym szacunkiem, pani Martens, ale muszę pomóc ciotce!

– A duchy, które przybyły?!

– Skoro przybyły, to niechże już odejdą! – zawołał zdenerwowany

Clark i rzucił na stół wahadełko.

W tej samej chwili stało się coś, co trudno opisać. Pani Flora puściła pióro i odchyliła się na krześle do tyłu. Z jej piersi wyrwało się rzeżące, ciężkie westchnienie. Jednocześnie ujrzeliśmy na tle ciemności, jak z jej rozchylonych ust ulatuje jasnozielony, świecący obłok. Mienił się i falował niczym świetlista mgła. Ów obłok zawisł w powietrzu i wolno rozplynął się nad naszymi głowami.

Z wrażenia aż otworzyłam usta. W uszach zaszumiała mi krew. Poczułam podtrzymujące mnie silne ramię Gabriela Ackroyda, po czym straciłam przytomność.



## 6. CIEŃ PODEJRZEŃ

Gdy się ocknęłam, leżałam ułożona na szezlongu przed kominkiem, w którym trzaskał złocisty ogień. Zamrugałam, gdyż w pierwszej chwili wszystko wokół wydało mi się mgliste i rozmazane. Uniosłam się na łokciu i poczułam ból w nadgarstku. Widniał na nim fioletowy siniak. Musiałam się uderzyć, gdy zemdlałam. Gdyby nie Gabriel Ackroyd, to omdlenie mogłoby się skończyć o wiele gorzej...

Rozejrzałam się po opustoszałym salonie. Wszędzie paliły się lampy naftowe i świece, podczas gdy za oknami czały się noc i mgła. Z sąsiedniego pokoju usłyszałam przejmujący szloch pani Ackroyd, którą ktoś próbował pocieszyć. To sprawiło, że przypomniałam sobie ostatni zapamiętany obraz tego wieczoru.

Zielony obłok.

Po moim kręgosłupie przebiegł dreszcz.

Lekko uchylone drzwi salonu się otwarły i do środka weszła Rosalind. Niosła tacę z parującą filiżanką jakiejś ziołowej mikstury.

– Czy wszystko dobrze z panią Florą? – spytałam, rozmasowując pulsujące skronie. – Co się właściwie stało?

Rosalind odstawiła tacę. Przez chwilę patrzyła na mnie bez słowa, po czym nagle głośno zapłakała, przyciskając do oczu uniesiony kraniec fartucha. Wstałam i mocno ją przytuliłam. Wówczas ponad jej ramieniem dostrzegłam, że okrągłe lustro wiszące nad komodą jest przesłonięte płachtą czarnego muślinu.

– Pani Flora nie żyje, panienko! – załkała służąca w moje ramie.

– Co takiego?

Nie mogłam w to uwierzyć. Na moment odjęło mi mowę.

– Nie... żyje?

W uchylonych drzwiach prowadzących do pokoju herbacianego ukazał się Gabriel Ackroyd.

– Rosalind, może pójdziesz odpocząć – rzekł łagodnie do służącej i położył jej dłoń na ramieniu.

Rosalind głośno wydmuchała nos w wyjętą z kieszeni fartucha chusteczkę. Skinęła głową.

– Gdyby ktoś czegoś potrzebował...

– Poradzimy sobie – zapewnił ją Gabriel. – Zresztą, jak zdążyłem się zorientować, oprócz ciebie są tu chyba jeszcze pokojówka, stajenny i ogrodnik.

Rosalind przytaknęła.

– Pójdę na górę zajrzeć do pani Hortense – rzekła do mnie.

Drgnęłam.

– Jak się czuje moja ciotka?

– Zasnęła, panienko. Zaparzyłam jej dużą ilość waleriany. To był dla niej wielki wstrząs... – Chlipnęła.

Ścisnęłam jej rękę.

– Dziękuję, Rosalind. Ja także zajrzę do niej niebawem.

– Czy nic panience teraz nie potrzeba?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Pokoje gościnne są gotowe?

Rosalind przytaknęła.

– Tak jak mówiłam wcześniej, panienko. Wszystko gotowe. Mgła nadal nie opadła.

Coś mi się przypomniało. Poczułam, że dygoczę.

– Co... z ciałem... pani Flory?

Stara służąca z powagą spojrzała mi w oczy.

– Złożyliśmy je w pokoju na końcu korytarza, panienko.

Skinęłam głową i Rosalind odeszła.

– Jak się pani czuje, Madeline? – zapytał Gabriel.

W oczach stanęły mi łzy. Mieszanka strachu, smutku, poczucia winy, samotności i niepewności w jednej chwili wypełniła moje serce. Byłam zagubiona i oszołomiona jak chyba nigdy dotąd.

– Och, Gabrielu! – załkałam, zasłaniając oczy zaciśniętymi piąstkami.

Przysunął się i mocno objął mnie ramionami, a ja przytuliłam się do jego piersi. Szlochałam bezgłośnie, wtulona w niego tak długo, dopóki nie poczułam ulgi.

– Już dobrze, Madeline. Jest pani dzielniejsza, niż myśli – wyszeptał czule, lekko gładząc mnie po włosach. Jego dotyk był niczym muśnięcia chłodnego wiatru.

– Zmarzył pan – zauważyłam i otarłam łzy. – Ma pan zimne dłonie. Proszę ogrzać się przy ogniu.

Usiedliśmy obok siebie na szeszlunku przed trzaskającym cicho kominkiem. Gabriel ujął i przytrzymał moją dłoń.

– Musi być pani dzielna, Madeline. Wiem, że panią na to stać. Pani ciotka Hortense jest słabego zdrowia i to dobrze, że zasnęła, ale pani w jej imieniu musi zgromadzić resztę towarzystwa. Zgromadzić ich i uzbroić się w spokój.

– Oczywiście. Ma pan całkowitą rację – szepnęłam. – W końcu ten dom należy do mojej rodziny, a państwo jesteście naszymi gośćmi.

Chciałam wstać, żeby pójść do pozostałych, ale Gabriel delikatnie przytrzymał mnie za rękę.

– Poproś wszystkich, by zebrali się w salonie, Madeline. Sądzę, że powinni odpowiedzieć na kilka pytań.

– Jakich pytań?

Nic z tego nie rozumiałam.

Ciemne i tajemnicze jak ta noc oczy Gabriela Ackroyda przeszyły mnie poważnym, zadumanym spojrzeniem.

– Sądzę, że pani Flora Jones została zamordowana.

Serce zabiło mi jak szalone.

– Jak to? – wyszeptałam, gdy już odzyskałam głos. – Co też pan mówi?! To nie może być prawda!

Ze smutkiem pokręcił głową.

– Tak czy inaczej, policja na pewno zechce dokładnie zbadać okoliczności jej śmierci. Dla spokoju naszych własnych sumień powinniśmy spróbować wyjaśnić, co się stało – rzekł cicho.

– Zamordowana?! W tym domu?! Przez kogo?! – Szybko wyswobodziłam moją rękę z jego chłodnej dłoni. Nie zamierzałam ukrywać mojego wzburzenia.

– Widziała pani, co się stało, Madeline... – powiedział Gabriel ze śmiertelną powagą. Patrzył teraz prosto w moje oczy, przed którymi przemknęło wspomnienie zielonego, świetlistego obłoku wylatującego z rozchylonych ust pani Flory. – To nie była zwyczajna śmierć. Chyba że wierzy pani w duchy...

– A pan nie?! – zawołałam.

Mężczyzna obok mnie milczał, lecz jego twarz wyrażała głęboki smutek i cichy, niewypowiedziany ból.

W tej samej chwili do salonu wszedł Clark Cagwar.

– Co się tu dzieje? – spytał. Musiał usłyszeć mój okrzyk wzburzenia. – Czy ktoś cię zdenerwował, Madeline? – Zmierzył spojrzeniem swoich intensywnie niebieskich oczu stojącego obok mnie Gabriela Ackroyda.

– To moja wina – odpowiedziałam teraz słabym głosem. – Nie powinnam była tak się unosić... To niepotrzebne. Po prostu jestem całkowicie roztrzęsiona. Pan Ackroyd próbował dodać mi otuchy, a ja... nie potrafiłam zapanować nad emocjami. Kiedy dowiedziałam się, co się stało z twoją cicią...

Podeszłam do Clarka i mocno go przytuliłam. Działo się tak wiele,

że dopiero teraz pomyślałam o jego bolesnej stracie. Odzyskał kontakt z rodziną matki i przyплыnął z Ameryki do Anglii tylko po to, żeby dowiedzieć się o śmierci ojca, a potem pogrzebać ciotkę...

– Zostawię państwa na chwilę – odezwał się Gabriel i cicho wymknął się z salonu.

– Clark, tak bardzo ci współczuję. Jeśli jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić...

– Już dobrze, Madeline. – Wysoki blondyn ujął moje obie dłonie i przycisnął je lekko do ust.

Był blady, smutny. Mocno przybity.

– To moja wina – szepnęłam impulsywnie, wysuwając ręce z jego delikatnego uścisku.

– Twoja? Ależ, Madeline! Co ty mówisz?!

– Powinnam była spróbować odwiedzić ciotkę Hortense od tego pomysłu! Powstrzymać ją od organizowania seansu z duchami!

– Jeżeli ty czujesz się winna, to co ja mam powiedzieć? – spytał Clark i siadł ciężko w stojącym opodal kominka fotelu. – Zgadzałem się na kaprysy ciotki Flory! Sądziłem, że dzięki tym seansom staruszka czuje się potrzebna, że we własnym mniemaniu pomaga innym...

– Chciałeś tylko jej dobra.

– To prawda. Nie chciałem, żeby ciotka czuła się samotna. A przy okazji seansów zawsze spotykała ludzi... – zawiesił głos i spojrzał na mnie oczyma, w których na moment zaśniły łzy. – Nie możesz się obwiniać, Madeline! Nie zniósłbym tego! – Pokręcił głową. – To był tylko nieszczęśliwy wypadek...

– Wypadek? – szepnęłam zdziwiona. – Więc nie wierzysz, że panią Florę... że... że to sprawka duchów?

Clark na moment ukrył twarz w dłoniach. Wstał z fotela i zaczął przechadzać się po salonie na tle rozświetlonego paleniska.

W kominie przeciągle zagwizdał wiatr.

– Sam już nie wiem, w co mam wierzyć, Madeline!

Był wzburzony. Za to ja z wolna odzyskiwałam spokój, który zawsze spływał na mnie, kiedy ktoś inny mnie potrzebował. Patrzyłam na Clarka, jak krąży z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni, niczym zrozczone zwierzę zamknięte w klatce.

Pomyślałam, że Gabriel Ackroyd miał rację. Powinniśmy wszyscy porozmawiać o tym, co się stało, żeby oczyścić się z buzujących w nas emocji, niepewności i lęku. Nie wierzyłam, że Flora Jones została zamordowana, i postanowiłam to Gabrielowi udowodnić. Nie chciałam, by ktokolwiek z gości opuścił dom mojej ciotki pełen podobnych podejrzeń.

– Clark, zgromadźmy całe towarzystwo w salonie. Poproszę Annę, żeby zaparzyła nam kawy i przygotowała coś do jedzenia – rzekłam cicho.

Wysoki blondyn popatrzył na mnie pytająco. Podeszłam i dotknęłam jego ramienia. Miałam wrażenie, że lekko się wzdrygnął, gdy powiedziałam:

– Pan Gabriel Ackroyd chciałby zadać wszystkim kilka pytań.

## 7. TAJEMNICA GABRIELA ACKROYDA

W przejmującej ciszy, jaka panowała w salonie we Wzgórzu Mgieł, wyraźnie rozbrzmiewał stukot filiżanek z kawą o porcelanowe spodki, a wtórowały mu pojedyncze chlipnięcia pani Sary Ackroyd i szelest płomieni tańczących w kominku. Na gzymsie kominka stała figurka słońca wyrzeźbiona z kości słoniowej – jedna z pamiątek, które świętej pamięci wuj Roger przywiózł z Indii. Na długi moment zapatrzyłam się na tę niewielką statuetkę, jak gdyby wspomnienia, które we mnie budziła, miały moc oderwać moje myśli od przygnębiającej sytuacji, w jakiej wszyscy znaleźliśmy się w tej chwili. Przypomniałam sobie, że kiedyś, lata temu, wuj powiedział mi, że to wcale nie jest słoń, lecz tajemnicze indyjskie bóstwo o imieniu Ganeśa.

Wraz z kolejnymi łykami gorącej, mocnej kawy z odrobiną mleka czułam, że robi mi się cieplej i odzyskuję energię, której tak bardzo potrzebowałam, by podjąć dręczący mnie temat. Odstawiłam pustą filiżankę i lekko zacisnęłam dłonie.

– Poprosiłam państwa o zebranie się tutaj, ponieważ podobnie jak pan Gabriel Ackroyd – spojrzałam na stojącego w cieniu Gabriela, który kołysał w dłoni szklankę z odrobiną szkockiej whisky – uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym, co się stało – rzekłam cicho.

Pani Sara wbiła we mnie zaczerwienione oczy, w których tliły się ogniki strachu. Przełknęła ślinę i przetoczyła spojrzeniem po twarzach zebranych.

– Przecież wszyscy widzieliśmy, co się stało – powiedziała zrozpaczonym, drgającym głosem. – Pan Clark przerwał krąg! To jego wina! – Nagle karcąco wycelowała w Clarka palec w czarnej, koronkowej rękawiczce.

– Moja wina? – zapytał ze zdumieniem wysoki blondyn, jak gdyby nic z tego nie rozumiał.

– Owszem! Przerwał pan krąg! Wstał pan od stołu, chociaż pani Flora wyraźnie nam tego zakazywała! A teraz duchy zabrały ze sobą jej biedną duszę! – zachlipała nieszczęsna kobieta. Jej ramiona zaczęły się trząść.

Clark potarł ręką zmarszczone czoło.

– Na litość boską, chciałem tylko pomóc ciotce!

Pan Frank Ackroyd, który uspokajał żonę, najwyraźniej poczuł się w obowiązku wesprzeć ją w tej wymianie zdań.

– Wszyscy zobowiązaliśmy się, że pod żadnym pozorem nie przerwiemy kręgu – zauważył cicho surowym tonem. – Wszyscyśmy to sobie obiecali, a pan się wyłamał.

Po twarzy jasnowłosego mężczyzny przebiegł skurcz. Clark wstał i skrzyżował ramiona.

– Owszem, ma pan rację. Wyłamałem się, przyznaję. Ale jakie ma to teraz znaczenie?

– Rozgniewał pan duchy – szepnęła z wyrzutem pani Ackroyd. – I one zabrały ze sobą duszę pańskiej ciotki!

Clark zbladł i sięgnął po stojącą na komodzie karafkę, żeby nalać sobie na dno szklanki kroplę szkockiej. Oparł wolną dłoń o gzyms kominka i odwrócony do nas bokiem, zapatrzył się w ogień.

– Przerwałem krąg – rzekł głucho. – Złamałem dane słowo, przyznaję. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko, że zrobiłem to, bo po prostu nie wierzyłem w duchy.

Patrzyłam na jego posągowy profil z wydatnym nosem i mocno



zarysowaną szczęką widniejący na tle głębokich półcieni i ognia.

– A teraz wierzysz? – spytałam cicho.

– Jakże mógłby nie wierzyć?! – rzuciła gdzieś w przestrzeń pani Martens. Jej miękka, pulchna twarz o różowawych policzkach i niedużych brązowych oczach lekko się zatrzęsała. Wciąż była przerażona i ścisnęła dłoń pułkownika Martensa. – Pani Sara Ackroyd ma rację! Wszyscy byliśmy świadkami działania sił nadprzyrodzonych! Widzieliśmy, co się stało! O czym tu rozmawiać?

Pan Martens jako stary żołnierz był widać pragmatykiem, bo powiedział, ziewnąwszy znacząco:

– Moja Marianne ma rację. Myślę, że wszystkim dobrze zrobi parę godzin snu. Zmarłej nie pomożemy, więc proponuję, żebyśmy spróbowali się przespać.

– Przespać?! – wykrzyknęła mu prosto w twarz pani Martens, nadzwyczaj oburzona tą propozycją. – George, czy zdołałbyś zmrużyć oko w tym domu po tym, co się stało?! Wiedząc, że może być nawiedzony?!

Pułkownik widocznie się spłoszył.

– Oczywiście, że nie, koteczko! Myślałem tylko...

Pani Martens nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Nie jestem w stanie zasnąć ani na minutę z myślą, że po tym domu mogą krążyć duchy!

– Chyba nikt nie jest w stanie – przytaknęła jej pani Ackroyd. – Ale przyzna pani, że lepiej zostać tutaj, w ciepłe i przy ogniu, niż ryzykować spotkanie ze zjawami w ciemności i w tej niesamowitej mgle...

– Do rana i tak się stąd nie ruszymy – stwierdził rzeczowo pan Frank. – Mgła jest na to stanowczo zbyt gęsta. Właściwie odcięła nas od reszty świata.

Zapadło milczenie.

– Właśnie dlatego, skoro nikt z nas i tak nie zamierza spać tej nocy, sądzę, że powinniśmy podzielić się ze sobą tym, co myślimy o śmierci pani Jones – powtórzyłam to, co powiedziałam wcześniej, wprawiając teraz wszystkich w konsternację.

– Panno Madeline, a co pani o tym myśli? – spytał uprzejmie pan Frank Ackroyd, szukając odpowiedzi w moich oczach.

Odetchnęłam głębiej. Moje serce biło coraz szybciej.

– Sama nie wiem – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Dlatego chcę zrozumieć, co się stało.

– A jaki scenariusz bierze pani pod uwagę?

– Cóż... – Wzdrygnęłam się i poszukałam wzrokiem Gabriela. Nadal stał w cieniu. Nie zamienił przy mnie ani słowa ze swoimi rodzicami. Domyśliłam się, że są ze sobą skłóceni. On i państwo Ackroydowie musieli posprzeczać się w czasie, kiedy byłam nieprzytomna. Gabriel od początku był przeciwny udziałowi swej matki i ojca w seansie spirytystycznym. Mimo to pan Frank Ackroyd zabrał tutaj jego matkę, co tylko nadwyreżyło jej zszargane nerwy.

Spojrzałam na zamyśloną twarz młodego mężczyzny, szukając w niej zgody na to, co chcę powiedzieć. Znalazłam ją w przenikliwym spojrzeniu i postawie – miałam wrażenie, że dosłownie wyczytałam ją w jego myślach. Gabriel zrobił krok w moją stronę, a ja powiedziałam powoli, siląc się na względny spokój:

– Pan Gabriel sądzi, że pani Flora Jones mogła zostać zamordowana.

Milczenie, które zapadło po wypowiedzeniu przeze mnie tych słów, było druzgocące. Spojrzenia wszystkich skupiły się na Gabrielu Ackroydzie. Jego ojciec przyglądał mu się z naganą. Widocznie nie był w stanie uwierzyć własnym uszom. Mimo to wciąż nie odezwał się do syna. Zastanawiałam się, który z nich jest bardziej uparty.

– Zamordowana... – zaczął skonsternowany pan Martens. – Cóż

za niedorzeczność!

Clark zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Z niedowierzaniem popatrzył na Gabriela.

– To szaleństwo! Jakie dowody ma pan na poparcie tej tezy?

Gabriel wyprostował się.

– Jeżeli chodzi o dowody, to mam nadzieję, że z państwa pomocą uda mi się je odkryć i wszystko ustalić.

Clark skrzyżował ramiona. W jego niebieskich oczach błysnął gniew.

– Więc nie ma żadnych dowodów... Co więc miałoby skłonić nas do przypuszczenia, że ciotka Flora padła ofiarą zabójstwa?

– Jej śmierć nie wyglądała naturalnie.

– Na Boga, nic w tamtej chwili nie wyglądało naturalnie. Może nasze umysły zaczęły płatać nam figle. Proszę mi wierzyć, to skutek napiętych nerwów.

Gabriel odetchnął głębiej.

– Panie Cagwar, mam jeszcze inne powody, by przypuszczać, że pańską ciotkę zabito.

Clark drgnął.

– Jakież?

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie może pan powiedzieć?!

Z niedowierzaniem wpatrywaliśmy się w Gabriela Ackroyda.

– Zobowiązałem się do zachowania tajemnicy. Proszę mi wybaczyć, ale muszę jej dotrzymać. – Mężczyzna skłonił się lekko, przykładając prawą dłoń do serca.

Clark potrząsnął głową.

– Proszę wybaczyć, ale doprawdy nie pojmuję. Skoro nie może pan powiedzieć, to może lepiej było zachować całkowite milczenie? – Spojrzał na bladą jak śnieg panią Ackroyd, która znowu zaczęła

dygotać. – Pańska biedna matka jest wystarczająco zdenerwowana. Podobnie jak my wszyscy... Niszczy pan resztki spokoju tymi niepopartymi oskarżeniami. – Spojrzał na mnie z troską w błyszczących oczach. – Tylko miesza pan w głowie biednej Madeline!

Po twarzy Gabriela przemknął bolesny skurcz.

– Panie Cagwar, ale czy to znaczy, że pan wierzy, jakoby panią Florę zabiły duchy?

– Nie wiem. – Clark wzruszył ramionami. – Być może nie wytrzymało jej serce. Była słabego zdrowia. Od dawna chorowała – powiedział cicho.

– Ależ oczywiście, że to były duchy! I to nie jeden, lecz co najmniej kilka! – odezwała się nagle pani Martens głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Jeśli pan nie wierzy, to proszę spojrzeć na to! Pokaż mu, George! Pokaż wszystkim państwu te kartki!

Pułkownik Martens posłusznie wstał z fotela i podszedł do stojącego w kącie salonu stołu, przy którym jeszcze niedawno odbywał się seans spirytystyczny. Żadne z nas nie zbliżało się tam aż do tej pory. Emerytowany pułkownik zabrał z blatu stosik kartek, które zostały zapisane pismem automatycznym przez panią Florę pod dyktando duchów.

– Niech państwo spojrzą – rzekł z powagą, rozłożywszy kartki jedna obok drugiej na stoliku kawowym, z którego chwilę wcześniej zebrałam opróżnione filiżanki. Odstawiłam tacę na komodę i popatrzyłam na liczne, zapełnione pismem, białe strony. Moje serce zadrżało. Na moment zrobiło mi się słabo i oparłam się na ramieniu Clarka. Ani on, ani ja, ani nikt inny nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom.

Każda ze stron, podobnie jak niektóre sąsiadujące ze sobą zdania, była zapisana odmiennym charakterem pisma.

## 8. SMOCZA KREW

Wpatrywaliśmy się oniemiała w rozłożone w kilku rzędach luźne kartki. Zapisała je niewątpliwie Flora Jones, lecz czy jej rękę prowadziły przy tym duchy? W tej chwili nie miałam wątpliwości, że tak właśnie było. Wydawało mi się niemożliwe, żeby jedna osoba – sympatyczna, urocza starsza dama – była w stanie posługiwać się kilkoma tak bardzo różniącymi się od siebie stylami pisma!

Skreślone piórem litery zmieniały kształty niemal z każdym zdaniem: raz były pochyłe, a raz proste, raz drobne i mocno ściśnięte, a raz posuwiste, później mocno zaokrąglone – tylko po to, by na kolejnej kartce zmienić się w coś na kształt pisma drukowanego. Jakim cudem wyszły spod tej samej ręki?

Nie tylko różnaitość charakterów pisma, lecz przede wszystkim treść napisów dosłownie jeżyła nam wszystkim włosy na głowie. Szczególnie rzucały się w oczy niektóre urywki...

NIEBEZPIECZEŃSTWO, NIEBEZPIECZEŃSTWO,  
NIEBEZPIECZEŃSTWO...

WOKÓŁ TEGO STOŁU WIELE OSÓB TKWI, ALE TYLKO JEDNA  
MA SZALONE SNY...

ZBLIŻA SIĘ, ZBLIŻA SIĘ, ZBLIŻA SIĘ, ZBLIŻA SIĘ...

STRZEŻ SIĘ MGŁY, STRZEŻ SIĘ, MGŁA, MGŁA...

JESTEM BLIŻEJ, NIŻ MYŚLISZ. NIE TAM. NIE TAM, GDZIE SIĘ  
SPODZIEWASZ...

TUTAJ...

ŚMIERĆ... ŚMIERĆ JEST CORAZ BLIŻEJ...

Pani Sara Ackroyd wyjęła z torebki czarny wachlarz ze strusich piór i zaczęła nim trzepotać nerwowo. Pióra falowały wokół jej bladej twarzy, muskając ją chłodnym podmuchem.

– Słabo mi... – jęknęła, mocniej opierając plecy na oparciu kanapy.

– Oddychaj głęboko, Saro – rzekł pan Ackroyd.

– Anno, skocz prędko po sole trzeźwiące! – powiedziałam do młodej rudowłosej pokojówki, która zjawiła się właśnie, żeby odnieść tacę z filiżankami.

– Nie trzeba, panno Madeline, mam sole trzeźwiące w torebce... – rzekła słabym głosem pani Sara, lekko przymykając powieki.

– Czy mogę? – spytałam i na skinienie pana Ackroyda szybko odnalazłam w jej torebce zgrabny flakonik ze złotym zamknięciem na łańcuszku. Razem z panem Frankiem delikatnie odchyliłiśmy w tył głowę pani Sary, a ja podsunęłam jej pod nos otwarty flakon. Kobieta wdychała ulatniający się z niego bukiet ostrych zapachów. Po chwili jej twarz, choć nadal niezmiernie blada, zaczęła odzyskiwać łagodny koloryt.

– Czy pani Flora Jones używała soli trzeźwiących? – zapytał niespodziewanie Gabriel Ackroyd.

Oczy wszystkich skierowały się na niego.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Clark Cagwar. – Zapewne tak. To prawdopodobne.

– Czy zgodzi się pan, żebyśmy to sprawdzili?

– W jaki sposób?

– Zajrzyjmy do jej torebki.

Clark lekko zacisnął usta.

– Jak pan sobie życzy – syknął z nutą złości. – Zakończmy jak najszybciej to przedstawienie!

Postąpił krok ku drzwiom.

– Pójdę zatem po torebkę mojej ciotki. Złożyliśmy ją razem z jej

ciałem.

– Myślę, że ktoś powinien pójść z panem – rzekł cicho Gabriel.

– Słucham? – Po twarzy Clarka przebiegł skurcz. Zobaczyłam, jak lekko zacisnął pięści. – Panie Ackroyd, do licha, co pan insynuuje?!

– Musi mi pan wybaczyć, ale...

– Może on ma rację, Clark – spróbowałam załagodzić sytuację. Delikatnie chwyciłam Clarka za rękę. – Skoro mamy rozwiązać wszystkie wątpliwości, ktoś powinien pójść tam z tobą. Panu Gabrielowi chodzi zapewne o obecność świadków – spojrzałam w niebieskie oczy wysokiego blondyna. – Trzeba uciąć szybko te podejrzenia – dodałam, spoglądając teraz z głębokim wyrzutem na Gabriela. Zmrużyłam oczy i rzuciłam do niego cicho i przenikliwie: – Choć tym razem pan przesadził, panie Ackroyd!

– Świetnie. Zatem kto z państwa idzie ze mną do pokoju nieboszczki? – spytał lekko zniecierpliwiony Clark.

– Ja pójdę – powiedziałam, powstrzymując wahanie, które właśnie zaczynało mnie ogarniać.

– I ja – rzekł Gabriel Ackroyd. – Czy ktoś jeszcze?

Odpowiedziała mu cisza.

– Jak najszybciej wracajcie państwo z torebką – rzekł zmęczonym głosem pan Frank. – Czas ukrócić te nedorzeczne podejrzenia! – Pomyślałam, że skierował te słowa do syna.

Gabriel jednak nie odpowiedział.

Korytarzem o ścianach ozdobionych obrazami w grubych ramach przedstawiającymi nadmorskie pejzaże, wrzosowiska oraz sceny łowów dotarliśmy do pokoju, w którym leżało martwe ciało pani Flory. Na jego widok moje serce przeszło lodowatym zimnem.

Stara dama leżała nieruchomo na łóżku, obok którego ktoś, zapewne Rosalind, zapalił pojedynczą świecę, symbolizującą czuwanie przy zmarłym. Łóżko przykryto czarną narzutą z miękkiej

wełny, co w moim odczuciu upodobniło je do katafalku. Oczy starszej pani były zamknięte, lecz jej usta, muśnięte mocną czerwienią, której używała za życia, pozostały lekko rozchylone. Miałam wrażenie, że ich ułożenie nie zmieniło się od tamtej straszliwej chwili, w której zielonkawy, mieniący obłoczek światła wydobył się z nich, unosząc ze sobą duszę Flory.

Zmówiłam nad ciałem zmarłej krótką modlitwę, po czym pochyliłam się, by sięgnąć po leżącą u jej wezgłowia torebkę. Wzięłam ją i rzuciłam ostatnie spojrzenie na tę zastygłą na wieki twarz staruszki. Mocno umalowane, rozchylone usta nadal napawały mnie grozą i przykuwały moją uwagę. Spojrzałam na nie i stwierdziłam z odrobiną mimowolnego obrzydzenia, ale przede wszystkim ze współczującym smutkiem, że ciotka Clarka miała problemy z uzębieniem i z dziąsłami. Zauważyłam na jej dziąsłach ciemny, fioletowawy nalot.

Podaliśmy torebkę pani Flory Clarkowi i wszyscy troje, łącznie z Gabrielem, wyszliśmy z pokoju.

Bezgłośnie westchnęłam z ulgą.

W salonie reszta towarzystwa oczekiwała na nas niecierpliwie.

– Żadnych duchów, kiedy nas nie było? – spytał ich Clark z bladym uśmiechem.

Chciał chyba jakoś rozluźnić napiętą atmosferę i spróbować obrócić ją w żart. Niestety nikt z obecnych, łącznie ze mną, nie docenił i nie poparł jego wysiłku.

Gabriel przysunął stary drewniany pomocnik do stolika kawowego, na którym nadal spoczywały zapisane przez panią Florę kartki. Postanowiliśmy metodycznie rozłożyć na blacie całą zawartość torebki zmarłej pani Jones.

Spojrzałam wyzywająco w oczy Gabriela Ackroyda. Oburzyło mnie, że podał w wątpliwość uczciwość Clarka, i to w sytuacji, kiedy



ten ostatni powinien teraz móc w spokoju opłakiwać zmarłą krewną. Byłam w stanie zrozumieć wątpliwości Gabriela co do sposobu, w jaki odeszła pani Flora, lecz jego zachowanie wydawało mi się coraz dziwniejsze.

Pan Frank w asyście nas wszystkich układał na drewnianym blacie drobiazgi Flory. Jako pierwsze wydobył małe pudełko z ukrytą wewnątrz talią kart. Gdy je otworzył, z talii wysunęła się pojedyncza karta. Pani Sara krzyknęła, a mnie przeniknął lodowaty dreszcz. Karta przedstawiała wędrującego drogą ludzkiego szkielet, który niósł na ramieniu ostrą kosę.

– Cóż to jest?! – wykrzyknęła pani Martens, zakrywając sobie usta palcami.

– Spokojnie. To karty tarota – szepnął Clark, lekko marszcząc brwi. – Najwyraźniej ciotka Flora posługiwała się nimi jako jednym z narzędzi do kontaktu z duchami.

– Sporo pan wie o tych sprawach... – zauważył oschle pan Frank, rzucając mu badawcze spojrzenie.

– O tarocie? Owszem, znam znaczenie kart. Ale to nie z powodu wiary w duchy. Jak już wspomniałem pannie Madeline podczas pewnej rozmowy, interesuję się co nieco pracami austriackiego lekarza Zygmunta Freuda. Chodzi o badanie psychiki człowieka i zasiedlających ją symboli. Karty tarota zawierają obrazki o złożonej symbolice. Stanowią ciekawe narzędzie analizy ludzkiego ducha... To przy okazji studiowania prac Freuda dowiedziałem się pewnego razu o tarocie – wyjaśnił Clark i spojrzał na mnie przeciągle. – Panna Madeline również czytała jedną z prac tego badacza. Sporo tam rozważań o symbolach. Czyż nie, Madeline?

– Tak, to prawda – przyznałam cicho i spuściłam wzrok. Poczułam się mocno speszona. W tej chwili nie miałam ochoty kontynuować tego tematu. Obawiałam się, że ktoś z obecnych zapyta, skąd

u młodej damy z Londynu tak nietypowe zainteresowanie psychiatrią oraz badaniami snów... Na szczęście dwaj mężczyźni nadal kontynuowali swoją rozmowę.

– Jest pan prawnikiem, prawda? – spytał Clarka pan Frank.

– Tak jest. Czemu pan pyta?

– W pańskim zawodzie ta dość nowomodna „psychologia” wydaje się nietypowym zainteresowaniem.

– Pewnie pana zaskoczę, ale jest wprost przeciwnie – odparł Clark. – Dobry prawnik powinien znać się na ludziach. Zarówno po to, żeby umieć odróżnić zbrodniarzy od uczciwych ludzi oraz od pospolitych przestępców, jak i po to, żeby jego mowy w sądzie były przekonujące.

– A więc w sądzie chodzi o dar przekonywania innych?

– Jak we wszystkim, panie Ackroyd.

– A oto i sole trzeźwiące – przerwałam dyskusję dwóch panów, sięgając do torebki Flory Jones po niewielki flakon.

– A więc pan Gabriel miał rację – zauważył żywo pan Martens.

– W jakiej sprawie? – zdziwił się Clark. – To, że moja ciotka miała przy sobie ten flakon, nie jest przecież niczym nadzwyczajnym. Chorowała i mogły zdarzać się jej omdlenia.

– Pan Clark ma słuszość – odezwała się słabym głosem pani Sara, nieprzerwanie trzepocząc czarnym wachlarzem. – Znam pewne chorowite damy, które zawsze noszą sole trzeźwiące przy sobie.

– Pewnie pan Gabriel chciałby, żebyśmy sprawdzili zawartość buteleczki – mruknął Clark z nieskrywaną nutą cierpkiej ironii.

– Jeżeli może pan to uczynić...

Pani Martens bez dalszych dyskusji otworzyła flakon.

– Moim zdaniem to zwyczajna sól trzeźwiąca – oznajmiła po chwili, marszcząc nos.

– Skoro już interesują państwa flakony i najróżniejsze mieszaniny,

mam wrażenie, że tutaj jest ich więcej – oznajmił Frank Ackroyd, wyciągając z torebki zmarłej puzderko na przybory kosmetyczne w formie uroczej skrzyneczki o złoconych brzegach.

– Czy naprawdę musimy... – zaczął Clark, ale ciekawska pani Martens już otworzyła puzderko.

Od wewnątrz było obite delikatnie udrapowanym łośosiovym jedwabiem i dzieliło się na trzy części. W schowku po wewnętrznej stronie wieka znajdowała się szczotka do włosów z końskiego włosia, w dolnej szufladzie pędzelki do nakładania pomad, kremów i pudrów, zaś w środkowym schowku kilka szklanych pojemniczków z kosmetykami. Pani Martens zaczęła otwierać je jeden po drugim z żywym zainteresowaniem.

– Świętej pamięci pani Flora zawsze mocno malowała usta – mruknęła, zaglądając do największego pojemnika z czerwonym proszkiem, który zaczął mocno skrzyć się w świetle świec.

– Co to takiego? – zapytał Gabriel.

– Niewątpliwie sproszkowane malowidło do ust – odparłam cicho. Moje londyńskie przyjaciółki malowały się dyskretnie, a kolor ich licznym sekretnym pomadom i smarowidłom nadawały pigmenty albo barwniki pochodzenia roślinnego. – Przed nałożeniem trzeba je jeszcze rozrobić z miodem, woskiem albo pachnącym olejem...

– Zaraz, zaraz! – odezwał się niespodziewanie pan Martens.

Wszyscy spojrzeli na niego, ponieważ stary żołnierz, nieco zahukany przez żonę, wypowiedział te słowa tak stanowczo, jak gdyby wydawał rozkaz prostym rekrutom.

George Martens sięgnął po pojemnik z czerwonym pigmentem i wysypał odrobinę zawartości na środek swej dłoni. Potem z uwagą przyglądał się jej pod światło.

– Wiedziałem! – rzekł w końcu z powagą.

– Ale co, George? Co takiego? – dopytywała z ciekawością jego

żona.

– To cynober. – Mina emerytowanego pułkownika była stanowcza.

– Sproszkowany cynober.

– Skąd pan wie? – spytałam z powagą.

– Nie mogę się mylić, panno Madeline! Kiedy mój oddział stacjonował w Egipcie, wysłano nas, żeby stłumić zarzewie rewolty niedaleko Gizy. Znajdowała się tam kopalnia cynobru. Pozyskuje się z niego rtęć, której potrzeba do produkcji luster – powiedział powoli.

– A także do innych celów... – dodał Frank Ackroyd.

Pułkownik Martens zamrugnął zaokrąglonymi oczyma i spojrzał z uwagą na Gabriela Ackroyda.

– Długotrwałe oddziaływanie cynobru może wywołać zatrucie – rzekł powoli, marszcząc przy tym czoło. – Widziałem tego skutki u arabskich kopaczy w Egipcie...

Przełknęłam ślinę, bo nagle zaschło mi w ustach.

– Jakie to były skutki? – Usłyszałam swój własny, drżący głos zadający pytanie, jak gdyby należał do innej osoby. – W jaki sposób objawiało się zatrucie?

Pan Martens zachmurzył się.

– Ci ludzie bardzo cierpieli. To znaczy ci, którzy pracowali w tej kopalni długo... – Pokiwał głową, oddając się na chwilę ponurym wspomnieniom. – Jednych męczył kaszel, innych wymioty i biegunka. Raz widziałem człowieka, który upadł i zaczął się trząść... Drżał z zimna i tarzał się w piasku tej przeklętej pustyni – mruknął cicho korpulentny mężczyzna.

Po jego słowach w salonie zapadło ponure milczenie. Lekko zacisnęłam dłonie. Poczułam, że są teraz śliskie od potu.

– A zęby?

– Panno Madeline? – Pan Martens nie pojął, o co pytam.

– Czy coś działo się z zębami tamtych górników?

– Madeline, na Boga, o czym ty mówisz? – spytał Clark, nie mniej zdumiony niż reszta towarzystwa.

Spojrzałam mu prosto w oczy. Miałam wyrzuty sumienia, że jeszcze bardziej burzę jego spokój, lecz wiedziałam, że sumienie będzie mi wyrzucać równie mocno, jeżeli nie wyznam tego, o czym myślę.

– Kiedy poszliśmy po torebkę twojej ciotki... zauważyłam, że miała zniszczone zęby. Jej dziąsła były pociemniałe. Pewnie ogarnia mnie szaleństwo, bo w tej sytuacji... W tej sytuacji ten fakt wydał mi się dziwny – powiedziałam szybko, jednym tchem.

Pułkownik Martens wbił we mnie zaskoczone spojrzenie.

– Panno Madeline, tak było! Widziałem prawie czarne dziąsła u arabskich kopaczy w Egipcie!

Pułkownik wydał się podekscytowany moim odkryciem. Jako jedyny z obecnych zdawał się nie poddawać krążącym między nami lękom.

– Cynober! – mruknął znowu, pokazując nam szkarłatny proszek na swej dłoni. – W kopalni wyglądał jak czerwone strupy albo blizny na powierzchni skał. Arabowie nazywali go *zinijfrach*, czyli dracena... W ich języku znaczy to „smocza krew”.

## 9. W SIECI PODEJRZEŃ

*Smocza krew...*

Ta nazwa rozbrzmiewała przez chwilę w mojej głowie, budząc skojarzenia z baśniami, jakie wuj Roger opowiadał mi czasem w dzieciństwie. Smoki, podobnie jak bazyliszek, były w nich zachłannymi istotami, które zazdrośnie strzegły złotych skarbów i pożerały niewinne niewiasty...

Z ponurej zadumy wyrwał mnie głos pana Franka.

– Proszę o wybaczenie za moją bezpośredniość, lecz pani Flora Jones była już wiekową damą – zauważył starszy pan Ackroyd. – I nie widzę nic dziwnego w tym, że mogła mieć problemy z uzębieniem.

– Ale dlaczego do malowania ust używała akurat cynobru? Kiedy istnieją inne świetne barwniki?

– Podejrzewam, że inne barwniki nie dają równie długotrwałego efektu jak czysty, mineralny pigment – zauważył przytomnie pan Martens. – W Egipcie ktoś powiedział mi, że z cynobru korzystają również malarze, żeby uzyskać wyjątkowo trwałą kolor nazywany chińską czerwienią. Cóż... niestety ja sam słabo znam się na sztuce.

– Czy pani Flora nie wiedziała, że ten proszek może być dla niej trujący? – spytałam cicho.

– Zapewne nie zdawała sobie z tego sprawy. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, panno Madeline – rzekł pan Frank Ackroyd.

– O ile się nie mylę, pani Flora od lat mocno malowała usta – mruknęła pani Martens, która zdawała się wiedzieć wszystko

o wszystkich w promieniu dwudziestu mil od Torquay.

– To było jedno z jej drobnych dziwactw – zgodził się Clark.

– A może raczej odrobina kobiecej próżności, której na starość nie potrafiła się wyzbyć – rzekła w zamyśleniu pani Sara.

– Możliwe, że ten kosmetyk wpłynął na stan jej zdrowia – podjął Frank Ackroyd, szczelnie zamykając szklany pojemnik z purpurowym proszkiem. – Nie widzę tu jednak żadnego związku z rzekomym morderstwem.

Na słowo „morderstwo” mimowolnie się wzdygnęłam.

– Zastanówmy się... – odezwał się swoim głębokim głosem Gabriel Ackroyd, a ja rzuciłam mu błagalne spojrzenie. Zajrzał mi w oczy ze smutkiem, ale nie odpuścił. – Fakt, że pani Flora prawdopodobnie przez dłuższy czas zażywała tę truciznę, nie pozostaje bez znaczenia dla jej śmierci.

– Zgodzę się z pana ostatnim zdaniem – rzucił ku niemu Clark i skrzyżował ramiona. – Moja droga ciotka umarła, lecz nawet jeśli nieświadomie się truła, to, do diaska, nikt jej nie zabił!

Wszyscy zamilkli. W salonie miarowo niosło się tykanie zegara z kurantem. Lada chwila miała wybić północ.

– A wiadomości od duchów? – podjęła zdławionym głosem Sara Ackroyd. Zerknęłam niepewnie na zapisane ręką Flory kartki rozłożone na niskim stole.

– Przecież zjawy pisały o grożącym nam niebezpieczeństwie... Czyż duchy nie ostrzegały nas w ten sposób przed mającym się dokonać zabójstwem? – szeptała przerażona matka Gabriela.

– Błagam panią, przestańmy już mówić o duchach! – zawołał Clark, lecz było za późno. Pani Martens w mgnieniu oka podchwyciła temat.

– Święte słowa, droga pani Ackroyd! – szepnęła z przejęciem do przyodzianej w czerń damy, po czym z nadzieją zwróciła się

ku mnie: – Czyż nie, droga Madeline? To było ostrzeżenie!

– Nie wiem, co o tym sądzić, ale... – w głowie miałam mętlik.

– ...ale duchy ostrzegały nas przed straszliwym niebezpieczeństwem – dokończyła za mnie złowieszczym szeptem Sara Ackroyd. Zamrugnęła swoimi bladymi powiekami i uniosła zamglony, dziwnie zubożniały wzrok znad zapisanych przez nieboszczkę kartek. – Czy sądzicie, że nadal nam coś zagraża?

Drgnęłam. Chociaż wszyscy próbowali zachować spokój, czułam, że udziela im się strach, który zaatakował nasze umysły kolejną falą.

– Boję się, George! – wyznała nagle pani Martens. Zaciśnęła swoje nieduże brązowe oczy i uczepliła się ramienia męża. – Czuję, że naprawdę coś nam grozi!

– Nonsens – powiedział Clark i ciężko usiadł w fotelu. Potarł ręką czoło. – Duchy nie istnieją, pani Martens.

– Jeśli jest tak, jak pan mówi, to co takiego widzieliśmy na własne oczy!? Czym była ta świetlista zielona zjawa? I kto w takim razie zabił Florę Jones? – wyszeptała bezsilnym głosem pani Sara. Siedziała na kanapie i patrzyła w przestrzeń nieobecny wzrokiem. Zaczynałam martwić się o nią coraz bardziej. W reakcji na tak wiele okropnych przeżyć, jakie na nią spadły, zdawała się popadać w mroczne otępienie.

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie – powtórzyła zdławionym głosem pani Martens.

Nieoczekiwanie odezwał się jej mąż.

– Moja Marianne w pewnym sensie może mieć rację – rzekł powoli pułkownik, ważąc słowa. – Zapewne zdajecie sobie państwo sprawę, że jeżeli podejrzenie pana Gabriela Ackroyda jest słuszne i ktoś naprawdę pomógł umrzeć biednej pani Jones... to znaczyłoby, że morderca jest wśród nas.

– Proszę przestać! – wykrzyknęłam. – To niemożliwe!



Zakryłam bladą twarz dłońmi.

– Oczywiście, że to niemożliwe! – Clark wstał i opiekuńczo objął mnie ramieniem. Poczułam, że w oczach mam zimne łzy. – Już dobrze, Madeline.

Przytulił mnie mocno.

– Nikomu nic nie grozi, obiecuję – powiedział, po czym zwrócił się do Gabriela Ackroyda: – Widzi pan, co pan narobił, Gabrielu?! To pańska wina! Przeraził pan wszystkich tymi bezsensownymi dociekaniem, a teraz pan milczy! Nie ma pan nic do powiedzenia?!

Gabriel Ackroyd stał pośrodku salonu. Błyski z kominka odbijały się w jego ciemnych oczach i otaczały twarz bladożółtą poświatą. W pociągłych rysach, w jego silnej, smukłej sylwetce, a nawet w upartym milczeniu było coś, co sprawiało, że mimo złości kolejny raz nie mogłam oderwać od niego oczu. Przyciągał mnie do siebie, nieomal zniewalał...

– Już powiedziałem to, co miałem powiedzieć – rzekł stanowczo, a jednocześnie spokojnie. – Jeżeli chcecie państwo, żebym coś dodał, będą to pytania, które chciałbym wszystkim zadać.

– Jakie, u licha, pytania? – zdenerwował się Clark.

Gabriel wcisnął dłonie w kieszenie spodni.

– Chciałbym, żeby każdy z nas opowiedział, co robił dziś w ciągu dnia. W szczególności zaś – w jaki sposób spędził dzień od chwili, gdy otrzymał zaproszenie na seans spirytystyczny we Wzgórzu Mgieł.

Wszyscy milczeli. Miałam wrażenie, że cisza, która zaległa w salonie, jest równie gęsta i nieomal namacalna jak mgła, która leżała obecnie na wrzosowiskach i oplątywała dom grubym kokonem.

Poczułam w głębi serca dziwny impuls.

– Pan Gabriel ma rację – rzekłam cicho.

– Co takiego?!

Przetarłam oczy opuszkami palców i odetchnęłam.

– Mieliśmy rozprawić się z naszymi domysłami i podejrzeniami. A także udowodnić sobie, że nic nam nie grozi. Teraz pani Martens i pani Ackroyd uważają, że nadal jesteśmy w niebezpieczeństwie. – Popatrzyłam na poważnego pana Franka. – Nie uspokoją się, dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy najlepiej, jak tylko umiemy. Dlatego sądzę, że to dobry pomysł. Niech każde z nas, każda z osób, które wzięły udział w seansie, opowie reszcie, jak spędziła dzień.

Pan Frank skinął głową.

– Zgadzam się. Przynajmniej będziemy mówić o czymś innym niż wydarzenia tej nocy – rzekł powoli.

– Właśnie tak. Dzięki temu oderwiemy myśli od śmierci pan Flory... Od duchów, ciemności... i od tego salonu – dodałam, siląc się na błądy uśmiech.

– W rzeczy samej – zauważyła pani Martens. – Poczuję się lepiej, gdybyśmy mogli przenieść się do innego pomieszczenia, panno Madeline. Mam ciarki, kiedy przypominam sobie, co się tutaj stało.

Skinęłam głową.

– Ma pani rację. Poproszę Rosalind, żeby rozpałała w kominku w głównej jadalni. Jest tam duży stół i wygodne fotele – powiedziałam z błądym uśmiechem. Główna jadalnia od śmierci wuja Rogera dołączyła do nieużywanych pomieszczeń w domu, wierzyłam jednak, że ciocia Hortense zrozumie fakt, iż postanowiłam zaprosić do niej naszych gości.

Pani Martens pociągnęła nosem.

– Nie ma z nami pani Hortense – zauważyła cicho. – A ona także uczestniczyła w seansie.

– Wprawdzie nie chciałabym tego robić, ale jeżeli pani sobie tego życzy, to pójdę na górę obudzić moją ciotkę – powiedziałam.

– Nie widzę takiej potrzeby... – wtrącił się Clark cichym, zmęczonym głosem. – Czy wiesz, jak twoja ciotka spędziła dzień?

– O ile mi wiadomo, nie wychodziła z domu – odparłam na skierowane do mnie pytanie.

– W takim razie wystarczy twoja opowieść, Madeline. W razie wątpliwości możemy po prostu spytać służącej.

Skinęłam głową.

– Rosalind zaraz przyjdzie i zaprosi państwa do głównej jadalni. Proszę mi wybaczyć, ale zanim zaczniemy, chciałabym tak czy inaczej jeszcze na moment zajrzeć do mojej ciotki – powiedziałam.

Niepokoiliam się o zdrowie i samopoczucie cioci Hortense i od długich chwil tylko ze względu na gości walczyłam z ochotą, żeby pójść do niej i przekonać się, jak to wszystko zniosła.

– Oczywiście, panno Madeline – rzekł pan Frank. – Zaczekamy na panią. Proszę się nie spieszyć.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością i dygnęłam. Odwróciłam się ku dębowym schodom wiodącym na górę.

– Pójść z tobą? – spytał Clark, dotknąwszy lekko mego przedramienia.

– Nie trzeba – podziękowałam za tę propozycję. Spojrzałam w jego oczy. – Proszę, zaopiekuj się resztą towarzystwa.

Wysoki blondyn uśmiechnął się blado. Skinęłam mu głową i lekko unosząc w palcach rąbki sukni, wstąpiłam na ciężkie dębowe stopnie wiodące na górę.

## 10. SEKRET NASZYJNIKA

Na nocnym stoliku przy łóżku ciotki Hortense paliła się lampka naftowa, która dawała równe, rozproszone światło, przesączające się przez szklany klosz. Weszłam najciszej, jak potrafiłam, i przysunęłam sobie niskie krzesło stojące przed pięknie rzeźbioną toaletką z lakierowanego na wysoki połysk drzewa orzechowego. Usiadłam i delikatnie dotknęłam szczupłej, bladej dłoni spoczywającej na mocno wykrochmalonej pościeli.

Ciotka Hortense uniosła powieki i uśmiechnęła się do mnie łagodnie i smutno.

– Nie śpię, Madeline – powiedziała cicho. – Waleriana podziałała tylko na chwilę. Nie mogłabym zasnąć.

– Ciociu Hortense! – Przytuliłam ją i położyłam głowę na jej piersi, jak gdybym była znowu małą dziewczynką, która coś zbroiła, po czym cicho zaszlochałam. – Tak bardzo mi przykro, ciociu!

– Już dobrze, Madeline... – Ciotka Hortense pogładziła mnie po włosach, uwalniając przy okazji kilka pojedynczych kosmyków z mojego eleganckiego koka. – Flora była moją bliską przyjaciółką. Myślę, że miała szybką i raczej bezbolesną śmierć... Od dawna chorowała. Wiem, że obawiała się długotrwałego cierpienia. – Lekko westchnęła. – Dlatego, choć już teraz bardzo za nią tęsknię, to po namyśle cieszę się, że odeszła w ten sposób. Pomyśl tylko... Przed śmiercią zdążyła nawet pogodzić się z rodziną siostry w Ameryce, a nawet zaskarbić sobie przywiązanie swojego siostrzeńca, którego nie widziała od lat. O ile wiem, nie zostawiła żadnych

niedokończonych spraw. Myślę, że odeszła w spokoju.

Otarłam łzy i uśmiechnęłam się do niej słabo.

– Cieszę się, że tak myślisz, ciociu – powiedziałam. Poczułam spływającą na mnie ulgę. – Myślę, że masz rację. Pani Flora odeszła pogodzona ze światem i z samą sobą.

Ciotka Hortense lekko ścisnęła moją dłoń.

– Jeżeli miałabym czegoś żałować w związku z jej śmiercią, to chyba tylko tego, że nie zdążyliśmy przywołać ducha mojego kochanego Rogera – westchnęła. – Po tym, czego wszyscy byliśmy świadkami, już nikt nie może wątpić, że kochana Flora była najprawdziwszym medium. Jej niezwykłe zdolności były większe, niż przypuszczałam... Prawdę mówiąc, aż dotąd chwilami w nie wątpiłam. Żałuję tego...

– Niepotrzebnie, ciociu. Byłaś przyjaciółką pani Flory i zawsze ją wspierałaś. Mówiłaś wczoraj, że ufałyście sobie bezgranicznie. Tylko to się liczy – powiedziałam.

– Masz rację. – Ciotka ścisnęła mi rękę, po czym dodała: – Muszę ci coś powiedzieć.

Skinęłam głową.

– Bardzo chciałam, żeby Flora przywołała mojego Rogera. Powiedziała mi, że w tym celu mogłaby posłużyć się wahadełkiem... A jednocześnie potrzebowała czegoś, co miało dla Rogera i dla mnie dużą wartość. Chodziło jej o przedmiot, który by nas ze sobą wiązał...

– Ciocia przerwała.

– I?

Starsza pani lekko wzruszyła ramionami.

– Cóż, dałam jej ten naszyjnik, którego nie zakładałam, odkąd Roger umarł. Pamiętasz? Ten, który kupił dla mnie w Indiach...

– Ten z okrągłym brylantem? – spytałam z lekkim niedowierzaniem.

Napłynęły odległe wspomnienia...

Ja jako mała dziewczynka, która biegnie do tego domu prosto z zabawy na wrzosowiskach, w ubłoconej sukience. Roześmiana, z rozwianymi włosami i z bukietem świeżo zerwanych polnych kwiatów. Ze śmiechem pędzę przez ozłoczone słońcem pokoje i korytarze, żeby wręczyć kwiaty mojej cioci. Zastaję Hortense w uchylonych drzwiach jej sypialni – świeżą, zielonooką i zalotną, ze spływającym na kark luźnym kokiem wijących się włosów w kolorze popielaty blond. Jej śliczna twarz odbija się w ogromnym zwierciadle, przed którym ciocia stoi. Uśmiecha się, a jej oczy lśnią niczym dwie zielone sadzawki w słoneczny dzień. Młody wuj Roger, o głowę od niej wyższy i szaleńczo przystojny, stoi tuż za nią. Delikatnie zapina na jej szyi złoty naszyjnik z ogromnym, pojedynczym brylantem. Następnie przesuwając dłonie na jej biodra, a potem obejmując ją w pasie i składając na jej obojczyku namiętny pocałunek. Hortense nachyla ku niemu twarz, żeby oddać pieśczętę, i właśnie wtedy dostrzega mnie w prześwicie między drzwiami a futryną.

– Madeline! – Śmieje się perliście i kuca, rozkładając ramiona. – Chodź do mnie, Madeline!

Podbiegam, a ona przytula mnie z czułością.

– Gdzie tak się ubrudziłaś? – pyta.

– Byłam z Arturem na wrzosowisku. To dla ciebie! – Z uśmiechem wręczam jej bukiet.

– Jakie cudowne kwiaty! – zachwyca się. – Dziś mam dzień podarunków. Ty przyniosłaś mi ten pachnący bukiet, a popatrz tylko, co właśnie dał mi wujek Roger!

– Wygląda jak gwiazda – mówię, wpatrując się w ogromny lśniący brylant, który zdaje się płonąć wewnętrznym światłem.

– Podoba ci się? Kiedyś, kiedy będę już bardzo, bardzo starą

kobietą, podaruję go właśnie tobie! – szepcze Hortense i całuje mnie w policzek.

– A kiedy ty będziesz starą kobietą? – śmieje się wuj Roger i bierze mnie na barana, a potem, jak gdyby nagle zmienił zdanie, porywa mnie znów w ramiona i ku mej uciesze kręci ze mną w powietrzu kilka młynków. – To będzie za bardzo wiele, wiele, wiele lat! Do tego czasu ten szkrab będzie musiał jeszcze sporo urosnąć!

Wspomnienie rozplynęło się przed moimi oczami niczym kłęby mgły pędzonej słonym wiatrem po wrzosowisku. Zamiast prześlicznej, zielonookiej, popielato blond damy zobaczyłam przed sobą bardzo szczupłą, białowłosą staruszkę.

– Flora miała użyć naszyjnika podczas seansu, żeby przywołać Rogera – powiedziała. – Naszyjnik jest w jej torebce. Weź go, Madeline. Od tej pory należy do ciebie.

Poczułam, jak mój puls przyspieszył.

– Ciociu, czy jesteś pewna, że...

– Ciiii... – Hortense uciszyła mnie z błogim uśmiechem. – Naszyjnik miał dla mnie głównie wartość sentymentalną. Nie martw się tym, jak bardzo jest drogi... Roger i ja nie mieliśmy własnych dzieci, choć oboje bardzo tego pragnęliśmy. Chcę, żebyś go wzięła, Madeline. – Ścisnęła moją dłoń.

Próbowałam nie dać po sobie poznać ogarniającego mnie niepokoju.

– Dziękuję ci, ciociu. To wiele dla mnie znaczy. – Pocałowałam ją w pomarszczony policzek. – Więc naszyjnik jest w torebce pani Flory?

– Tak – powtórzyła. – Dałam go jej przed seansem, kiedy spałaś po swoim spacerze. Chciałam, żeby miała go w pogotowiu, by użyć go do przywołania... – Hortense dyskretnie ziewnęła. – Sama wiesz kogo...

Moje serce załomotało w popłochu, lecz starałam się zachować

opanowanie.

– Ciociu, czy jesteś pewna, że...

– Żadnych dyskusji. Idź po niego. Tak się cieszę się, że cię mam. – Ciotka przymknęła powieki. Jej oddech się wyrównywał. Wstałam i ucałowałam ją w czoło.

– Kocham cię, ciociu – szepnęłam.

– A ja ciebie, Madeline. – Jej głos stawał się coraz cichszy. – Bardzo kochałam Rogera, wiesz? Szalałam za nim... Wyobrażasz sobie, że wiedziałam, że zostanie moim mężem, kiedy tylko po raz pierwszy go zobaczyłam? Czasem to zdawało mi się tak... nieprawdopodobne... Ale nasz wewnętrzny głos wie, co mówi... Przeczuwa przyszłość, która dopiero się wydarzy. Słuchaj go, Madeline...

Po chwili wymknęłam się z sypialni ciotki Hortense na paluszkach. Dziękowałam Bogu, że zasnęła, a ja w tym czasie będę mogła spróbować wymyślić, co dalej.

Zamknęłam za sobą drzwi i ciężko oparłam się o chłodną ścianę. Czułam serce tłukące się coraz szybciej w mojej unoszącej się miarowo piersi. Żołądek ścisnął mi się w supeł.

Ciotka Hortense miała już swoje lata, lecz nadal posiadała bystry umysł i nigdy nie doskwierały jej najmniejsze nawet problemy z pamięcią. Jeżeli twierdziła, że dała naszyjnik Florze Jones i że schowały go w torebce medium, to znaczyło, że powinien tam być.

Ale go nie było.

Przecież pan Frank Ackroyd na oczach nas wszystkich dokładnie przetrząsnął całą zawartość torebki!

Ponure przecucia wzbierały we mnie fala za falą. Moje myśli szybowały jak szalone. Podejrzenia Gabriela Ackroyda, które jeszcze chwilę temu miałam ochotę określić jako obraźliwe i niedorzeczne, nabrały nagle nowego wymiaru. A co, jeżeli Gabriel miał rację i pani



Flora naprawdę została zamordowana?! Teraz wiedziałam, że jeśli rzeczywiście istniał jakiś morderca, to miał on konkretny motyw. Jeżeli ten ktoś dowiedział się o bezcennym diamentowym naszyjniku, pokusa morderstwa dla rabunku mogła łatwo zagnieździć się w wypaczonym umyśle...

Spróbowałam uspokoić oddech. Sama nie wiedziałam już, w co wierzyć. Czy zabójca naprawdę mógł znajdować się wśród nas? Zrozumiałam, że muszę zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Lada chwila powinnam wrócić do naszych gości, nie mogłam dać po sobie poznać, że coś się wydarzyło. Informacja o kradzieży wywołałaby tylko jeszcze większą panikę, a w dodatku mogłaby spłoszyć złodzieja.

Pomyślałam z iskierką przewrotnej nadziei, że być może ta kradzież to sprawka kogoś ze służby i nie ma żadnego związku z morderstwem. Zaraz jednak zganiłam się za takie myśli. Oczywiście w pierwszej chwili pomyślałam o Annie... Ale czy fakt, że pokojówka mnie dziś przestraszyła, zresztą być może całkowicie przypadkiem, dawał mi prawo do snucia tak poważnych oskarżeń? A może uciekła do opuszczonej części domu, bo to ja, nie wiedząc o tym, przestraszyłam ją? Może akurat miała tam coś do zrobienia, sprzątanie albo mycie okien?

*Daj spokój, Madeline. Chyba sama w to nie wierzysz!* – usłyszałam swój wewnętrzny głos. – *Zbyt wiele przypadków jak na jeden dzień i noc, nie sądzisz?*

Moje ciało przeszył nagły chłód. Czułam, że od intensywnego myślenia zaraz rozboli mnie głowa. Pracownicy pozostawali na służbie u ciotki od lat i mieli jej pełne zaufanie. Tylko rudowłosa Anna była nowa. Rosalind powiedziała mi, że zatrudniono ją we Wzgórzu Mgieł pół roku temu. Ale to przecież w żadnym razie nie czyniło z niej złodziejki!

Niosąc w ręku malutką lampę naftową, zaszłam na chwilę do mojej sypialni. Z tęsknotą spojrzałam na otulone muślinowym baldachimem, wygodne łożo z rzeźbionymi w spirale drewnianymi kolumnienkami. Miałam ochotę rzucić się na nie i zapaść w sen, udawać, że to wszystko, co się wydarzyło tej nocy, nigdy nie miało miejsca. Zamiast tego obmyłam tylko twarz chłodną wodą i usiadłam przed lustrem toaletki. Starannie poprawiłam delikatny makijaż oraz fryzurę.

– Dasz sobie radę, Madeline – powiedziałam.

W słabym świetle lampki spojrzałam w swoje orzechowe oczy, odbijające się w lustrzanej tafli. Jeżeli miałam udawać, że nic się nie stało, że jestem spokojna, opanowana i pewna siebie, to tak właśnie powinnam wyglądać.

## 11. KSIĘŻYCOWA MUZYKA

Kiedy wyszłam z sypialni na korytarz, moich uszu nieoczekiwanie dobiegła muzyka. Była odległa, cicha i tak ulotna, że uchwyciłam jej dźwięki jak gdyby na skraju świadomości. Kolejne nuty muskały moje zmysły niczym najłżejsza bryza znad fal oceanu. Głęboko zaintrygowana zaczęłam wolno iść w kierunku, z którego zdawały się płynąć.

Minęłam dwie pary szerokich, łukowatych schodów prowadzących do salonu i zeszłam innymi schodami, na końcu korytarza. Prowadziły one bezpośrednio na przeciwległy kraniec domu, po stronie przestronnego ogrodu i zielonego parku, który stopniowo przechodził we wrzosowiska. Park był odgraniczony od wrzosowisk niskim kamiennym murem, lecz odkąd tylko pamiętałam, stare dęby zwieszały rosochate gałęzie na drugą stronę ogrodzenia, zaś płożące się nisko wrzosy nic sobie nie robiły z granicy ustanowionej przez ludzi. W ten sposób ogród i bezkresne wrzosowiska zdawały się nawzajem przenikać.

Od południowej strony między domem a ogrodem znajdowała się oranżeria. Muzyka prowadziła mnie właśnie ku niej.

Stąpałam wolno, mocno przestraszona, lecz jednocześnie urzeczona niewypowiedzianą harmonią dźwięków. Teraz już wyraźnie słyszałam grające pianino. Tajemnicze palce, które przyciskały jego klawisze, uderzały zarazem w jakąś sekretną strunę w mojej duszy.

Uniosłam wyżej lampę naftową i zobaczyłam, że drzwi do oranżerii były uchylone. Z drżeniem przekroczyłam próg,

wdychając zapach wilgotnej, świeżo spulchnionej ziemi, drzewek pomarańczowych, a także mnóstwa innych egzotycznych roślin. Wuj Roger latami sprowadzał je do Anglii specjalnie dla ciotki Hortense. Obecnie niejasno przypominałam sobie niektóre nazwy kwiatów, krzewów i pnączy: rosły tu między innymi różne odmiany figowców, oleandry, fikusy, krotony i kalatee, a także męczennice o gwiaździstych, jasnych kwiatach. Moje serce uderzało coraz szybciej. Na Boga, któż w tym ciepłolubnym gąszczu ustawił pianino?

Jak gdyby w odpowiedzi na moje pytanie za przeszkloną ścianą oranżerii nagle pojawił się prześwit we mgle. Do wewnątrz spłynął snop księżycowego światła. Ukazał mi sylwetkę młodego mężczyzny pochylającego się z zapamiętaniem nad klawiszami. Każdy dźwięk płynący spod jego palców przesywał przestrzeń i splatał się w niej z innymi w przejmującą melodię. Wyrażała ona smutek, tęsknotę i ból. Miałam wrażenie, że czas się zatrzymał, zatopiony w gęstej mgle niczym motyl w bursztynie. W księżycowym blasku kłębiące się za szybami opary wyglądały jak skrzący się biały szron, który na wieki pokrył świat. Czułam rozlewający się po moim ciele chłód. Nie mogłam się poruszyć. Nie wiedziałam, czy minęły minuty, czy godziny niepewności, kiedy zdołałam wreszcie wydobyć z siebie głos.

– Pan Ackroyd?

Młody mężczyzna uniósł spuszczoną nisko głowę znad klawiatury instrumentu, który niemal samoistnie wystukał kilka ostatnich nut.

– Panna Madeline!

– Co pan tu robi? – spytałam, przełknąwszy ślinę.

Gabriel Ackroyd skłonił się głęboko.

– Proszę o wybaczenie. Kiedy pani wyszła, służąca zaprowadziła państwa Martensów do jadalni. Moi rodzice chwilowo zostali

w salonie, zaś pan Cagwar poszedł zapalić fajkę na tarasie. Skorzystałem z ogólnego zamieszania, żeby wyjść na chwilę do ogrodu i przewietrzyć głowę. Kiedy ujrzałem pianino, nie mogłem się powstrzymać. Drzwi do oranżerii były otwarte. Nie przypuszczałem, że znajdę słuchaczkę. Nie chciałem pani przestraszyć.

– Nie przestraszył mnie pan – powiedziałam.

– Nie? – spytał miękko – To dlaczego pani drży?

Opuściłam niżej lampę z myślą, że w jej świetle zbyt łatwo czyta z mej twarzy.

– Ze wzruszenia – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Spuściłam wzrok. – Kiedy pan grał, poczułam ból pańskiej straty – wyznałam, mając na myśli śmierć jego brata. – Pańskiej i pańskich rodziców.

Gabriel lekko się skłonił, jak gdyby bez słów dziękował mi za to wyznanie.

– A więc udało mi się trafić do pani serca. – Nagle poczułam na sobie jego oczy wpatrzone we mnie w chłodnym blasku księżyca.

– Nie marzyłem o niczym innym od chwili, kiedy wczoraj po raz pierwszy ujrzałem panią we mgle. Przestraszyłem się wtedy, że jest pani tylko cudnym widziadłem, Madeline. Ale pani jest prawdziwa.

Moje serce zatrzepotało niczym spłoszony ptak, zaś nieśmiałość, lęk i niedowierzanie kazały mi spytać:

– Co to za utwór, który pan grał?

– Preludium e-moll Chopina.

Skinęłam głową, bo znałam nazwisko kompozytora. Na naszej ulicy w Londynie był sklep muzyczny, gdzie zaopatrywało się w nuty wiele dam, dla których częścią pożądanego wykształcenia była umiejętność choćby poprawnej gry na instrumencie.

– Słyszałam o nim, że umarł w biedzie gdzieś we Francji – rzekłam cicho.

– Niestety nie każdy ma taki koniec, na jaki zasłużył.

Coś w jego głosie wzbudziło moją czujność.

– Jak pani Flora Jones? – spytałam odrobinę wyzywająco.

Gabriel milczał.

– Nadal pan sądzi, że ją zamordowano?

– A pani nie? – Zbliżył się o krok.

– Ten trujący proszek, z którego pani Flora sporządzała sobie malowidło do ust... To mógł być przypadek – rzekłam cicho.

– Jak już wspomniałem, mam jeszcze inny powód, żeby podejrzewać, że za jej śmiercią stoi zabójstwo.

Zmarszczyłam brwi.

– Byłoby łatwiej, gdyby mógł mi pan go zdradzić.

– Wyjaśniłem wszystkim, że obowiązuje mnie tajemnica. Muszę jej dochować.

– Tajemnica? – powtórzyłam, szukając odpowiedzi w jego oczach. Moje serce zabiło niespokojnie. – Gabrielu, czy ktoś pana szantażuje?

Potrząsnął głową.

– Nie mogę pani nic powiedzieć. Przykro mi.

– Nawet jeżeli milcząc, chroni pan mordercę? – spytałam w przybliżeniu bezsilnej złości.

Odwrocił wzrok, a mnie przeszył chłód.

– Gabrielu, czy te podejrzenia dotyczą kogoś z pańskiej rodziny? Na przykład... – Przełknęłam ślinę. – Pańskiego ojca?

– Skąd taka myśl?

Nie spuszczałam wzroku z jego niebiańsko przystojnej twarzy.

– Zauważyłam, że pan i pan Frank prawie się do siebie nie odzywacie. Pańscy rodzice unikają pana, ze wzajemnością. Powietrze między wami jest jakby naelektryzowane – rzekłam cicho.

Powoli skinął głową.

– Nie mogę nic powiedzieć. Oprócz tego, że obecnie między mną a moim ojcem... istnieją różnice nie do pogodzenia.

– Ale namawia pan całą naszą grupkę, żebyśmy spróbowali zdemaskować mordercę!

Gabriel zbliżył się jeszcze. Staliśmy tuż obok siebie, owiani upojnym zapachem oleandrów i drzewek pomarańczowych.

– Tak, tego właśnie chcę – rzekł zdecydowanie swoim niskim, głębokim głosem. – Żeby zrobili to inni. Nie ja, rozumie pani? Tylko w ten sposób mogę zaznać spokoju, uciszyć dręczące mnie sumienie. Mnie wiąże tajemnica, ale pani nie, Madeline.

Poczułam w gardle dławiącą gulę.

– To sprawa dla policji.

– Nie mogę jej zawiadomić.

Zadrżałam.

– Potrzebuję pani pomocy, Madeline. Proszę się zgodzić. Później pójdzie pani na policję. Ale najpierw konieczne są dowody.

Spojrzałam mu w oczy z niedowierzaniem.

– I żeby je odkryć, potrzebuje pan mnie?!

Niespodziewanie nachylił się do mego ucha i dotknął ustami jego płatek. Przeszył mnie zmysłowy, oszałamiający dreszcz gorąca.

– Potrzebuję pani bardziej, niż pani myśli, Madeline – wyszeptał tak, że każde jego słowo zmieniało się w rozkoszną pieśczętę. – Bardziej, niż może pani w tej chwili przypuszczać. – Sięgnął po moją dłoń i uniósł ją do ust, po czym wolno złożył na opuszcze każdego z mych palców po jednym delikatnym, przeciągłym pocałunku. Moje ciało rezonowało z nimi niczym trącona struna posłusznego instrumentu.

Pragnęłam więcej. Gabriel, nie puszczając mojej dłoni, podszedł do mnie od tyłu i w kilku ruchach rozpiął moją suknię. Nie spodziewałam się tego, ale było już za późno. Suknia opadła na ziemię bezszelestnie niczym kłębek mgły i odsłoniła moje nagie piersi o sterczących sutkach, moją kibić i smukłe nogi... Gabriel cały

czas przytrzymał mą rękę, lekko wykręconą, tak że nie mogłam się uwolnić. Policzki zapłonęły mi jednocześnie przejmującym wstydem i nieznanym dotąd pożądaniem. Mężczyzna przylgnął do mnie gwałtownie całym ciałem – dokładnie czułam jego mięśnie pod tkaniną ubrania. Obrócił mnie twarzą ku sobie i oparł moje pośladki o pianino, po czym prędko, zachłannie zaczął pieścić ustami moje sutki. Mięśnie napięły mi się, bezwiednie odchyliłam głowę w tył i cicho jęknęłam z rozkoszy. Zamknęłam oczy, bezwolnie poddając się ekstazie, jakiej mężczyzna poddawał moje zmysły.

– Pragnę pani ciepła, Madeline... – Usłyszałam na skraju myśli niski, męski szept. – Dotyku pani skóry... Pragnę pani ciała... I pani duszy...

To jedno wypowiedziane słowo – „dusza” – przypomniało mi nagle o seansie spirytystycznym, o tajemniczej śmierci pani Jones i o zaginionym naszym ciotki Hortense. Wybudziłam się z upojnego transu, który niemal pochłonął moją jaźń.

– Proszę przestać – szepnęłam.

Usłuchał. Powoli klęknął przede mną i sięgnął po leżącą na ziemi suknię. Uniósł delikatny jasny materiał i zakrył moje ciało niczym skarb. Przycisnęłam suknię do piersi.

– Czy pomóc pani się ubrać?

Gwałtownie docierało do mnie, co się między nami stało i co jeszcze mogłoby się wydarzyć.

– Proszę stąd wyjść! – zawołałam cicho, jak gdybym dopiero teraz odzyskiwała wolność decydowania o sobie samej.

Ciemne oczy Gabriela Ackroyda spoczęły na moich ustach. Nachylił się ku mnie tak, że nasze ciała niemal się zetknęły, lecz uczynił to tylko po to, żeby postawić na blacie pianina moją małą naftową lampę ze szklanym kloszem.

– Pomóż mi, Madeline – szepnął, muskając dłońią moje włosy. –



Należysz do mnie od chwili, kiedy cię ujrzałem. Razem uda nam się zdemaskować mordercę.

Naga, zawstydzona i drżąca od chłodu, poczułam się jak ptak schwytyany w sieć.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś nim ty? – spytałam z rozpaczą, nieporadnie próbując zakryć mą nagość materiałem sukni.

Nie odpowiedział, tylko popatrzył na księżyc.

– Zostało nam mało czasu, żeby odkryć prawdę.

– Mało czasu?

– Dopóki nie opadnie mgła...

Zacisnęłam powieki i wyszeptałam:

– Wyjdź stąd.

Moje ciało owionął podmuch, od którego rozpalona jeszcze pieśczołami skóra nagle pokryła się gęsią skórą. Kiedy otworzyłam zaciśnięte oczy, stałam w oranżerii sama. Mgła zakryła znów księżyc i gwiazdy – jedynym źródłem światła została naftowa lampka na pianinie. W jej blasku musiałam założyć bieliznę i suknię.

Moje zmysły płonęły nadal, trzewiami szarpała tęsknota za ciałem Gabriela Ackroyda, lecz do moich myśli znów zaczęły sączyć się strach i niepewność, które były obecnie silniejsze niż wcześniej.

## 12. TWARZ UPIORA

Kiedy szłam do głównej jadalni we Wzgórzu Mgieł, nie wiedziałam, jak poradzę sobie z obecnością Gabriela Ackroyda. Na myśl o nim ogarniała mnie nieznana wcześniej tęsknota, a jednocześnie coraz większy lęk. Przerażała mnie łatwość, z jaką ów w gruncie rzeczy prawie nieznanomy mężczyzna w kilka chwil zyskał władzę nade mną.

Reszta towarzystwa już na mnie czekała. Wszyscy siedzieli przy długim dębowym stole, na którym migotało rzesiście kilka srebrnych kandelabrow. W kominku trzaskał rozpalony przez służącą ogień. Mimo to w pomieszczeniu nadal czuć było chłód. Reprezentacyjna jadalnia z wysokimi oknami wychodzącymi na niewielki staw, latem obsypany mnóstwem lilii wodnych, praktycznie nie była użytkowana od śmierci wuja Rogera. Wzdłuż wysokich ścian wisały obrazy w grubych złotonych ramach – przedstawiały portrety arystokratycznych przodków wuja. Na honorowym miejscu znajdowała się kopia portretu młodej królowej Wiktorii w czerwonej sukni ozdobionej diamentową broszą.

– Długo pani nie było, panno Madeline – zauważyła pani Sara Ackroyd.

– Przepraszam – bąknęłam, zajmując miejsce obok niej, naprzeciwko zionącego nocą okna i wyjścia na kamienny taras nad stawem. – Musiałam zdrzemnąć się przez chwilę na krześle przy łóżku cioci... – Spuściłam wzrok.

– Nie ma pani za co przepraszać – rzekł pan Frank. – Wręcz

przeciwnie, to rozumiała, że jest pani wykończona.

– Jak się czuje lady Hortense? – spytał Clark.

– Śpi – odparłam.

– Rozmawiałaś z nią, Madeline?

Moje serce zabiło szybciej. Błyskawicznie podjęłam decyzję.

– Nie – skłamałam z łatwością, jakiej się po sobie nie spodziewałam. – Gdy przyszłam, ciotka spała głęboko. Waleriana zadziałała i nie chciałam jej budzić.

– I cały ten czas spędziła pani ze śpiącą ciotką? – Dobiegł mnie głęboki głos Gabriela Ackroyda.

Lekko zadrżałam. Nie podniosłam spuszczonego oczu, kryjąc moje spojrzenie za ażurową zasłoną rzęs. Zastanawiałam się, czy ktoś zauważy nagły rumieniec na moich policzkach. On na pewno tak. W to nie wątpiłam.

– Owszem – odparłam cicho. – To znaczy... poszłam jeszcze na chwilę do siebie, by się odświeżyć.

– Cóż, zaczynamy naszą turę opowieści – Clark przerwał tę wymianę zdań i złożył dłonie w piramidkę. Zajął miejsce u szczytu stołu i ogarnął wzrokiem zebranych niczym prawnik rozpoczynający przesłuchanie...

– Kto z państwa chciałby opowiedzieć jako pierwszy, co porabiał w ciągu minionego dnia?

Chwilową ciszę przerwało westchnienie Sary Ackroyd.

– My z mężem nie robiliśmy nic nadzwyczajnego – rzekła wolno cichym, zmęczonym głosem. – Cały ranek spędziłam w łóżku z potworną migreną. Mój organizm musiał przeczuwać nadejście tej dziwnej pogody. Śniadanie także spożyłam w łóżku.

– A gdy nadeszło zaproszenie na seans spirytystyczny?

Pani Sara przymknęła oczy.

– Postanowiłam poczytać Biblię. Bardzo chciałam tu przyjechać, ale

nie byłam pewna, czy to jednak nie grzech. Chodzi mi o wywołanie ducha oczywiście... Jednak lektura Pisma Świętego rozwiała moje wątpliwości. Powiedziałam Frankowi, że musimy koniecznie się wybrać.

Pani Ackroyd rzuciła mężowi głębokie spojrzenie.

– Co było potem?

– Potem... – Pani Sara chrząknęła, a mąż delikatnie chwycił ją za rękę. – Cóż, prawdę mówiąc, posprzeczałyśmy się o to.

– Pani i pan Frank? – zapytałam. Zastanawiałam się, czy Gabriel interweniował w czasie kłótni rodziców. Czy to dlatego się do niego nie odzywali?

– Owszem... Ale nie zamierzam wyciągać tutaj prywatnych brudów – oznajmiła kobieta poważnym głosem. – Od zaginięcia syna przeżywamy trudny okres. Na pewno to państwo rozumiecie...

– Sprzeczką dotyczyła kwestii państwa przyjazdu do Wzgórza Mgieł? – chciał się upewnić Clark. – Proszę mi wybaczyć dociekliwość, droga pani Ackroyd, ale jeżeli wszyscy mamy zyskać spokój ducha, nie chciałbym pozostawiać wątpliwości.

Sara Ackroyd spojrzała na męża szklistym wzrokiem.

– Tak, pokłóciliśmy się właśnie o to – wyjaśnił pan Frank. – A dokładniej o seans spirytystyczny. Byłem temu przeciwny, ale Sara się uparła.

– Moje życie straciło sens – jęknęła jego żona. – Tak bardzo chciałam spróbować...

Zdjęta współczuciem delikatnie ścisnęłam jej dłoń w czarnej rękawiczce.

– Wszyscy doskonale to rozumiemy, pani Ackroyd – zapewniłam ściszym głosem.

– Zgodziłem się i zaczęliśmy szykować się do wyjazdu. – Pan Frank Ackroyd westchnął ciężko.

– Rozumiem. A co pan robił od rana? – spytał Clark.

Pan Frank wbił w niego chłodne niczym stal oczy.

– Rano rozmawiałem z oficerem policji w Torquay.

Clark zmarszczył brwi.

– Doprawdy? W jakiej sprawie?

– W sprawie śmierci mojego syna oczywiście. Pozwolą państwo jednak, że zachowam dla siebie wszelkie szczegóły tej rozmowy – uciął pan Ackroyd zdecydowanie.

– Oczywiście...

Pozostali goście tylko skinęli głowami. Uczyniłam to samo, chociaż chciałam wiedzieć, co dokładnie przydarzyło się bratu Gabriela w tak młodym wieku. Uznałam jednak, że wszyscy oprócz mnie, prawdopodobnie za sprawą lubującej się w plotkach pani Martens, są dobrze zorientowani w sytuacji. Doprawdy niewiele zdołałoby się ukryć w sąsiedztwie takiego miasteczka jak Torquay, a już na pewno nie zgon jednego ze spadkobierców zamożnej rodziny z okolic. Skarciłam się w myślach za nadmierną, niezdrową ciekawość... Czy dla jej zaspokojenia miałam moralne prawo ożywiać świeży ból Gabriela Ackroyda i jego bliskich? I tak zobaczyłam i usłyszałam już wystarczająco dużo, by mieć pewność, że śmierć jednego z synów Ackroydów miała posmak druzgocącej tragedii.

– Później aż do obiadu pracowałam w gabinecie – kontynuował swoje sprawozdanie pan Frank. – Przeglądałem między innymi ostatnie raporty dzierżawców... Od zaginięcia syna nagromadziło się wiele papierkowych spraw, którymi musiałem się zająć. Po obiedzie wybuchła ta sprzeczka z Sarą... – Odchrząknął. – Po podwieczorku zdecydowaliśmy, że jednak skorzystamy z zaproszenia lady Hortense.

– I przez cały dzień nie wydarzyło się nic niezwykłego?

– Absolutnie nic – zapewnił pan Frank. Wzruszył ramionami. – Może za wyjątkiem tej mgły. – Skinął w stronę okiennej szyby, która

wyglądała jak zaparowana. Nawet mrok na zewnątrz jak gdyby poszarzał, choć do świtu było jeszcze daleko. – Nie spodziewaliśmy się równie nagłego załamania pogody. Nasz przyjazd opóźnił się z tego powodu. To wszystko.

Pan Frank sięgnął po filiżankę z herbatą.

– A pani, panno Madeline? – zwrócił się do mnie niespodziewanie Gabriel Ackroyd.

Na dźwięk jego niskiego, wibrującego głosu zadrżałam. Wspomnienie pocałunków, które zniewalały moje ciało, sprowadziło na moje policzki kolejny rumieniec. W myślach poczułam zapach jego skóry łączący się z wonią oleandrów i drzewek pomarańczowych, usłyszałam ciche dźwięki klawiszy pianina...

– Zaledwie wczoraj przyjechała pani do nas z Londynu. Jak spędziła pani pierwszy dzień we Wzgórzu Mgieł? I czy pani przyjazd wynikał z jakichś szczególnych przyczyn? – spytał Gabriel, spoglądając mi prosto w oczy.

Bezwiednie podkurczyłam palce dłoni i mocniej wyprostowałam się na brzegu krzesła.

Do diaska, czemu spytał o przyczyny mego przyjazdu? Czy powinnam skłamać?

*Nie tym razem. Jedno kłamstwo w ciągu nocy wystarczy, Madeline* – rzekłam do siebie w myślach.

– Jeżeli chodzi o mój przyjazd z Londynu, to towarzyszyły mu pewne powody natury osobistej – rzekłam cicho. – Nie dotyczą one jednak wczorajszego dnia – podkreśliłam.

– A jak spędziła pani ów dzień, panno Madeline? – spytał uprzejmie pułkownik Martens, uprzedzając wszelkie komentarze.

– Cóż, cały ranek przebywałam z ciotką. Siedziałyśmy na werandzie, szydełkowałyśmy i spacerowałyśmy po ogrodzie. Koło południa ciocia Hortense poszła się zdrzemnąć, a ja wybrałam się

na spacer po wrzosowiskach. Doszłam aż nad brzeg oceanu... Potem spotkała mnie niemiła przygoda.

– Jakaż to? – zainteresowała się pani Martens.

– Cóż, w drodze powrotnej do domu zabłądziłam we mgle – wyznałam. – Nie wspominałam o tym ciotce, bo nie chciałam jej denerwować, a na szczęście wszystko dobrze się skończyło – odetchnęłam. – Znalazł mnie Artur, który wracał bryczką z objazdu po państwa domach z zaproszeniami na wieczór. Sama nie wiem, w jaki sposób dotarłam do drogi. Najadłam się strachu... Teraz wiem, że na przyszłość muszę być bardziej ostrożna.

– Co było potem, Madeline? – spytał Clark.

– W domu przebrałam się i zeszłam do salonu. Wypiłam herbatę i zapadłam w drzemkę. Potem zjadłam obiad i pomogłam ciotce oraz pani Florze w przygotowaniach do wieczoru. To wszystko. O reszcie państwo już wiecie...

– Więc i tobie nie przydarzyło się nic niezwykłego – podsumował Clark.

– Nic, o czym warto by było wspomnieć? – dopytywała pani Martens.

– Nie. – Tu zawahałam się. – To znaczy tak. A właściwie... Sama nie wiem...

Pani Martens poruszyła się na krześle niczym zaintrygowana kura na grzędzie.

– Coś się stało, panno Madeline? – spytał pan Frank łagodnie.

Popatrzyłam w jego chłodne szare oczy. Pomyślałam mimowolnie, że Gabriel z twarzy nie jest do niego podobny. Znacznie bardziej wdał się w matkę – dostrzegałam w jego obliczu odbicie jej smukłych, arystokratycznych rysów. Ciekawe, który z dwóch braci był ulubionym synem? Chyba mogłam domyślić się odpowiedzi. Zrobiło mi się smutno.

– Cóż. – Wygładziłam fałdkę sukni i splotłam moje szczupłe dłonie na kolanach. – Kiedy stałam sama na szczycie klifu, zdawało mi się, że widzę kogoś na plaży. Właściwie byłam tego pewna, ale teraz już nie jestem... Bo to chyba niemożliwe, prawda? – Spojrzałam po twarzach zgromadzonych osób. – Napływała mgła, mogło mi się coś przywidzieć. Poza tym zaczynał się przypływ, a sami państwo wiecie najlepiej, jak silne bywają tu pływy... – Odetchnęłam głębiej, bo przed moimi oczyma przewinęło się zniecka pewne odległe wspomnienie. – Przeraziłam się, że ten ktoś się utopi. Zaczęłam nawet krzyżeć, ale on mnie nie słyszał. Po prostu... rozpułnął się we mgle.

– To był mężczyzna?

– Tak sędzę.

Poczułam na sobie skonsternowane spojrzenia wszystkich obecnych.

– Być może... – szepnęła drżącym głosem pani Ackroyd. – ...ujrzała pani ducha.

Wiedziałam, że wypowiedziała na głos to, o czym prawdopodobnie pomyśleli wszyscy wokół, a przynajmniej większość, ale i tak spojrzałam na nią z przestrachem.

Wówczas pani Ackroyd zaczęła krzyżeć.

Jej przeraźliwy pisk wibrował w mojej głowie i kłuł za powiekami tysiącem cieniutkich igiełek. Wydobywał się z szeroko otwartych, wykrzywionych ust, które na tle jej śmiertelnie bladej twarzy odcinały się niczym powstała nagle czarna jama. Jej zaczerwienione od płaczu i niewyspania oczy, które dotąd zdawały się zmęczone mgłą nieobecności, błyszcząły teraz nienaturalnie, wpatrzone w jeden punkt. Miejszem tym było wysokie okno naprzeciwko. Podążyłam za spojrzeniem Sary Ackroyd. I wówczas ja także ją ujrzałam.

Do szyby przyciśnięta była czyjaś twarz. Obserwowała nas – blada, zniekształcona, o czarnych oczach pozbawionych źrenic, oświetlona



od dołu nieziemskim blaskiem.

Zaniemówiłam i odruchowo wyciągnęłam rękę w jej kierunku, a wówczas inni także ją zobaczyli. Panowie poderwali się z krzesel. Upiorna twarz wolno przesuwała się za szybą.

Nagle z drugiej strony domu również rozległ się czyjś przeraźliwy pisk.

– To Rosalind albo Anna! – stwierdziłam zduszonym głosem, niemal omdlewając z niepokoju.

Na szczęście Clark prędko odzyskał zimną krew. Zareagował błyskawicznie.

– Panie Ackroyd, biegnijcie tam sprawdzić, co się dzieje! – zawołał, po czym dopadł drzwi na taras i rzucił się w pogoń za intruzem. Pan Martens poszedł w jego ślady i w jednej chwili on również zniknął we mgle, która zaczęła wypełzać do środka przez otwarte na oścież drzwi tarasowe. Wokół nich pląsały omiatane przeciągiem zasłony. Gabriel i pan Frank już popędzili z jadalni w przeciwnym kierunku, szukając źródła drugiego krzyku.

Zerwałam się z krzesła i ostatecznie również wybiegłam na taras.

– Proszę zaczekać! – zawołałam. – Uważajcie na... – urwałam, bo było już za późno.

Rozległ się gwałtowny plusk. W gęstej mgle ktoś z impetem wpadł do stawu.

Nie wiedziałam tylko, czy to któryś z naszych panów, czy...

## 13. MASKA ŚMIERCI

Zamarłam. Stałam nieruchomo na kamiennym tarasie nad brzegiem stawu, który ciotka Hortense kazała pogłębić ubiegłej jesieni, żeby dać szansę przetrwania zimy ozdobnym czerwonym karpom. Nasłuchiwałam.

W gęstej jak wata mgłę i nieprzeniknionym mroku ze zmałconej powierzchni stawu napływały ku brzegowi kolejne, coraz słabsze fale. Lizały zimny kamień u moich stóp.

Kroki biegnących za podglądaczem mężczyzn zdawały się ucichnąć wieki temu.

Moje serce pompowało krew coraz szybciej.

*Mój Boże, czyżby ten ktoś, kto upadł, nie potrafił pływać i właśnie schodzi wolno na muliste dno, oplątywany łodygami lilii wodnych?!*

Nagle przy przeciwległym brzegu znowu rozległ się głośny plusk.

– Clark?! Panie Martens?! – zawołałam, zaciskając pięści, zdziwiona piskliwym brzmieniem mego głosu. – Czy wszystko w porządku?!

Nikt nie odpowiedział, ale zdało mi się, że usłyszałam chlupotanie wody.

Szóstym zmysłem wyczuwałam czyjaś obecność. Ktoś przypatrywał mi się poprzez gęstą mgłę – chociaż dla mnie pozostawał niewidzialny, on sam musiał dostrzegać chociażby moją sylwetkę, która odcinała się na tle wysokich, oświetlonych od wewnątrz okien domostwa. Poczułam się niczym leśna łania wystawiona na zabójczy strzał myśliwego. Wstrzymałam oddech, kiedy usłyszałam mlaskanie kroków oddalających się we mgłę z dużą

prędkością. Dopiero gdy całkiem umilkły, odetchnęłam głęboko pełną piersią.

Ale tylko na chwilę.

Odwrociłam się w bok i w głębi ogrodu uchwyciłam błysk złotych, świecących oczu. Patrzyły prosto na mnie, umiejscowione nisko przy wąskiej, wysypanej żwirem ścieżce, która okalała staw i stanowiła przesmyk łączący róg tarasu z ogrodem. Czy to obserwowała mnie zjawa, czy też jakieś drapieżne zwierzę?! Tupnęłam mocno obcasem, żeby spróbować je przepłoszyć. Ani drgnęło. Do gardła zaczęła podpełzać mi panika...

– Madeline. – Usłyszałam niski głos. Z mgły wynurzył się lekko zdyszany Gabriel Ackroyd. Z początku był tylko bezkształtnym, rozwianym cieniem, lecz po chwili rozpoznałam jego artystyczną twarz naznaczoną nieznikającym smutkiem. Musiał dostrzec moje przerażenie, bo wyciągnął ku mnie ramiona.

– Gabrielu! – Wtuliłam się w niego całym ciałem. Był zziębnięty, a ubranie miał wilgotne od mgły. Mimo to zalało mnie wewnętrzne ciepło.

– Ktoś był za oknem i przestraszył Rosalind, podobnie jak nas w jadalni – rzekł cicho. – Niestety nie zdołałem go dogonić, choć byłem blisko... Wydaje mi się, że uciekł na wrzosowiska.

Przytuliłam go mocniej.

– Już dobrze, nie bój się. Ze mną nic ci nie grozi – zapewnił mnie z czułością.

– Gabrielu... – szepnęłam. – Coś obserwuje na nas zza mgły...

Odwrociłam się w kierunku złotych ślepiów i wskazałam je niepewnym gestem. Gabriel Ackroyd powoli ruszył w tym kierunku. Wzięłam głęboki oddech. Musiałam zebrać się na odwagę...

– Zaczekaj... Poprowadzę cię po ścieżce. Tu obok jest spory staw i łatwo teraz wpaść do wody – rzekłam cicho i z szelestem sukni

wysunęłam się przed niego.

Mężczyzna chwycił mnie za rękę i znów poczułam ten sam dziwny impuls, który przepłynął między nami w ciemnościach podczas seansu z duchami. Nie wątpiłam, że napięcie, jakie istniało między nami, było dość silne, żeby krzesać w powietrzu iskry. Żłociste, płonące oczy nieznanej istoty zbliżały się z każdą chwilą. Wstrzymałam oddech, kiedy Gabriel Ackroyd oznajmił:

– To wydrążona dynia, panno Madeline.

We mgle kucnęliśmy obok niej. Owszem, był to rodzaj lampy wykonanej z wydrążonej dyni, jakie zwykle przygotowuje się na Halloween. W środku płonęła mała świeczka, której blask przesączał się przez dwa otwory w kształcie wąskich ślepiów. Po moich plecach przebiegł lodowaty dreszcz grozy.

– Spójrz tylko, tam jest kolejna... – W miejscu, gdzie ścieżka skręcała za dom, płonęła od wewnątrz kolejna wydrążona dynia.

– Wracajmy do środka – zdecydował Gabriel. Wziął pod pachę makabryczną lampę, a drugą dłoń splótł ciasno z moją. Skinęłam głową i ruszyliśmy z powrotem.

Byliśmy już na tarasie, kiedy nad stawem znowu rozległ się donośny plusk, a potem siarczyste przekleństwo. Zadrżałam.

– Pułkowniku Martens? – zawołał pytająco Gabriel, który najwyraźniej rozpoznał męski głos.

– Żeby to... psia krew... wybaczcie... panno Madeline... – Pan Martens dotarł do nas brzegiem stawu, chlupocząc butami pełnymi mulistej wody. Jego ubranie było przemoczone do suchej nitki.

– Do diaska, kompletnie nic nie widać! Wleciałem do wody, całe szczęście, że przy płytkim brzegu. – Baryłkowaty pułkownik wyglądał jak strach na wróble i choć próbował obrócić tę sytuację w żart, mnie ani trochę nie było do śmiechu.

Weszliśmy całą trójką do jadalni.

– Na litość boską! Co się stało, George?! – zawołała piskliwie pani Martens, rzucając się w ramiona swego męża, jak gdyby bohatersko powrócił z pola bitwy. – Musisz natychmiast zdjąć te mokre ubrania!

– Ależ, koteczko...

– Bez dyskusji, George! Możesz dostać zapalenia płuc i umrzeć!

– Pani Martens, czy możemy nie mówić już o śmierci? – szepnęłam błagalnie do korpulentnej damy.

– Och! – Żona pułkownika przyłożyła kraniec dłoni do ust. – Najmocniej przepraszam, panno Madeline! Ale George naprawdę musi się przebrać.

– Poproszę Rosalind, żeby spytała Artura albo pana Smitha o jakieś ubrania. Oczywiście jeśli to panu nie przeszkadza, panie Martens...

Zrobiło mi się niezręcznie. Wprawdzie byłam pewna, że ciotka Hortense zachowała część eleganckiej garderoby świętej pamięci wuja Rogera, ale proponowanie ubrania po zmarłym w tych okolicznościach uznałam za nadzwyczaj zły pomysł.

– W żadnym razie, droga panno Madeline! Oddam resztkę tabaki za suchą odzież... Mamy w wojsku takie powiedzenie: „Na żołnierzu zmokło, na żołnierzu wyschło”, ale cóż... jestem już na emeryturze.

Siedząca sztywno przy stole pani Sara zaczęła się trząść.

– A gdzie mój mąż?! Gdzie Frank?! I co to za straszdyło?! – krzyknęła z desperacją na widok wydrążonej dyni, która szczyrzyła ku nam w jadowitym uśmiechu swoją powycinaną w pomarańczowym mięszu twarz.

Obawiałam się, że pani Sara dostanie ataku paniki, lecz na szczęście w tej samej chwili z głębi domu nadeszli pan Frank, a zaraz po nim Clark, którzy dostali się do środka drzwiami od strony ogrodu i oranżerii.

Pan Frank czule objął swoją żonę.

– Nie złapaliśmy nikogo – oznajmił z widocznym rozczarowaniem

Clark.

Twarz miał zroszoną potem i widać było, że musiał przebiec spory kawałek w poszukiwaniu intruza.

– Czy to był jeden człowiek, czy było ich dwóch? – spytałam, osuwając się na krzesło.

– Nie jestem pewien. Służąca czegoś się przestraszyła, ale teraz, kiedy spytaliśmy ją o szczegóły, mówiła tylko o cieniu za oknem. To mógł być ten sam osobnik, którego widzieliśmy tutaj, na tarasie, o ile szybko przebiegł na drugą stronę domu... Sam już nie wiem.

– Tak czy inaczej, intruz zostawił na zewnątrz niespodziankę – mruknął Gabriel, wskazując na latarnię z pustej dyni. – Proszę spojrzeć, co znaleźliśmy z panną Madeline...

– Upiorne... – jęknęła pani Martens. – To przecież lampa jak na Święto Zmarłych!

– Kto mógł to zrobić?! – Moje pytanie zawisło w powietrzu.

– To jakieś szaleństwo... – wymamrotała bladymi ustami pani Sara.

– Ktoś musiał wiedzieć, że gromadzimy się na seans spirytystyczny. To znaczy po to, żeby wywoływać duchy... I postanowił sobie z nas niesmacznie żartować – zawyrokował surowym głosem pan Frank.

– Kto wie, może to jakieś dzieciaki z sąsiedztwa?!

Spojrzałam z zaskoczeniem na panią Martens, która wypowiedziała te słowa. Uznałam w duchu, że nie ma potrzeby informować jej teraz, że jest środek nocy i dzieci w domach niewątpliwie śpią. Poza tym najbliższe sąsiedztwo znajdowało się dobrych parę mil stąd. Wzgórze Mgieł stanowiło swoistą samotnię – właśnie dlatego pragnęłam przybyć tu z Londynu... Jednakże troski, które mnie do tego przywiodły, wydawały mi się teraz niczym w porównaniu z obecną, jakże frapującą i okropną dla wszystkich sytuacją.

– A panu co się stało, panie Martens? – Z ponurej zadumy wyrwał mnie głos Clarka, który widocznie dopiero teraz dostrzegł siedzącego

na krześle przy kominku pułkownika Martensa. Pułkownik próbował zdjąć buty. Woda nadal ściekała mu z ubrań, powiększając sporą kałużę u jego stóp.

– Anno, przynieś ręczniki! – zawołałam, widząc bladą służącą wchodzącą do jadalni. – Niech Rosalind postara się o czyste ubrania dla naszego gościa. I zaparz dla nas herbaty – poprosiłam.

– Miałem bliskie spotkanie ze stawem – oznajmił tymczasem były pułkownik, wyciągając zza kołnierza liść lilii wodnej. – Co, u licha?

Razem z fragmentem śliskiej rośliny pan Martens wydobył z czeluści swej mokrej garderoby przemoczoną kartonową maskę. Gruby papier zaczynał już rozmiękać, ale zachował formę białej ludzkiej twarzy z otworami na oczy i usta.

– To musiało leżeć w stawie...

Przełknęłam ślinę.

– Niewątpliwie – rzekłam, kiwając głową. – Jestem pewna, że nasz prześladowca znalazł się w stawie przed panem, panie Martens. Stojąc na tarasie, usłyszałam głośny plusk. Myślę, że wygramolił się z wody i uciekł. Ale maska została... Przypuszczam, że to ją ujrzaliśmy w oknie z panią Ackroyd w chwili, kiedy podniosła alarm.

## 14. DRUGIE UDERZENIE

– Więc sądzi pani, panno Madeline, że to, co wszyscy ujrzeliśmy w oknie, było maską? – zapytała trwożliwie Sara Ackroyd.

Odetchnęłam głębiej i rozejrzałam się po twarzach zgromadzonych gości.

– Podobnie jak panowie – tu skinęłam w stronę Clarka – jestem skłonna sądzić, że był to jakiś tajemniczy człowiek, a nie duch. Duchy na pewno nie potrzebują takich rekwizytów. – Wskazałam na białą maskę, którą postanowiliśmy wysuszyć przed kominkiem. Teraz wisiała na oparciu pustego krzesła, gdyż pułkownik Martens chwilę wcześniej wyszedł się przebrać.

Pani Sara nie wyglądała na przekonaną.

– Proszę mi wybaczyć, panno Madeline – rzekła, taksując mnie nieufnym spojrzeniem – ale co osóbką w pani wieku może w ogóle wiedzieć o duchach?

Spuściłam wzrok, lekko zbита z tropu. Ciepło bijące od kominka sprawiało, że z każdą sekundą coraz mocniej czułam opadającą mnie senność i zmęczenie. Na szczęście z odsieczą przybyła mi pani Martens.

– Przecież panna Madeline widziała co najmniej jednego ducha! – wykrzyknęła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – To chyba i tak więcej, niż w ciągu życia zdołała ujrzeć większość z nas. Mam rację, George? – spytała natychmiast na widok wchodzącego pana Martensa w świeżej koszuli, kamizelce i płóciennych spodniach.

– Całkowitą – zgodził się pułkownik Martens bez dyskusji.



Jego żona rzuciła mi triumfujące spojrzenie.

– Ja... – zawahałam się.

– Spokojnie, drogie dziecko – zwróciła się do mnie pułkownikowa opiekuńczym tonem. – Przecież wiemy, że go widziałaś.

– Ducha? – spytałam, już kompletnie pogubiona.

Pani Martens splotła pulchne dłonie.

– Oczywiście. Przecież sama nam pani to powiedziała, panno Madeline. Wczoraj po południu, na klifach... Błąkał się po plaży i rozpułynał się we mgle. Duch mężczyzny.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc po prostu zamilkłam, zamykając lekko rozchylone ze zdziwienia usta.

W gruncie rzeczy pani Martens mogła mieć rację. Jaki człowiek spacerowałby ze spokojem odciętą od świata plażą w czasie przyptywu, i to w dodatku przy takiej pogodzie? Zdawało mi się to nie do pomyślenia, chyba że ów ktoś był samobójcą.

Pomyślałam nagle o bracie Gabriela Ackroyda. Czy to możliwe, że odebrał sobie życie? A jeśli tak, to jakież straszliwy, wewnętrzny imperatyw, jakaż niepohamowana rozpacz pchnęła go do tego czynu?!

*Popuszczasz wodze wyobraźni, Madeline* – rzekłam do siebie w myślach. – *W gruncie rzeczy nie wiesz nic pewnego o zgonie czy też może raczej zaginięciu tego młodego mężczyzny.*

– Ależ oczywiście, że to był człowiek, a nie duch! – zdenerwował się Clark, który usiadł w fotelu na granicy kręgu światła padającego z kominka. – Przecież wyraźnie widziałem biegnącą sylwetkę mężczyzny! Zresztą dowodów nam chyba nie brakuje! – Clark skrzywił się, spoglądając na upiorną lampę z dyni. – Ta latarnia i papierowa maska to doprawdy aż nazbyt wiele!

– A kogo w takim razie widziała u stóp klifów panna Madeline? – nie dawała za wygraną pani Martens.

Clark zbladł, jakby z powodu tłumionej złości.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć! W tej chwili bardzo mało mnie to obchodzi! – oznajmił gwałtownie. Westchnął ciężko i zwrócił ku mnie swe intensywnie niebieskie oczy. – Wybacz, Madeline... – rzekł z lekkim ukłonem. – Ale sądzę, że te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Zgadzam się z tobą. – Uśmiechnęłam się blado. – Te dwie sprawy: mężczyzna, którego widziałam na plaży, i człowiek w masce na tarasie nie mogą się łączyć. A w domu raczej nie ma żadnych duchów... – dodałam cicho i zaraz tego pożałowałam.

– Czyżby?! – odezwała się ponurym szeptem pani Ackroyd. – Skoro tak, to co zabiło na naszych oczach Florę Jones?!

Widziałam po minie Clarka, że już miał zamiar jej coś stanowczo odpowiedzieć, kiedy nagle powietrze rozdarł przerażający krzyk. Struchlałam. Miałam wrażenie, że lodowaty piorun trafił mnie prosto w kark i pognał ku ziemi wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Ludzie w maskach powrócili! – krzyknęła pani Martens.

– To krzyczy Rosalind! – Zerwałam się z krzesła.

– Głos dobiega z piętra!

Clark, Gabriel i pan Martens ruszyli przodem, za nimi pobiegłam ja i reszta towarzystwa. Pan Frank podtrzymał bladą panią Sarę, która trzepocąc kompulsywnie wachlarzem z czarnych strusich piór, zamykała zdenerwowany pochód.

– Ani myślę zostać znów sama! – powtarzała nerwowym szeptem.

Krzyk zmienił się w głęboki, spazmatyczny szloch, a potem w głośne, zawodzące wycie. Gdyby nie długa suknia i obcasy, biegłabym prędzej, ale musiałam uważać na schodach, by się nie potknąć albo nie przydeptać zwiewnego rąbka spódnicy.

Korytarz na piętrze tonął w mroku – jedynie słabe światło lampy naftowej dobiegało z otwartych drzwi sypialni Hortense. Wynurzyła

się z za nich Rosalind – z rozwianymi włosami, w przekrzywionym czepku, z wykrzywioną twarzą, którą zasłaniała zaciśniętymi dłońmi. Szlochała i krzyczała, zataczając się jak pijana. Odbiła się od ściany i wpadła prosto na mnie.

– Pani Hortense... – wyjąkała, dławiąc się płaczem.

Poczułam w piersi chłód.

– Ciocia...

Chciałam wbiec do sypialni, lecz w progu powstrzymał mnie Clark.

– Nie patrz, Madeline! – zawołał stanowczo, jednocześnie zagradzając mi drogę. Spróbował mnie objąć, ale się wyrwałam – zdawało mi się, że walcząc z nim, walczę z przeszłością i terażniejszością, z czasem, z przeznaczeniem i ze śmiercią. Dziś wiem, że to było tylko złudzenie – złudzenie zrozpaczonego umysłu, który nie jest w stanie zaakceptować nieodwracalności zdarzeń.

Wbiegłam do sypialni.

W ogromnym, staromodnym łóżu spowitym świeżą pościelą, poduszkami i grubą kołdrą zobaczyłam martwą staruszkę. Miałam wrażenie, że dopiero w owej chwili pojęłam, jak drobna i szczupła stała się ostatnimi laty ta kobieta... Oczy Hortense były szkliste i wytrzeszczone – przypomniały dziecięcą zabawkę, szklane kulki... Z sinych ust mojej ciotki zwieszał się koniuszek języka. Wokół jej szyi zaciśnięty był wykonany z plecionki pasek.

Pasek od torebki, która do niedawna należała do Flory Jones...

Wypełnił mnie niewysłowiony ból. Krzyknęłam, ale nie usłyszałam własnego głosu. Z kimś się szamotałam, na moje oczy opadła ciemność. Nagle mrok wypełnił również moją głowę i poczułam, że osuwam się w pustkę.

## 15. NIE ZMIENISZ PRZESZŁOŚCI

Ulga nieświadomości nie trwała długo. Na pewno nie dość długo dla rozpacz, którą miałam w sercu. Obudziłam się w mojej sypialni we Wzgórzu Mgieł, w ogromnym łożu, u którego wezgłowia zwieszał się muślinowy baldachim. Na toaletce i na konsolowym biurku o wdzięcznie wygiętych, rzeźbionych nogach płonęły rozłożyste kandelabry – nie wiedzieć czemu migoczące w nich płomyki przypomniały mi świecące złote ślepia...

Spojrzałam w okno. Na zewnątrz nadal panował mrok. Dopiero po chwili zauważyłam, że jestem w ubraniu – w długiej sukni z dekoltem i małymi bufkami, którą założyłam specjalnie na wieczór. Na szyi miałam naszyjnik z drobnych pereł.

Jeszcze przez chwilę wpatrywałam się tępo w sufit, ale podświadomie czułam, że powinnam walczyć ze zmęczeniem. W głowie miałam pustkę. Próbowałam przypomnieć sobie, co się stało i dlaczego się tutaj znalazłam. Przeczesałam własny umysł, usilnie szukając jakiegoś wspomnienia, które naprowadziłoby mnie na właściwy trop – czułam tylko, że to ważne i że coś mi umyka.

Po chwili pod powiekami ujrzałam zielony obłok ulatujący w ciemność... Czerwony proszek w okrągłym słoiczku... Zapach oleandrów w oranżerii... Przypomniałam sobie latarnię z dyni... Plusk w stawie ukrytym pod dywanem z mgły... Białą papierową maskę...

Nagle nadeszło olśnienie i wstrząsnął mną dreszcz grozy. Krzyknęłam, a do oczu napłynęły mi lodowate łzy i spłynęły mi po policzkach. Wtuliłam twarz w poduszkę i przygryzłam jej brzeg,

żeby stłumić rozziewający szloch, który wyrwał się z moich ust.

– Panno Madeline!

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z obecności Anny. Młodziutka pokojówka czuwała przy mnie, siedząc na krześle u wezglowia łóżka.

Próbowałam jakoś uciszyć umysł, walczyłam z natłokiem strasznych myśli. Ostatecznie usiadłam, oparłam się o poduszkę i przyjął od Anny chusteczkę, żeby wytrzeć rozmazane łzy.

Potem spojrzałam na nią w milczeniu. Tak naprawdę dopiero teraz po raz pierwszy miałam okazję dobrze przyjrzeć się jej twarzy. Czy to możliwe, że to ta dziewczyna niedawno spoglądała na mnie z taką nienawiścią? Obecnie nie byłabym w stanie w to uwierzyć. Rudowłosa pokojówka była bardzo blada, a oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione od płaczu. Malowały się w nich tylko strach oraz przejmujący smutek.

– Która godzina, Anno? – chlipnęłam cicho.

– Zegar niedawno wybił trzecią nad ranem, panno Madeline.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

– Gdzie Rosalind?

– Położyła się, panienko. Dałam jej waleriany. To ona znalazła... – Anna zawiesiła głos, próbując stłumić wzbierający w jej piersi płacz.

– Rozumiem. – Uciszyłam ją łagodnym gestem ręki. – Czy cała służba wie już, że lady Hortense nie żyje?

Pokojówka skinęła głową.

– Tak, panienko.

– Gdzie nasi goście?

– W głównej jadalni. Podałam paniom ciastka i mleko. Pan Cagwar wyciągnął whisky. To on kazał mi czuwać przy paniencie.

– Jestem ci za to wdzięczna, Anno. – Uśmiechnęłam się do niej słabo, po czym znowu cicho zaszlochałam. Wytarłam nos świeżą

chustką, którą mi podała.

– Anno, wezwij do mnie Artura.

– Artura? – Anna lekko drgnęła.

– Owszem.

– Natychmiast, panno Madeline. – Dziewczyna w białym fartuchu dygnęła i cicho wyszła z sypialni.

Kiedy znikła na zewnątrz, wstałam z łóżka i siadłam przed lustrem toaletki, na które ktoś zarzucił pospiesznie kawałek kiru. W blasku świec obmyłam twarz w małej miednicy, otarłam ślady łez z kącików oczu i poprawiłam fryzurę. Chciałam przebrać się w czarną suknię symbolizującą żałobę po mojej kochanej ciotce, ale natychmiast zdałam sobie sprawę, że nie zabrałam z Londynu odpowiedniego stroju na tę straszliwą okazję... Kiedy wstałam z taboretu, zakręciło mi się w głowie tak gwałtownie, że omal nie upadłam. Na szczęście podtrzymał mnie Artur, który stanął w drzwiach właśnie w owej chwili. Pomógł mi znowu ułożyć się na łóżku.

– Panienko Madeline, łączę się w panienki bólu... z całego serca... To dla nas nagła i ogromna strata. – Młody mężczyzna skłonił się przede mną głęboko.

Przełknęłam ślinę, walcząc z dławiącą gulą w gardle.

– Dziękuję ci. – Ścisnęłam go za rękę. Było mi bardzo słabo. – Wiem, że tak jak ja kochałeś Hortense. W naszym dzieciństwie była wspaniałą ciotką dla nas obojga, prawda? W pewnym sensie...

Artur skinął głową. W kącikach oczu miał łzy.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziałam cicho. – Wiem, że do świtu jeszcze parę godzin, a na zewnątrz zalega mgła, ale przypomniało mi się, co powiedziałeś o koniach. Mają instynkt, prawda?

Mężczyzna lekko zmarszczył brwi.

– Chce panienka, żebym gdzieś pojechał bryczką albo powozem?

– Owszem. Na posterunek policji w Torquay. Czy mógłbyś zrobić to teraz?

Skinął głową.

– Zaprzęgnę dwie najstarsze klacze. Znają na pamięć drogę do miasteczka i na pewno nie zabłądzą. To mądre zwierzęta. W samym Torquay już sobie poradzę – zapewnił.

– A więc ruszaj natychmiast – poprosiłam. – Trzeba będzie też sprowadzić lekarza. Może policja ma kogoś zaufanego...

– Co mam powiedzieć na policji?

Odetchnęłam głębiej kilka razy i zaczerpnęłam duży haust powietrza.

– Poinformuj ich, że powinni zjawić się niezwłocznie we Wzgórzu Mgieł. Powiedz, że w moim imieniu chcesz im zgłosić morderstwo pani Flory Jones oraz zabójstwo lady Hortense Lancey. Obie zbrodnie zostały dokonane tej nocy.

Artur zbladł, jak gdyby uderzył go grom. Dosłownie odebrało mu mowę.

– A pani, panienko Madeline? Czy panience na pewno nic nie grozi?! – zapytał nagle, po chwili straszego milczenia.

– Niczego nie jestem już pewna... – odparłam zduszonym szeptem.

– Powiem Annie i mojemu ojcu, żeby panienki pilnowali – zapewnił natychmiast i ścisnął moją dłoń. – Wyruszam do Torquay w tej chwili! – oznajmił, po czym szybko wybiegł z pokoju.

Za drzwiami usłyszałam jeszcze czyjeś kroki.

– Kto tam? – spytałam, czując szamocące się w piersi serce.

– Madeline... – Usłyszałam moje imię.

Zamrugałam załzawionymi oczyma i zobaczyłam zamykającego za sobą drzwi Gabriela Ackroyda.

Mężczyzna w milczeniu zrobił kilka kroków w mym kierunku.

W ruchliwym blasku świec patrzyłam na jego smukłą sylwetkę w czarnym fraku, na jego pociągłą, zamyśloną twarz, prosty nos i te nieziemskie ciemne oczy, których kolor został podkreślony przez zawiązany pod szyją biały halsztuk. Sam jego widok zniewalał moje zmysły, ale teraz...

Chwycałam pierwszą rzecz, jaką miałam pod ręką – był to malutki jasiek haftowany w różowe i czerwone kwiaty. Rzuciłam nim w Gabriela z całych sił – był tak zaskoczony, że poduszka trafiła go w twarz. Złapałam za wazonik z kwiatami, który stał na nocnym stoliku – poszybował w kierunku mężczyzny, kosząc przestrzeń, lecz tym razem Gabriel zdążył zwinnie się uchylić. Co więcej, jakimś cudem złapał wazon, ratując go przed rozbiciem się o ścianę.

– To twoja wina! – wykrzyknęłam, pełna bólu i wściekłości, które niemal mąciły mi wzrok.

– Madeline, uspokój się!

– Jak?! – W oczach miałam suche łzy, a w duszy rozpacz i straszną, bezsilną wściekłość. – Jak mam się uspokoić?! Ty jeden wiedziałeś, że wśród nas jest morderca!

– Madeline...

– ...od początku miałeś swoje podejrzenia! Przekonywałeś innych, że coś nam może grozić, ale sam nie zrobiłeś nic, żeby ochronić ciotkę Hortense!

– Madeline...

– ...wybrałeś dochowanie tajemnicy! Chociaż wiedziałeś, że w ten sposób chronisz zbrodniarza! Możesz być z siebie dumny, panie Ackroyd! Dotrzymałeś swojego sekretu! Nie złamałeś danego słowa! Tylko wiesz co?! Za twój honor i sekret zapłaciła życiem ciotka Hortense! – Rozpłakałam się z bezsilności i wcisnęłam twarz w poduszkę. Szlochałam, próbując opanować drzenie, tak długo, aż zabrakło mi tchu.



Poczułam męską dłoń na moim ramieniu.

– Madeline, ja...

Zerwałam się jak oparzona. Wzięłam zamach, żeby uderzyć go w twarz, ale przytrzymał w powietrzu moją rękę i unieruchomił nadgarstek.

– Wynoś się stąd! – krzyknęłam mu w twarz. – Odtąd nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Wysłałam Artura po policję. Powiem im, że chroniłś mordercę! Że ty jeden wiedziałeś o niebezpieczeństwie! Że... – Gabriel puścił moją rękę i odwrócił się do mnie plecami.

– Przemawia przez ciebie ból, Madeline. – Dobięął mnie jego cichy, mocny głos.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Wynoś się – powtórzyłam lodowato. – Wyjdź z tego pokoju natychmiast. Nie chcę cię więcej widzieć. To przez ciebie zginęła ciotka Hortense!

Gabriel Ackroyd ruszył wolno w kierunku drzwi.

– I wiesz co?! – krzyknęłam jeszcze, zanim wyszedł. – Dla mnie od tej chwili ty także jesteś martwy, Gabrielu!

Tonąc we łzach, rzuciłam się na łóżko.

Zapadłam w dziwne odrętwienie, które przeszło w sen, chociaż było to jak śnienie na jawie. Różne miejsca, osoby i chwile mieszały się w mojej głowie, migotały i drżały jak płonące świece. W myślach widziałam Artura powożącego bryczką w kompletnej ciemności przez ocean gęstych mgieł. Obudziłam się, gdy konie wyswobodziły się z uprzęży i chciały stratować mężczyznę kopytami. Spojrzałam w stronę okna – ostatnie mgły różowiły się nad wrzosowiskami w pierwszych promieniach słońca. Niebo nabierało delikatnych, pastelowych muśnięć błękitu, jak na tych nowoczesnych obrazach francuskich malarzy, których prześmiewczo nazwano „impresjonistami”. Świat wyglądał tak spokojnie i pięknie, że prawie

nie mogłam w to uwierzyć.

Chyba po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że pod jasną, błyszczącą powierzchnią codziennych zdarzeń w każdej chwili czai się ciemność.

## 16. DOKTOR WATSON

Zaledwie zdążyłam się odświeżyć i zmienić suknię na poranną, gdy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Przybyli panowie z policji – powiedziała Anna. Bardzo chciałam, żeby zamiast niej do pokoju weszła Rosalind, z którą byłam zżyta, ale najwyraźniej starsza wiekiem służąca nie mogła się teraz zjawić.

Przełknęłam słonawą ślinę.

– Zaproś ich do salonu i podaj im coś do picia. Za chwilę zejdę, żeby ich przywitać – powiedziałam.

– Właściwie to w panienki imieniu już to zrobił pan Cagwar – rzekła Anna nieco speszona. – Policjanci chcieli jak najszybciej zobaczyć... oba ciała.

Zamrugałam. Z jednej strony poczułam zdziwienie, a nawet lekkie ukłucie złości, że Clark zachowuje się jak gospodarz w domu należącym do mojej najbliższej rodziny... Z drugiej strony, gdy minął pierwszy moment zaskoczenia, poczułam wobec niego głęboką wdzięczność. Byłam wszak młoda i niedoświadczona, do tego byłam kobietą, a on, choć tylko parę lat ode mnie starszy, był obytym już w świecie mężczyzną, który odbył podróż przez ocean. Nerwy miałam napięte do granic możliwości i w tej chwili hasła pierwszych londyńskich sufrażystek, które niedawno stały się dla mnie przyczyną niespokojnych, młodzieńczych rozmyślań, przestały mieć znaczenie. W dodatku od momentu odkrycia ciała Hortense ani razu nie zachowałam się, jak na dobrą gospodynię przystało. Goście, wyczerpani i przestraszeni, byli zmuszeni spędzić końcówkę tej

upiornej nocy pozbawieni mego towarzystwa... Mogłam żywić wyłącznie nadzieję, że zarówno Clark, jak i zapobiegliwa Rosalind oraz Anna zajęli się nimi należycie... Teraz ja również powinnam spróbować stawić czoła rzeczywistości. Prawdę mówiąc, musiałam to zrobić. Nie miałam wyboru.

Mój umysł zaczął pracować intensywnie.

– Gdzie są teraz policjanci? – spytałam.

– W sypialni pani Hortense – szepnęła Anna, wbijając wzrok w podłogę.

– Nie mam zamiaru im przeszkadzać. Zaczekam na nich z naszymi gośćmi – oznajmiłam.

Gdy tylko Anna wyszła, chwyciłam jedną z fiolek z pachnidłami, które stały na toalecie. Wylałam z niej wodę różaną do umywalki w łazience. Następnie prędko wysliznęłam się na korytarz. Drzwi sypialni ciotki były otwarte, dochodziły stamtąd przyciszone głosy. Przebiegłam na palcach do pokoju na końcu korytarza, gdzie spoczywało martwe ciało Flory Jones.

Torebka, którą w nocy przeszukiwał w naszej asyście pan Frank, leżała u wezgowia. Zobaczyłam, że brakuje w niej paska, i moim ciałem wstrząsnął lodowaty dreszcz. Poczułam tępy skurcz żołądka, ogarnęły mnie mdłości. Mimo to prędko zajrzałam do torebki. Czy liczyłam, że w jakiś magiczny sposób pojawi się w niej naszyjnik z brylantem? Być może. Wydarzenia tej nocy tak bardzo opierały się logice, że nie zdziwiłabym się, gdyby klejnot odnalazł się wewnątrz. Tak naprawdę szukałam jednak czegoś innego.

Otworzyłam ozdobne puzderko i wymacałam spory słoiczek z czerwonym proszkiem. „Smocza krew” zamigotała w świetle skrzącymi się purpurowymi drobinami. Przesypałam niewielką jej ilość do pustej fiołki. Natychmiast ukryłam pojemnik za stanikiem gorsetu.

Odłożyłam torebkę na miejsce z myślą o odciętym od niej pasku owiniętym wokół szczupłej szyi Hortense.

Czmychnęłam na korytarz, jak gdyby ścigały mnie duchy.

Przez chwilę ciężko oddychałam oparta plecami o zimną ścianę. Serce łomotało mi w piersi, a mała szklana fiolka dotykająca skóry ciążyła niczym kamień. Dlaczego zabrałam tę próbkę cynobru? Sama nie wiem. Chyba przez to, co wczoraj mówił Gabriel, a także pułkownik Martens... Przede wszystkim zaś przez ów dziwny czarny nalot na dziąsłach martwej pani Flory, który przed chwilą zauważyłam ponownie...

Odetchnęłam głęboko raz i drugi. Przez wykusz okna nieopodal wpadały promienie światła. W powietrzu tańczyły złote pyłki. Dziś, kiedy słońce przebijało się przez ostatnie kłębki mgły niczym błysk prawdy przez kłębowisko pierzchających koszmarów, chciałam mieć jakikolwiek dowód, że nie oszalałam... Chciałam zyskać namacalną szansę i nadzieję, że te dwie tajemnicze śmierci da się wyjaśnić.

Wróciłam do sypialni, żeby ukryć fiolkę z cynobrem pod materacem łóżka. Gdy to robiłam, usiadłam na jego brzegu. Obserwowałam w lustrze własne odbicie. Moja twarz była śmiertelnie blada, oczy podpuchnięte i zaczerwienione, zaś usta, do wczoraj pełne i ładnie wykrojone, zaciskały się nieustannie w wąską kreskę. Przygryzłam je kilka razy, żeby poprawić krążenie, a potem jeszcze parokrotnie uszczypnęłam się w oba policzki. Taca z mlekiem, grzankami i konfiturą, którą Anna postawiła przy łóżku, pozostała nietknięta. Nie mogłabym niczego przełknąć. Mój żołądek był tak ściśnięty z nerwów, że nieustannie odczuwałam w nim tępy ból.

Schodziłam wolno po szerokich dębowych schodach, gdy ktoś zakołatał do drzwi wejściowych. Nikogo ze służby nie było w pobliżu, więc przeszłam do holu, żeby je otworzyć. Spodziewałam

się kolejnego funkcjonariusza policji, ale się pomyliłam. Moją twarz owionął lekki podmuch wilgotnego wiatru znad wrzosowisk, zaś oczom ukazał się starszy wiekiem jegomość w cienkich metalowych binoklach. Zza pary okrągłych szkiełek spojrzały na mnie z zainteresowaniem ciemnobrązowe, inteligentne oczy, w których zatańczyły smutne iskierki. Mężczyzna miał starannie przystrzyżone wąsy i bródkę oraz gładko zaczesane szpakowate włosy. W rękę trzymał skórzany neseser. Za nim, na podjeździe wysypanym żwirem, stała mała bryczka z zaprzężonym do niej roslým siwkim.

– Proszę mi wybaczyć najście o tak wczesnej porze. – Starszy mężczyzna skłonił się głęboko. – Jestem doktor Watson. – Podałam mu dłoń, a on ucałował ją szarmancko. Byłam pewna, że gdzieś już słyszałam to nazwisko. – A pani to zapewne...

– Madeline... – dygnęłam. – Madeline Hyde.

– W rzeczy samej. Panno Hyde, wezwanie do stawienia się tutaj otrzymałem od komendanta policji w Torquay. Normalnie przybyłbym razem z detektywami, ale tak się złożyło, że wczoraj wieczorem wyjechałem do pacjenta i powróciłem do domu dopiero nad ranem...

– Pewnie jest pan wyczerpany... – szepnęłam.

– Zmęczony. – Skinął głową. – Dowiedziałem się jednak, że ta sprawa nie może czekać. A więc jestem. Czy policjanci już dotarli?

– Owszem. – Skinęłam głową. Zaprosiłam doktora Watsona do środka. Przeszliśmy do salonu i zatrzymaliśmy się u stóp schodów.

Lekarz nadal przyglądał mi się uważnie.

– Domyślam się, że jest pani krewną zmarłej.

– Siostrzenicą... Jestem siostrzenicą jednej z nich.

Na twarzy mężczyzny ujrzałam niezrozumienie.

– Nie żyją dwie osoby – wyjaśniłam cicho.

– Och.

Doktor Watson zamrugał oczyma, po czym skłonił się lekko.

– Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia.

– Dziękuję. – Czułam, że oczy znowu mam wilgotne od łez. – Hortense Lancey była siostrą mojej świętej pamięci matki.

– Bardzo mi przykro. A więc pani matka również nie żyje?

– Niestety – odparłam cicho. – Zmarła tuż po moim urodzeniu. Powiedziano mi, że przyczyną była gorączka połogowa...

Lekarz zacisnął usta i pokiwał głową.

– Niekiedy medycyna bywa bezsilna...

Bardzo zapragnęłam zmienić temat.

– Napije się pan kawy albo herbaty? – spytałam, szukając wzrokiem służby.

– Prawdę mówiąc, wolałbym od razu przystąpić do pracy. Czy ktoś mógłby mi wskazać, gdzie znajdują się ciała?

Wzdrygnęłam się.

– Oba spoczywają w pokojach na piętrze. Policja już tam jest. Zaprowadzę pana.

Doktor Watson powstrzymał mnie lekkim gestem dłoni, kiedy zamierałam wejść na schody.

– Nie trzeba, panno Hyde – podziękował. – Skoro już wiem, gdzie mam iść, doskonale dam sobie radę. Proszę odpocząć. Czy jadła już pani śniadanie?

– Prawdę mówiąc... – zawahałam się.

– A więc proszę to zrobić. To zalecenie lekarza. Jest pani bardzo blada. Po wstrząsie, jakiego pani niewątpliwie doznała, organizm potrzebuje wzmocnić swoje siły. Tak więc chwilowo się zegniam. Do zobaczenia niebawem. – Doktor Watson wszedł na górę po skrzypiących stopniach.

Odwrociłam się i zobaczyłam wchodzącą do salonu Rosalind z tacą pełną filiżanek z kawą. Widziałam po jej minie, że choć jest jej

ciężko, to odzyskuje dawny wigor i niespożytą energię. Prawdę mówiąc, odkąd tylko pamiętałam, ciężka praca i nieustające zajęcie były jej sposobem na odreagowywanie wszelkich smutków.

Kobieta odstawiła srebrną tacę na stół i obie padłyśmy sobie w ramiona.



## 17. PIERWSZE PYTANIA

Tego ranka w głównej jadalni we Wzgórzu Mgieł atmosfera była przygnębiająca i napięta. Na moją prośbę Rosalind podała wczesny lunch, jednak porcelanowe talerze, błyszczące półmiski, kwiecista waza z zupą i srebrne sztucce leżały na stole właściwie bezużytecznie, podobnie jak stygnąca kaczka z jabłkami w aromatycznym sosie. Nie przypominałam sobie, by podobnie ponury nastrój panował w tym domu kiedykolwiek w czasie, kiedy mieszkali tu ciotka Hortense i wuj Roger. Owszem, po śmierci wuja zdarzały się smutne dni, a ciotka Hortense musiała bywać tutaj samotna, ale nie pamiętałam, by kiedykolwiek się skarżyła... Hortense... Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że lada chwila moja ukochana ciocia stanie w drzwiach i powie, że nic się przecież nie stało...

Grobowemu milczeniu zebranych nadawał rytm tykający w salonie zegar oraz kompulsywne trzepotanie wachlarza pani Ackroyd. Co jakiś czas tę monotonię szmerów urozmaicało donośne siorbnięcie pułkownika Martensa, który unosił do ust kolejną już filiżankę z herbatą. Wyglądało na to, że korzysta z chwilowej nieobecności małżonki, żeby na swój żołnierski sposób w spokoju delektować się tym cudownym napojem. Pani Martens zapewne zwróciłaby mu uwagę na siorbanie, jednak w tej chwili była przesłuchiwana w dawnym gabinecie wuja Rogera przez dwóch policyjnych detektywów z Torquay. Pozostali uczestnicy nocnego seansu, łącznie ze mną, oczekiwali na swoją kolej. Każdy z nas miał złożyć własne zeznania. Zaczynaliśmy się coraz bardziej niecierpliwić

– wszyscy, za wyjątkiem Gabriela Ackroyda.

Od chwili, kiedy przed świtem wykrzyczałam mu prosto w twarz, że Hortense umarła przez niego, już go nie widziałam. Byłam zbyt wzburzona naszym ostatnim spotkaniem, by śmieć teraz kogokolwiek o niego spytać. Przypuszczałam, że po tym wszystkim, co mu powiedziałam, Gabriel opuścił Wzgórze Mgieł. Na tę myśl zaczynałam odczuwać wyrzuty sumienia – czy powodowana nieukojonym żalem nie potraktowałam go okrutnie i niesprawiedliwie? Z drugiej strony mój gniew na Gabriela tylko wzrósł. Jak mógł tak po prostu odejść, nie zaczekawszy nawet na przyjazd policji?! Według mnie zachował się bardzo samolubnie. Urażona duma okazała się dla niego ważniejsza od próby wyjaśnienia zbrodni. Podobnie jak przysięga dochowania tajemnicy, a tym samym własny, niesplamiony honor były dla niego ważniejsze niż możliwość zapobieżenia tragedii... Tego wszystkiego nie potrafiłam mu wybaczyć.

– Pani Martens siedzi tam już trzy kwadranse... – zauważył kąśliwie pan Frank. – O czym ona im tak długo opowiada? Powinna po prostu streścić, co się stało.

Pułkownik Martens pokiwał głową.

– Moja Marianne jest bardzo szczegółowa. Na pewno policjanci otrzymają wyjątkowo obszerne zeznanie. Proszę pamiętać, panie Ackroyd, że w takich sprawach nie powinno się pomijać żadnego szczegółu.

– Żadnego szczegółu? – westchnął ciężko pan Frank. – Proszę darować mi szczerść, ale pańska żona jest po prostu gadatliwa. Obawiam się, że znajduje wysublimowaną przyjemność w przedłużaniu swego sprawozdania.

– Jak tak dalej pójdzie, zostaniemy tu do wieczora – szepnęła płacząco pani Sara. – Moje biedne nerwy tego nie zniosą...

– Proszę się nie denerwować, pani Ackroyd. Mogą zeznawać państwo przede mną – odezwał się Clark. Próbował jakoś załagodzić atmosferę. – A pan Martens ma rację. Mówię to jako prawnik. Na razie nie wiemy, co jest ważne, a co nie. Dlatego trzeba opowiedzieć policjantom o wszystkim, co tylko przychodzi nam do głowy. Nie można pomijać niczego. Zgodzisz się, Madeline? – spytał łagodnie, budząc mnie z zamyślenia.

– Tak – odparłam zbyt pospiesznie. – Masz rację. Zgadzam się. – Skinęłam głową, ale moje serce забиło szybciej.

Czy naprawdę się z tym zgadzałam?!

Wbrew radzie wyrażonej przez Clarka istniały co najmniej dwie kwestie, które zamierzałam pominąć w zeznaniach.

Pierwszą z nich było moje nocne spotkanie z Gabrielem Ackroydem w oranżerii, a raczej to, do czego wtedy między nami doszło... Żałowałam, że wówczas nie przyszło mi do głowy, żeby ustalić z nim wspólną wersję zdarzeń. Wierzyłam jednak, że mimo zastrzeżeń, które miałam co do jego charakteru, Gabriel był dżentelmenem i nigdy nie opowiedziałby obcym mężczyznom o naszych namiętnych pocałunkach ani gorących pieścizotach. Zależały od tego mój honor i moja reputacja.

Drugą kwestią, co do której wyjawienia właśnie straszliwie się wahałam, była sprawa zaginionego naszyjnika. Żadna z zaproszonych na wczorajszy wieczór osób prawdopodobnie nie wiedziała nawet o jego istnieniu. Tylko ja miałam świadomość, że ciotka Hortense przekazała diamentowy naszyjnik pani Florze i że klejnot w niewyjaśniony sposób zniknął z torebki medium. A raczej został z niej przez kogoś zabrany... Przez złodzieja... albo przez mordercę.

Czy zabójca wiedział, że Hortense powiedziała mi o naszyjniku przed swoją śmiercią? Wzdrygnęłam się. Przypuszczałam, że tak właśnie było. Moje ciało przeszywały zimne dreszcze. Może to były

tylko moje rojenia, ale gdy myślałam o pasku od torebki Flory zaciśniętym na szyi biednej Hortense, za każdym razem interpretowałam ów przerażający obraz jako ostrzeżenie. Pasek zdawał mi się sugerować, że przez owo gardło nie powinny przejść już żadne niewygodne słowa... I dlaczego akurat pasek od torebki, w której miał być schowany brylant?! Skąd wybór takiego narzędzia zbrodni?! Włosy stawały mi dęba na samą myśl, że zabójstwo Hortense zostało ukartowane w wyjątkowo perfidny, przemyślany sposób. Zdawało mi się, że zimne zwłoki mojej ukochanej ciotki miały przemawiać do mnie niczym pantomima, a ja jednoznacznie interpretowałam przesłanie, które przekazywał morderca:

„Niech żadne słowo na temat torebki Flory Jones nie przejdzie już przez twoje gardło... albo gorzko tego pożałujesz”.

Moje serce ścisnęło się ze strachu niczym skórzany woreczek.

Nadal spoglądałam za okno, na wysypane żwirem ścieżki ogrodu, z na wpełń nieuświadomioną nadzieją, że ujrzę na jednej z nich wysoką sylwetkę Gabriela Ackroyda. Ale jego nigdzie nie było...

Jakże inaczej wyglądał dziś świat w porównaniu z poprzednią nocą! Ciepłe słońce muskało gładką jak lustro powierzchnię stawu, której nie marszczył nawet najłżejszy podmuch. Białe jak śnieg lilie wodne rozchylały swe stulistne kielichy, wabiąc drobne owady i ważki, które zawisały w powietrzu niczym barwne promyki światła. W oddali, wśród starych drzew trzeszcząco nawoływały sójki, toczące między sobą ptasie bitwy. Wiewiórka przemykała z niesionym w pyszczku orzechem.

– Panna Madeline Hyde. – Dobiegł mnie nagle niski głos rudowłosego policjanta, który stanął w drzwiach. – Prosimy do gabinetu.

– Powodzenia, moje dziecko – rzekła mi pani Martens. Właśnie sadowiła się obok swego męża. Miała lekko zaczerwienione policzki.

Przesłuchanie musiało ją kosztować wiele nerwów.

– Wszystko będzie dobrze, Madeline. – Kiedy przechodziłam koło jego krzesła, Clark na moment ścisnął mnie za rękę.

W gabinecie o ścianach wyłożonych dębowym drewnem i o witrażowych zielonych oknach rudowłosa policjant wskazał mi wygodny fotel naprzeciwko masywnego biurka. Po jego lewej stronie pod ścianą znajdowała się przeszklona szafa z księgozbiorem wuja, a po prawej wąska i niska otomana wciśnięta między dwie inne obszerne szafki z książkami.

– Jestem inspektor Langley, a to sierżant Thornton. – Łysiejący mężczyzna za biurkiem przypomniał mi nazwiska obu detektywów z Torquay, którzy przedstawili się już wcześniej. – Wybacz pani, że się powtarzam, ale w takich przypadkach formalności nigdy dość.

– Oczywiście. – Skinęłam głową, odruchowo prostując plecy. Byłam spięta.

Inspektor Langley rzucił okiem na kartkę przed sobą. Sierżant Thornton rozłożył notes i ołówek, najpewniej po to, by spisywać moje odpowiedzi.

– Czy może pani powiedzieć, panno Hyde, co łączy panią z pozostałymi osobami, które gościły w domu pani ciotki tej nocy?

Skinęłam głową.

– Cóż – zawahałam się. – Państwa Martensów znam od wielu lat. Pan Martens przyjaźnił się z nieżyjącym mężem ciotki, moim wujem lordem Rogerem Lanceyem. Spotykałam czasem państwa Martensów, kiedy przebywałam u ciotki. Gościliśmy też u nich w domu na rewizytach.

– A państwo Ackroydowie?

– Niestety nie miałam wcześniej przyjemności ich poznać. Zostałam przedstawiona wszystkim państwu Ackroydom – rzekłam, chcąc podkreślić, że obejmuje to również Gabriela – dopiero wczorajszego

wieczora.

Miałam wrażenie, że detektywi zerknęli na mnie ze zdziwieniem, a potem wymienili przelotne spojrzenie. Wyglądało na to, że rodzina Ackroydów jest bardzo dobrze znana w okolicy.

– A pan Clark Cagwar? – spytał rudowłosy sierżant Thornton.

– Poznaliśmy się tuż po moim przyjeździe z Londynu, zaledwie przedwczoraj. Clark i pani Flora gościli akurat u mojej ciotki. – Przełknęłam ślinę. Miałam ściśnięte gardło, a w oczach wezbrały mi łzy. – To wówczas... to wówczas pierwszy raz padła propozycja zorganizowania seansu spirytystycznego.

Kolejne pytania dotyczyły samego seansu i jego przebiegu. Dlaczego zdecydowałam się na uczestnictwo? Czy wierzę, że Flora Jones była prawdziwym medium? Czy podzielam zdanie pani Martens, że Florę Jones zabiły duchy? Jak opiszę w kilku zdaniach obłok, który wydobył się z ust staruszki? Czy kartki, które pokazuje mi inspektor, zostały zapisane przez Florę Jones? Czy jestem tego pewna? Z każdym pytaniem czułam się coraz bardziej tak, jak gdybym to ja była podejrzana. Pewnie dlatego, że miałam coś do ukrycia.

Do ostatniej chwili toczyłam wewnętrzny bój z własnym sumieniem. Miotałam się i wahałam: powiedzieć prawdę czy skłamać? Czy powinnam wyjawiać teraz to, co wiem o naszyjniku?! Ale skoro nie wiedział o nim nikt inny, czy nie podważy to mojej wiarygodności? Na tle zeznań pozostałych osób jako jedyna okażę się tą, która cały czas skrywała sekret... I co z ostrzeżeniem od mordercy? Myśl o tym przyprawiała mnie o gęsią skórę. Aż wreszcie klamka zapadła...

– Pani Martens twierdzi, że tej nocy przeszukaliście państwo torebkę pani Jones. Kto miał do niej dostęp?

– Właściwie... wszyscy.

– Rozumiem. Czy w torebce znajdowało się coś cennego?

Moje serce zabiło mocniej.

– O ile mi wiadomo, nie.

Inspektor zmarszczył brwi.

– O ile pani wiadomo? Proszę wybaczyć, panno Hyde, ale czy nie zaglądała pani do tej torebki?

– Ma pan rację. – Spuściłam wzrok. – Nie było tam nic niezwykłego, poza czerwonym barwnikiem, o którym już wspomniałam.

Policjant pokiwał głową i w rogu kartki przed sobą zakreslił ołówkiem mały krzyżyk.

– Proszę powiedzieć, o czym rozmawiała pani z ciotką, kiedy poszła pani do jej pokoju po śmierci pani Jones.

Moje dłonie zacisnęły się mimowolnie, a ja odpowiedziałam mechanicznie:

– Ciocia cały czas spała.

Kolejne kłamstwo przyszło mi tak łatwo, że aż się tego przestraszyłam.

– Pani Marianne Martens twierdzi, że nie było pani bardzo długo.

– Cóż, byłam tak zmęczona, że kiedy usiadłam na krześle przy łóżku ciotki, nawet nie zauważyłam, gdy zasnęłam...

– Skoro pani zasnęła, to co takiego panią w końcu obudziło? Bo przecież wróciła pani na dół, do gości...

Zawahałam się o sekundę za długo.

– Muzyka.

– Co takiego?

– Muzyka – szepnęłam. Serce uderzało mi coraz szybciej. – Zdawało mi się, że słyszę muzykę. Dlatego się obudziłam.

Inspektor Langley uniósł jedną brew. Oczy miał chłodne, w wyblakłym kolorze morskiej wody.

– Przepraszam, ale co to była za muzyka?

– Preludium e-moll Chopina.

Policjant teraz całkiem zmarszczył brwi.

– Fortepian?

– Pianino... To znaczy, tak mi się zdawało. To musiał być sen.

Przez chwilę inspektor patrzył mi prosto w oczy. Jakimś cudem wytrzymałam to badawcze spojrzenie.

– Rozumiem – oznajmił w końcu. – Przejdźmy zatem do momentu, w którym odkryliście państwo śmierć pani Hortense Lancey. – Westchnął głęboko. – Muszę wyznać, że znałem ją z widzenia. To była ujmująca starsza dama.

– Tak... – Moje oczy znowu wypełniły się łzami.

Z każdym kolejnym pytaniem padającym z ust policjanta coraz trudniej było mi opanować buzujące we mnie emocje. W gardle miałam dławiącą, gorzką gulę, a pod moimi powiekami wzbierały słone krople wilgoci, które wbrew moim staraniom coraz częściej wypływały na policzki. Przed oczyma stawała mi skurczona twarz ciotki Hortense z wywróconymi oczami i wysuniętym z sinych ust sztywnym koniuszkiem języka. Z nerwów zbierało mi się na mdłości. Moje odpowiedzi stawały się coraz bardziej nieskładne. Na twarzy sierżanta Thorntona widziałam głębokie współczucie, lecz poważne oblicze inspektora pozostawało nieprzeniknione.

– To wszystko, panno Hyde – rzekł nieoczekiwanie. – Myślę, że dość już powiedziała pani na tę chwilę... Jeszcze raz proszę przyjąć moje szczere wyrazy współczucia.

– Dziękuję. – Przełknęłam słonawą ślinę, która zebrała mi się w ustach. – Więc będzie więcej pytań?

– Na pewno. Ale zadamy je w późniejszym terminie. Obecnie pragniemy uszanować pani żałobę po ciotce. Zresztą jest pani tak zdenerwowana, że dalsze przesłuchanie nie ma sensu... Dziękujemy.



Bardzo nam pani pomogła. – Mężczyzna uściskał mi dłoń.

– Dziękujemy, panno Hyde. Wyrazy współczucia. – Sierżant Thornton skłonił się przede mną głęboko. Odprowadzał mnie do drzwi gabinetu, kiedy nagle zatrzymałam się w pół kroku. Nie powiedziałam im najważniejszego!

– Musicie znaleźć Gabriela Ackroyda. On wiedział coś, co mogło być ważne.

Inspektor zacisnął usta i zmarszczył brwi. Jego oczy znów stały się chłodne.

– Może pani powiedzieć coś więcej na ten temat?

Potrząsnęłam głową.

– Niestety nie. Ale Gabriel... pan Ackroyd... powinien coś wiedzieć.

Ruszyłam do drzwi. Kiedy sierżant je za mną zamknął, zakręciło mi się w głowie. Było mi tak słabo, że oparłam się o ścianę i stałam przez chwilę nieruchomo, lekko pochylona do przodu. Wtedy dobiegły mnie dwa ściszone, męskie głosy.

– I co pan o tym sądzi, inspektorze?

– Niewątpliwie panna Madeline Hyde wie znacznie więcej, niż była nam skłonna powiedzieć.

Przeszył mnie dreszcz. Odeszłam stamtąd jak najprędzej, gdyż podsłuchiwanie zawsze mnie odrzucało i nie chciałam wystawiać się na tę pokusę. Odezwały się tłumione wyrzuty sumienia z powodu tego, co zataiłam przed policjantami. Dość już kłamstw i głupstw popełniłam w tym dniu!

Nagle zdałam sobie sprawę, że od momentu, w którym moje serce zabiło mocniej dla Gabriela Ackroyda, z chwili na chwilę coraz bardziej przypominałam kobietę upadłą – nie tylko ciałem, ale przede wszystkim duszą...

Od ubiegłego wieczoru dosłownie nie poznawałam samej siebie.

## 18. W OGRODZIE SMUTKU

– Jak poszło, moje dziecko? – spytała z troską pani Martens, kiedy tylko przekroczyłam próg jadalni.

Jej pytanie wydało mi się wyjątkowo niedelikatne. Co można odpowiedzieć w takiej chwili? Pani Flora Jones i moja ukochana ciotka Hortense nie żyły i nic, co mogłabym przekazać policyjnym detektywom, nie było w stanie tego zmienić. Miałam pewność, że pani Martens przyświecały dobre intencje, ale doskwierał jej też niestety brak wyczucia. Kiedy byłam dzieckiem, nie dostrzegałam tego tak wyraźnie jak teraz... Dorośli wydają nam się bardzo mądrzy, kiedy jesteśmy mali – pewnie dlatego, że w znacznym stopniu ich wówczas nie rozumiemy. Olśnienie przychodzi niespodziewanie – okazuje się, że podziwiany przez nas skrycie cesarz jest nagi...

Uśmiechnęłam się blado.

– Już po wszystkim – podsumowałam. – Pozwolą państwo, że opuszczę ich na jakiś czas i przejdę się po ogrodzie?

Pani Sara Ackroyd wbiła we mnie zognomnione nagle oczy.

– Co też pani mówi, panno Madeline?! Co to za pomysł?! A jeśli ten szaleniak w papierowej masce, który zabił pani ciotkę, kręci się nadal w pobliżu domu?!

Zrobiło mi się słabo. Mimo to poczułam wewnętrzny upór. Naprawdę potrzebowałam chwili wytchnienia i samotności.

– Pozostanę zatem w zasięgu wzroku. Będą mnie państwo widzieć przez okno. – Dygnęłam.

– Oczywiście, panno Madeline – podjęła znów pani Martens. –

Chętnie bym pani potowarzyszyła... – zawahała się, a ja mimowolnie się wzdrygnęłam – ...ale chyba woli pobycć pani sama, prawda, droga Madeline?

Z wdzięcznością skinęłam głową i bez słowa wymknęłam się przez przeszklone drzwi prowadzące na taras. Za moimi plecami sierżant Thornton wywołał panią Ackroyd. Z tarasu podążyłam dalej tą samą ścieżką wokół stawu, przy której w nocy razem z Gabrielem Ackroydem znaleźliśmy upiorną latarnię z dyni. Wzdrygnęłam się, kiedy mijałam to miejsce. Moje serce znów zaczęło walić jak szalone, a spocone dłonie mimowolnie zacisnęły się na fałdach długiej sukni. Czy już zawsze ten ogromny ogród, te wyłożone dębową boazerią pokoje, wszystkie te miejsca niegdyś tak mi drogie będą kojarzyły mi się ze strachem, ze zbrodnią i śmiercią?!

Oddychałam głęboko, połykając zimne łzy. Szłam szybko, jak gdyby ściagały mnie własne myśli. Przystanęłam dopiero w cieniu starego dębu na krańcu ogrodu. Spojrzałam w górę. Majestatyczna korona drzewa rozpościerała się nade mną niczym ochronny parasol albo stary, milczący przyjaciel, wyciągający ku niebu przedziwne powykręcane ramiona. Zielone liście szemrały kojąco i łagodnie. Oparłam się o gruby pień, w którego pobliżu lubiłam kłaść się z książką na trawie, kiedy byłam małą dziewczynką. Popatrzyłam z tego miejsca ku sercu posiadłości.

Wzgórze Mgieł... Moje oczy wypełniły się łzami. Kochałam ten wiktoriański dom ze spadzistymi dachami, licznymi kominami i łamaną fasadą z mnóstwem okien, z których sześć par wystawało przed lico murów w formie eleganckich wykuszy. Całość bryły miała kształt litery L – część, którą ciotka nazywała „zachodnim skrzydłem”, zwieńczona była basztą mieszczącą bibliotekę. Basztę porastał gęsty bluszcz, który jesienią ożywiał surową szarość kamienia dziesiątkiem barwnych odcieni. Zdawało mi się wówczas, że do domu przylgnęła

tęcza...

Tak było kiedyś... Ale teraz... Bałam się myśli, które w tej chwili wzbudzał we mnie znany widok tego domostwa.

Zmarszczyłam brwi. Zobaczyłam mężczyznę, który wyszedł z domu od frontu i skierował się do bryczki. Przez ułamek chwili moje serce zadrżało, zwiedzione złudną nadzieją, która żyła wbrew mojej woli. Ale to był doktor Watson, a nie mężczyzna, o którym myślałam. Lekarz zauważył mnie i ruszył w moją stronę. Szybko otarłam oczy chusteczką. Był daleko. Ja również zaczęłam iść w jego kierunku.

– Panno Madeline – ukłonił się, zdejmując na chwilę kapelusz. – Chciałem pożegnać się z panią osobiście. Na mnie już pora.

Uścisnęłam mu dłoń.

– Zbadał pan oba ciała? – spytałam cicho, przełknąwszy ślinę.

Lekarz skinął głową. Wyglądał na nieco zaskoczonego moim bezpośrednim pytaniem na temat pracy, jaką był zmuszony wykonać. Nie przypuszczał zapewne, że młoda panienska z Londynu może w ogóle zechcieć pierwsza poruszyć ten temat.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem – zapewnił z powagą. – Zbadałem ciała w obecności policjanta i przekazałem inspektorowi mój raport. Nie sądzę, bym odkrył więcej, decydując się na dalsze oględziny. Chciałem zaoszczędzić pani odwiekania pogrzebu. Nie ma sensu przedłużać cierpienia bliskich, jeśli tylko można tego uniknąć.

– Sądzi pan, że pogrzeb pozwoli mi uporać się z cierpieniem? – spytałam z goryczą, gdyż nie sądziłam, żeby to było możliwe.

– Owszem, moje dziecko – rzekł starszy mężczyzna łagodnie. – Teraz zapewne w to pani nie wierzy, ale wszystko minie... Po doświadczeniu straty następuje czas żałoby; bolesny, trudny, a jednak... w pewien sposób kojący. To jak gojenie się rany. Proszę mi zaufać, panno Hyde. Pani jest młoda, ale ja mam swoje lata... i pewne doświadczenie w tym temacie.

Przygryzłam usta, by opanować ich drżenie.

– Dziękuję, doktorze Watson. Cieszę się, że pana poznałam.

Lekarz w metalowych binoklach uniósł nieco rondo kapelusza.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Podał mi mały bilet wizytowy w formie prostokątnego kartoniku. – Prowadzę niewielką praktykę przy aptece w Torquay. Część pacjentów przyjmuję też u siebie w domu. Gdybym mógł pani jakoś pomóc albo gdyby potrzebowała pani lekarza... proszę przyjąć moją wizytówkę. Zresztą, jestem ogólnie znany w miasteczku. Prawdopodobnie większość jego mieszkańców na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat była u mnie co najmniej raz...

– Jeszcze raz panu dziękuję, doktorze.

– Do widzenia, panno Hyde.

Doktor Watson odszedł w swoją stronę, wcisnąwszy pod pachę skórzany neseser. Przez chwilę obserwowałam jego oddalającą się sylwetkę. Niebawem przed domem pojawił się Clark. Skinął mi ręką i ruszył w moim kierunku. Przez chwilę szliśmy obok siebie ogrodową ścieżką w cieniu rozłożystych, szemrzących cicho dębów. Miałam wrażenie, że żadne z nas nie potrzebuje w tej chwili słów. Nie mogły wyrazić one bólu naszej straty. Jakie to dziwne! Zaledwie się poznaliśmy, a w ciągu jednej nocy każde z nas straciło ukochaną ciotkę. Dwie staruszki, które od lat się przyjaźniły – odeszły niespodziewanie jedna po drugiej.

– Nie gniewasz się, że bez pytania cię o zdanie wpuściłem policjantów do pokoju pani Hortense? – spytał wreszcie Clark, przełamując ciszę.

– Ani trochę. – Pokręciłam głową. Otarłam łzę z kącika oka i uśmiechnęłam się blado. – Przecież to ja wysłałam po nich Artura, czyż nie? Kazałam mu jechać na posterunek... W zasadzie to jestem ci wdzięczna. Zachowałeś się wielkodusznie. Zaoszczędziłeś mi... tego

wszystkiego.

Delikatnie ujął moją dłoń.

– Chcę zaoszczędzić ci cierpienia, Madeline – rzekł cicho, patrząc mi w oczy. – Chcę odsunąć od ciebie wszelkie troski, na tyle, na ile tylko to teraz możliwe... Pozwól, bym to ja zajął się pogrzebem. Sądzę, że trzeba zorganizować go jak najszybciej.

Zamrugałam oczami.

– Nie chciałabym obarczać cię obowiązkami, które ciebie nie dotyczą – rzekłam cicho.

– Nie dotyczą? – Uśmiechnął się smutno. – Byłbym najszczęśliwszym mężczyzną na świecie, gdyby wszystko, co dotyczy ciebie, dotyczyło również mnie... – Urwał, a ja spuściłam wzrok onieśmielona jego słowami. – Tak czy inaczej, muszę się czymś zająć. Inaczej oszaleję, Madeline. Jestem człowiekiem czynu. Nienawidzę bezczynności, zwłaszcza w takich chwilach. Pozwól mi poczuć się potrzebnym. To mogłoby pomóc mi uporać się z myślą o śmierci ciotki Flory... o śmierci Hortense... Muszę ułożyć sobie w głowie to, co się stało. Działanie – to mój sposób na poradzenie sobie z żałobą.

– Skoro tak, zgoda. – Ścisnęłam go za rękę. – Jeśli takie jest twoje życzenie, organizacja pogrzebu zarówno Hortense, jak i pani Flory spada na ciebie. Pamiętaj tylko, proszę, że wobec tego wszystkiego, co się stało... – Odetchnęłam głębiej. Nabrałam w płuca głębszy haust powietrza. – Sądzę, że Hortense chciałaby skromnej ceremonii. Od śmierci wuja Rogera tak właśnie żyła – skromnie. W tym wszystkim... – Moje usta znów zadrżały i przełknęłam kilka zimnych, słonych łez, które nagle pojawiły się na mych policzkach. – W tym wszystkim jedyną pociechą jest dla mnie myśl... że Hortense będzie mogła spocząć obok niego! – wybuchłam niepohamowanym płaczem.

Clark przytulił mnie mocno, a ja szlochałam długo, oparta na jego

ramieniu. W cieniu starych, posępnych dębów tysięcy nienazwanych smutków uciskało i rozdzierało moje serce. Płakałam nad zmarłą Hortense, nad wujem Rogerem, nad panią Florą, nad nieżyjącym bratem Gabriela Ackroyda, ale płakałam również nad samą sobą. Moje łzy były bardzo egoistyczne, lecz nie potrafiłam ich powstrzymać. Płakałam nad sobą, bo uświadomiłam sobie dogłębnie, że Hortense i Rogera aż do końca ich dni łączyła wielka, prawdziwa miłość. I było mi żal, że ja sama takiej miłości nie zaznałam. Chociaż w Londynie uwierzyłam niegdyś w słowa Edmunda, a w skąpanej we mgłach oranżerii – w pieszczoty Gabriela Ackroyda.

## 19. CZARNA SUKNIA

Po tradycyjnym całonocnym czuwaniu przy zwłokach Hortense przez kilka godzin leżałam nieruchomo w wypełnionej po brzegi wannie. Nie wyszłam z łazienki, dopóki woda całkiem nie ostygła i nie stała się przejmująco zimna. Dygocąc, szybko narzuciłam na nagie ciało cienki szlafrok i rzuciłam się na łóżko. Owinęłam się w kołdrę niczym gąsienica w kokon.

Bardzo potrzebowałam takiej długiej kąpieli – czułam się brudna. Nie w sensie fizycznym – byłam skalana śmiercią, a także kłamstwami, jakich się dopuściłam... Nie chciałam przed sobą otwarcie przyznać, że łudziłam się, iż woda z pachnącym mydłem zmaże z mojej skóry również namiętny dotyk Gabriela Ackroyda... Ale ślady jego dłoni i pocałunków odcisnęły się na moim ciele niczym niewidzialne piętno.

Przez parę następnych dni zdawało mi się, że moje życie toczy się we mgle. Mimo że na zewnątrz jej tumany zniknęły, miałam wrażenie, iż szary opar spowija moje myśli, moje odczucia, a nawet twarze ludzi wokół mnie. Na przemian spałam albo snułam się po ogrodzie. Gdyby nie Rosalind, wątpię, bym cokolwiek jadła. Jasny promyczek wśród odcieni szarości stanowiły codzienne odwiedziny Clarka Cagwara. Pretekstem były różne ustalenia dotyczące pogrzebu naszych ciotek, lecz domyślałam się, że Clark w ten sposób czuwa nade mną i sprawdza, czy nie popadam w zbytnią rozpacz... a także czy jestem bezpieczna.

– Madeline... – Niski głos mężczyzny dotarł do mnie jak gdyby zza



grubej kurtyny, która odcinała mnie od reszty świata.

– Tak? – zamrużałam.

– Madeline. – Clark uśmiechnął się smutno. – Mogłabyś chociaż udawać, że mnie słuchasz, wiesz? – Kolejny uśmiech. – Mówię do ciebie od pięciu minut, ale czuję się tak, jakby ciebie tu nie było...

– Wybacz mi. Przepraszam.

– Nie chcę, żebyś mnie przeproszała – rzekł miękko. – Może to ja powinienem przeprosić ciebie... Najwyraźniej nie masz teraz ochoty na towarzystwo, a ja głupio ci się narzucam. Bądź ze mną szczerą...

– Mylisz się! – zapewniłam go natychmiast ściszonego głosem. – Potrzebuję towarzystwa... jak nigdy dotąd.

To była prawda. Miałam wrażenie, że cały świat nagle zapomniał o ciotce Hortense. Napisałam list do mojego ojca, który przebywał w Szkocji, a także poprosiłam Artura, żeby jechał do miasta nadać w moim imieniu telegram do Londynu, na wypadek gdyby tata wcześniej powrócił do stolicy. Na razie jednak obie wiadomości pozostały bez odpowiedzi. Na początku roku mój ojciec wziął kolejny raz ślub i aktualnie moja macocha oraz jej nastoletni syn, który uwielbiał ojczyzna, byli wszystkim, co zajmowało pana Hyde'a. Właściwie straciłam już nadzieję, że ojcu uda się przyjechać na pogrzeb Hortense. Od czasu historii z Edmundem nasze stosunki, dotychczas raczej oschłe, jeszcze bardziej się ochłodziły. Ojciec zarzucał mi, że histeryzuję, i obarczał mnie winą za to, iż w jego mniemaniu cała rodzina została ośmieszona. Ja natomiast miałam do ojca ukryty żal, że nie pomyślał o mojej przyszłości. W dodatku chciał, bym udawała, że nic się nie stało... Nie wiedziałam już, kiedy czułam się bardziej samotna – w tym wielkim domu, po zagadkowej śmierci Hortense, czy siedząc z ojcem przy długim stole w naszej jadalni w Londynie...

– Oprócz ciebie nikt mnie tu nie odwiedził. Widać plotki od razu

dotarli do miasteczka i wszyscy zaczęli uważać tę posiadłość za przeklętą – szepnęłam.

– To się zmieni po pogrzebie. Uwierz mi. – Clark spróbował mnie pocieszyć. – Myślę, że sąsiedzi chcą uszanować twoją, a właściwie naszą żałobę.

Skinęłam głową. Być może miał rację. Zresztą nie miałam teraz siły na podejmowanie licznych gości, a zwłaszcza na ich współczujące spojrzenia i dyskretne pytania. Jeżeli chodziło o współczucie, to znałam go aż nazbyt wiele w Londynie, gdzie od miesiąca musiałam silić się na fałszywe uśmiechy. To właśnie przed współczuciem innych schroniłam się we Wzgórzu Mgieł...

– Madeline. – Drgnęłam. Czyżbym znowu nie dosłyszała pytania Clarka? – Pogrzeb pojutrze. Czy jesteś gotowa?

– Gotowa? – Zrobiłam wielkie oczy. Za sprawą Rosalind cały dom przyodziany był w żałobę. Wszystkie lustra przysłonięto kirem, z wazonów zniknęły kolorowe kwiaty. Na moją prośbę nad kominkiem w salonie zawisł wielki portret olejny młodziutkiej Hortense, zamówiony zaraz po ślubie przez zakochanego do szaleństwa wuja Rogera. Do tej pory wisiał on w sypialni ciotki, ale uznałam, że obecnie salon jest dla tego obrazu godniejszym miejscem. Dzięki centralnemu umiejscowieniu każdy, kto tylko wchodził do domu, mógł znowu ujrzeć pogodną twarz jego nieżyjącej właścicielki i wspomnieć, jakim była człowiekiem: dobrym, serdecznym, o ujmujących manierach i o jeszcze czarowniejszej duszy... Nic dziwnego, że świętej pamięci wuj Roger tak ją kochał.

Tak, dom przybrał się już w żałobę. Za to ja poczułam lekkie zdenerwowanie. Nadal nie zakupiłam czarnej sukni ani dodatków niezbędnych, żeby móc godnie zaprezentować się wśród żałobników. Przestraszyłam się, że może zabraknąć czasu na ewentualnie

poprawki krawcowej.

– Jutro rano jadę do Torquay po suknię oraz kapelusz – powiedziałam możliwie spokojnie. – Nie martw się. Na pojutrze będę gotowa.

– Nie wątpię. – Clark się uśmiechnął. – Chętnie podrzuciłbym cię rankiem do miasteczka, ale umówiłem się już z pastorem i...

– Nie kłopotz się – przerwałam łagodnie i lekko ścisnęłam go za rękę. – Wezmę powóz. Artur mnie zawiezie, a przy okazji pokręcę się po mieście. Dawno już nie odwiedzałam tutejszych sklepów.

– Obawiam się, że wybór jest znacznie skromniejszy niż w Londynie – roześmiał się Clark.

Ja również po raz pierwszy od śmierci ciotki Hortense szczerze się uśmiechnęłam. Po chwili spowaźnieliśmy, nagle speszeni tą chwilą wspólnej wesołości.

– Mimo że wybór sukien jest tu mały, to jestem pewien, że będziesz wyglądać prześlicznie, Madeline – rzekł mój towarzysz lekko ściszonego głosem. – Wystarczyło, że uśmiechnęłaś się na moment, a znowu olśniłaś mnie swoją urodą.

Nie odpowiedziałam, lecz moje serce zabiło szybciej. Nie wiedziałam tylko, czy z radości, czy dlatego, że poczułam się mocno speszona.

\* \*

Następnego ranka wyruszyliśmy z Arturem skoro świt. Zamiast odkrytej bryczki czekał na mnie zadaszony powóz, który na czarnych bokach miał małe złocone inicjały lorda Rogera Lanceya. Artur zaprzągnął do niego parę karych koni z białymi strzałkami. Zwierzęta parskwały cicho, niecierpliwiąc się przed drogą. Minęliśmy szeroką bramę z kunsztownie kutego żelaza i ruszyliśmy ku miasteczku żwawym kłusem.

Przez okno powozu spoglądałam na wrzosowiska w kierunku, w którym za załomami wysokich białych klifów rozpościerał się szemrzący ocean. Miałam wrażenie, że słyszę w wietrze szepty fal, które przyzywały mnie na skaliste plaże. Niegdyś kochałam przemykać się między wilgotnymi skałami i łapać kraby oraz małe ryby w towarzystwie psotnego Artura. Zdawało się, że było to zaledwie wczoraj. Dziś towarzysz moich dziecięcych zabaw w milczeniu siedział na koźle, co jakiś czas potrząsając lejcami, a ja, ukryta we wnętrzu powozu, w ciemnobłękitnym kostiumie i kapeluszu, byłam dla niego „panienką”.

Droga do Torquay upłynęła mi bardzo szybko – niebawem kołysanie powozu zmieniło rytm. Centrum miasteczka stanowiło kilka szerokich, wybrukowanych ulic, z których wszystkie prędzej czy później zbiegały się ku placowi z zielonym skwerem, gdzie w niedzielę grywała orkiestra. Obok aleja prowadziła niczym arteria do niewielkiego portu. Przy nabrzeżu cumowało kilka rybackich łodzi i mały parowy statek wycieczkowy, który odbywał rejsy do pobliskiej wysepki ze skromnym pensjonatem dla wczasowiczów. Nad miasteczkiem górowały latarnia morska oraz kościół wzniesiony na skałach. Za kościołem znajdował się stary nadmorski cmentarz – nowa nekropolia dla rozrastającego się miasteczka znajdowała się w głębi lądu. Jednakże ciotka Hortense miała spocząć w rodzinnej mogile obok wuja Rogera – a on czekał na nią w lesie kamiennych krzyży, który kiedyś, pewnego dnia, będzie musiał ustąpić pod naporem niezmordowanych fal oceanu...

Artur zatrzymał powóz w miejscu, gdzie na jednej ulicy konkurowało ze sobą kilka magazynów z kobiecą modą, dodatkami i pasmanterią. Kiedy pomagał mi wysiąść, zauważyłam, że jest bardzo blady. Nawet nie spojrzał mi w oczy i odpowiedział zaledwie półsłówkiem, kiedy umawialiśmy się na spotkanie za trzy godziny

w tym samym miejscu. On także musiał mocno przeżyć śmierć Flory Jones, zabójstwo ciotki Hortense i wszystko, co się stało tamtej okropnej nocy... Podziękowałam mu za pomoc, a on wskoczył na kozła i odjechał w jedną z bocznych uliczek.

Niestety w pierwszym sklepie, który odwiedziłam, nie było nic, czym byłabym zainteresowana. Zauważyłam natomiast, że londyńska moda dociera w te strony z opóźnieniem. Wśród znajdujących się na wystawie sukien większość posiadała gigantyczne, bogato udrapowane turniury, które obecny trend nakazywał znacząco zmniejszyć, mimo faktu, że profil sylwetki modnej damy nadal dążył do kształtu litery „S”. W kącie magazynu na stelażu znajdowała się różowa suknia z ogromną krynoliną. Skrzywiłam się lekko na samą myśl, że oprócz gorsetu musiałabym przywdziać sztywną, rozkloszowaną spódnicę – suknie w tym stylu przypominały kształtem dzwon. Na szczęście całkowicie wyszły z mody ponad trzydzieści lat wcześniej. Najwidoczniej jednak siwowłosa kierowniczka za ladą za bardzo się tym nie przejmowała...

– Czy wie pani, gdzie mogłabym zakupić suknię żałobną? – spytałam jej cicho, wolno kierując się już do wyjścia. Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Proszę spróbować w sklepie naprzeciwko – poradziła. – Myślę, że z pani świetną figurą coś powinno się znaleźć...

Podziękowałam jej, a dzwoneczek zawieszony nad wejściem zabrzączał, gdy zamknęłam za sobą drzwi. Odczytałam szyld po drugiej stronie ulicy: „Madame Bovary. Moda damska i pogrzebowa”. *To jest to!* – uznałam i przyspieszyłam kroku.

Przywitały mnie dwie miłe sprzedawczynie w średnim wieku.

– Czy szuka pani czegoś konkretnego? – spytała kobieta o elegancko ufryzowanych włosach, po czym podsunęła mi naręcze ilustrowanych żurnali z wydekoltowanymi sukniami, podróżnymi

kostiumami i ogromnymi kapeluszami. – Pracują dla nas najzdolniejsze i najbardziej doświadczone krawcowe. Wybiera pani projekt, a one podług niego wyczarowują suknię po zdjęciu miary. Oczywiście można zaproponować własne zmiany w projekcie albo dokonać ulepszeń zgodnie z życzeniem klientki.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się blado. – Ale obecnie szukam gotowej sukni i mam czas tylko na minimalne krawieckie poprawki. Chodzi o suknię żałobną – powiedziałam.

– Rozumiem. – Pani subiekt odpowiedziała mi smutnym uśmiechem. – Ma więc pani odrobinę szczęścia w nieszczęściu... Tak się składa, że mogę zaprezentować co najmniej dwie suknie, które, jak sądzę, uszyto w pani rozmiarze... Zapraszam do przymierzalni.

Poczułam ulgę.

Jakiś czas później na zapleczu sklepu stałam na niskim podeście przed ogromnym lustrem w samym gorsecie i w pantalonach, a sklepowe damy szykowały mi do przymiarki drugą z sukien. Z pierwszą uwinęłyśmy się w zaledwie pół godziny, chociaż mierzenie stroju oznaczało zazwyczaj przeciągający się ceremoniał. W jego trakcie klientce pokazywano całą masę proponowanych dodatków: chustek, szali, kapeluszy i rękawiczek... Ja jednak obecnie nie miałam głowy do takich rzeczy. Włożyłam drugą suknię – kobieta układała jeszcze drapowanie delikatnej turniury, a druga poprawiała bufy u marszczonych, zwężających się w kierunku nadgarstka rękawów *a gigot*. Kiedy skończyły, wolno okręciłam się przed lustrem i skinęłam głową. Podano mi smoliście czarny kapelusz z woalką ze sztywnej siateczki ozdobionej kilkoma maleńkimi perełkami. Wsunęłam jeszcze koronkowe rękawiczki i w myślach oceniłam wygląd skompletowanego stroju. Dekolt sukni był obszyty czarną koronką. Chociaż z tyłu miała niewielką turniurę, to jej przód dla równowagi był prosty, z dwoma rzędami zaledwie zarysowanych

falban. Była piękna, a ja dobrze się w niej czułam.

*Jakie to dziwne* – pomyślałam, kiedy przyglądałam się sobie w tafli wysokiego lustra. – *Jeszcze dwa miesiące temu w Londynie marzyłam o sukni w śnieżnobiałym kolorze, jaki po raz pierwszy przywdziała królowa Wiktoria na swój ślub z księciem Albertem. Królewski ślub, który odbył się ponad sześćdziesiąt lat temu... Los bywa przewrotny i zadziwiająco okrutny. Niweczy nasze plany i niszczy nadzieję, ale ona zawsze w końcu się odradza.*

*Choć dla mnie jeszcze się nie odrodziła...*

– Myślę, że ją wezmę – rzekłam z lekkim uśmiechem.

– Świetny wybór – pochwaliła mnie sprzedawczyni o ufryzowanych włosach. – To pani rozmiar, z pani figurą nie potrzeba praktycznie poprawek. To piękny i wytworny model. Na pogrzebie będzie się pani prezentować jak prawdziwa dziedziczka.

Zamrugałam i poczułam, że blednę.

– Słucham?

– Przepraszam, jeśli się pomyliłam... – pani subiekt jakby się zreflektowała, ale tylko na chwilę – ...ale czy pani się nie nazywa Madeline Hyde?

– Owszem. – Przełknęłam ślinę.

– A więc czyż nie jest pani jedyną spadkobierczynią lady Hortense Lancey? W całym Torquay mówi się, że odziedziczyła pani jej majątek i tutejszą posiadłość, Wzgórze Mgieł...

Lekko zacisnęłam usta. Poczułam, że kark mi sztywnieje.

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzekłam oziębło, a potem odwróciłam się od lustra. – Chcę zdjąć suknię. Proszę ją zapakować.

Kiedy powóz toczył się w kierunku Wzgórza Mgieł, rozmyślałam o słowach sprzedawczyni. Wyglądało na to, że podobnie jak w Londynie, również w Torquay stałam się najnowszym tematem towarzyskich plotek.

Czy tkwiło w nich ziarno prawdy? Domyślałam się, że ciotka Hortense zapisała mi jakąś sumę, ale to niemożliwe, bym została jedyną spadkobierczynią. Wuj Roger miał co najmniej jedną siostrę i dalszą rodzinę, chociaż prawie wcale jej nie znałam.

Moje serce zabiło nieco szybciej. Dotąd nie zastanawiałam się nad tym, co się stanie ze Wzgórzem Mgieł po śmierci Hortense. Nie orientowałam się też, jak dokładnie wyglądała sytuacja materialna mojej ciotki – od śmierci wuja Hortense żyła nader skromnie. Sądziłam, że to był jej osobisty wybór. Teraz zastanawiałam się: czy możliwe, że do mniej wystawnego niż kiedyś, samotniczego życia zmusiły ją trudności materialne, o których nie miałam pojęcia? Wszak zbyt często ignorujemy problemy innych, w szczególności zaś prawdziwie szlachetnych osób, które w obliczu smutków nieodmiennie cechują się łagodną powściągliwością... Poczułam smutek i wstyd. Tak bardzo żałowałam, że przez ostatnie lata nie odwiedzałam ciotki Hortense! Wprawdzie pisywałyśmy do siebie w miarę regularnie, lecz po historii z Edmundem nie potrafiłam przelać na papier własnych myśli...

Powóz zajechał przed dom i Artur pomógł mi wysiąść.

– Przespaceruję się po parku – powiedziałam. – Wrócę za jakąś godzinę.

Młody mężczyzna skinął głową i powiedział, że zanieśie do środka moje zakupy. Odprowadziłam go wzrokiem, po czym oddaliłam się w głąb ogrodu.

Z rozmyślań w cieniu starych drzew wyrwał mnie czyjś chrapliwy głos. Odwróciłam się i zobaczyłam starego ogrodnika, pana Smitha. W rękach miał drewniane grabie, za pomocą których zgarniał rozgrzebaną czarną ziemię koło jednej ze świeżo nasadzonych rabatek. Jednocześnie mówił coś do siebie, potrząsając głową. Spod cienkiego kapelusza nad uszami sterczały mu kępki siwych,



rozwichrzonych włosów.

Podeszłam bliżej i usłyszałam jego słowa:

– Nie do wiary... Znowu to samo! Jak tak można? Czy nie widzą ogrodzenia?! A powtarzałem Arturowi, żeby zamykał bramę! – mamrotał zdenerwowany staruszek.

– Dzień dobry! – odezwałam się, podchodząc, i lekko dygnęłam.

Pan Smith oderwał wzrok od grabi i ziemi, i rzucił mi badawcze spojrzenie.

– A, to pani, panienko! – Ukłonił się lekko, jak gdyby dopiero teraz mnie rozpoznał. Po jego minie widziałam jednak, że jego myśli krążą nadal wokół rabaty z kwiatami. Wydawał się zmartwiony i zirytowany.

– Czy coś się stało? – spytałam z uprzejmym zainteresowaniem.

Ogrodnik otarł przedramieniem zmarszczone czoło i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To znowu ci ludzie, panienko Madeline – oznajmił ze smutkiem. – Proszę spojrzeć. – Wskazał na rabatkę. – Dopiero co posadziłem aksamitki, a już niektóre są podeptane i zniszczone! Jak tak można? Jak gdyby nie mogli chociaż trzymać się ścieżki! Mówiłem im, żeby tędy nie chodzili! Ale widzi panienka, nikt mnie nie słucha...

Poczułam ogarniający mnie niepokój.

– Jacy ludzie, panie Smith? Czy ktoś kręcił się w pobliżu domu?

Ogrodnik podparł się grabiami niczym laską. Sylwetkę miał lekko pochyloną do przodu i zgarbioną – z tego powodu jego ubrudzone ziemią ręce wydawały się nieproporcjonalnie długie, trochę jak u małpoluda...

– Ludzie z wrzosowisk, panienko Madeline – odpowiedział ściszym głosem.

– Ludzie z wrzosowisk? – powtórzyłam po nim niespokojnym szeptem.

– To oni. – Stary ojciec Artura pokiwał głową z rezygnacją. – Nie było ich tutaj w czasach mojej młodości. Ale teraz... Chyba sama pani widzi, panienko Madeline. – Spojrzał na mnie porozumiewawczo, jakbyśmy dzielili jakiś wspólny sekret. – Pełno ludzi kręci się po wrzosowiskach. Zaglądają nawet do ogrodu. Nic sobie nie robią z ogrodzenia... Przychodzą i odchodzą. Tysiąc razy mówiłem Arturowi, żeby zawsze dokładnie zamykał bramę... Ale obawiam się, że niektórzy z nich przełazą nawet przez mur. Nie mają żadnego szacunku dla prywatnej własności!

Poczułam dreszcz i popatrzyłam na ciągnące się wokół parku ogrodzenie z szarego, miejscami omszałego kamienia. Za nim wrzosowiska rozpościerały się jak okiem sięgnąć – bezkresne, lekko pofalowane... i puste. Nie było na nich widać żywego ducha. Jedynymi mieszkańcami w promieniu wielu mil były polne zwierzęta i małe stada płochliwych, dzikich kucyków z Exmoor. Niskie rośliny lekko przeczesywał wiatr, niczym muskające czyjeś włosy, niewidzialne palce.

Popatrzyłam z uwagą na pana Smitha. Sama już nie byłam pewna, co o tym myśleć.

– Czy widział pan tutaj kogoś w noc śmierci mojej ciotki, panie Smith? – spytałam z napięciem. – Człowieka w masce, który kręcił się koło domu?

Stary ogrodnik wzruszył przygarbionymi ramionami.

– Oni wszyscy kręcą się wokół domu... Szczególnie w nocy. Przypuszczam, że przyciąga ich światło. Są jak ćmy, panienko Madeline.

– Jak ćmy?

– Ano tak. Poruszają się tak lekko. Czasem zdaje mi się, że mogliby latać. Ale i tak depczą mi rabatki... Sam już nie wiem, czy przez przypadek, czy przez złośliwość.

Pan Smith popatrzył w dal niewidzącymi, załamionymi oczyma, jak gdyby ścigał spojrzeniem przemykający wiatr. Kiedy znowu przeniósł wzrok na moją twarz, zrozumiałam, że jego umysł jest jak zmacona woda albo zaśniedziałe, nieprzejrzyste zwierciadło – zakrzywia rzeczywistość wokół i odbija rzeczy, których nie ma. Niegdyś przemawiał czasem do swoich ukochanych roślin, żeby rosły – obecnie zaś mówił do nieistniejących nieznajomych...

Zdjęta współczuciem położyłam mu dłoń na ramieniu, a on na moment przykrył ją swoją chłodną, ubrudzoną ziemią ręką. Oczy mu błysnęły.

– Panienska zawsze była takim dobrym dzieckiem, Madeline.

Pożegnaliśmy się i ogrodnik wrócił do pracy, którą sam sobie narzucił. Gdy odchodziłam, usłyszałam, jak zaczyna gwizdać znaną mi już, smutną melodyjkę.

W powietrzu rozległo się głośne wołanie wilgi, przepowiadające deszcz. Niebo nadal było pogodne, lecz od oceanu zrywał się z wolna wiatr i trącał blade kwiaty hortensji w ogrodzie. Spojrzałam na mały zegarek na łańcuszku – jedyny prezent od Edmunda, którego się nie pozbyłam – żeby zorientować się, że czas, jaki planowałam spędzić na spacerze, już dawno minął. Pomknęłam do domu, gdzie Rosalind kończyła szykować obiad. W glinianej misce przy piecu pod płócienną ściereczką wyrastało drożdżowe ciasto na podwieczorek. Wciągnęłam w nozdrza domowy zapach ciepłej kuchni, niosący ze sobą tyle dobrych wspomnień. Powoli spłynął na mnie spokój. Nie przypuszczałam, że lada chwila zostanie zburzony...

Wieczorem szłam do sypialni z myślą o czekającej mnie kąpieli i olbrzymim łożu oferującym ukojenie. Naprawdę potrzebowałam wypocząć przed nadchodzącą uroczystością na cmentarzu. Zdziwiłam się trochę, kiedy zobaczyłam, że drzwi mojego pokoju są uchylone – pomyślałam jednak, że Anna, która chwilę wcześniej skończyła

szykować kąpiel, po prostu zapomniała je zamknąć. Weszłam do środka i wolno zaczęłam się rozbierać. Zrzuciłam z siebie suknię, kiedy mój wzrok padł na konsolowe biurko pod oknem. Lata temu zapełniałam przy nim drobnym, nieco chwiejnym pismem kartki dziewczęcego pamiętnika...

Na blacie leżała koperta. Moje serce drgnęło. Aż do tej pory nie ośmielałam się przyznać przed samą sobą, że wyczekuję listu, jakiegokolwiek znaku od Gabriela Ackroyda. Tak, to on jako pierwszy przyszedł mi na myśl – nie Edmund, nie ojciec, do którego przecież sama korespondowałam, ale właśnie Gabriel...

Uniosłam kopertę. Nie była podpisana. Zajrzałam do środka i z obawą, a jednocześnie z niecierpliwością wyjęłam złożoną na pół kartkę. Jęknęłam cicho i przyłożyłam dłoń do ust, zdumiona i przerażona tym, co zobaczyłam w środku.

Ktoś przykleił do kartki żółtawym klejem z gumy arabskiej mozaikę różnych liter wyciętych z gazet. Zdawało mi się, że rozpoznaję czcionkę używaną w nagłówkach „The Timesa”. Litery układały się w dwa krótkie zdania podpisane pojedynczym inicjałem. Na moment zacisnęłam oczy, ale i tak w myślach widziałam je nadal:

„UWAŻAJ. PRAWDA MUSI WYJŚĆ NA JAW. A.”.

## 20. POGRZEB

Deszcz siekł zaciekle. Krople spadały niczym setki rzuconych ku ziemi kłębków srebrzystych nici, które rozplątywały się i mieniły na wietrze. Niebo było grafitowo szare, zaś trawa na przykościelnym cmentarzu jadowicie zielona – tak zielona, że soczystość jej koloru kłuła w oczy. Pachniało wilgotną, rozkopaną ziemią i chłodem mokrego kamienia.

Tłum żałobników zgromadzonych wokół trumny chronił się przed dolatującą z nieba wilgocią pod rozpostartymi czarnymi parasolami, które przywodziły mi na myśl posępne, zaczarowane grzyby z lasu, o którym czytałam w bajce lata temu... Parasol nad przygarbionym pastorem był podtrzymywany przez młodego wikariusza. Pomarszczony stary pleban z Torquay o haczykowatym nosie odczytywał nad grobem uzgodniony ze mną fragment Pisma Świętego. Robił to zaskakująco donośnie, żeby przekrzyknąć szum deszczu. Jego głos niósł się dokoła niczym bicie żałobnego dzwonu.

A dusze sprawiedliwych są w ręku Boga

i nie dosięgnie ich męka

Zdało się oczom głupich, że pomarli,

zejście ich poczytano za nieszczęście

i odejście od nas za unicestwienie,

a oni trwają w pokoju.

Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni,

nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności.

Po nieznacznym skarceniu dostąpią dóbr wielkich,  
Bóg ich bowiem doświadczył  
i znalazł ich godnymi siebie.  
Doświadczył ich jak złoto w tyglu  
i przyjął ich jak całopalną ofiarę.  
W dzień nawiedzenia swego zajaśnieją  
i rozbiegną się jak iskry po ściernisku<sup>[1]</sup>.

Clark i ja staliśmy najbliżej trumny – lekko opierałam się na ramieniu towarzyszącego mi mężczyzny. Świat wokół mnie zaczął się zamazywać. Otarłam mokre oczy, lecz małe perełki wplecione w woalkę mojego kapelusza lśniły nadal, niczym skamieniałe krople łez.

Wreszcie, po zakończonej modlitwie kapłana, trumna została opuszczona do otwartego grobu. Nachyliłam się nad nim niczym nad przepaścią i rzuciłam na wieko kilka świeżo ściętych w ogrodzie hortensji – kwiatów, od których wzięło się imię mojej ukochanej ciotki. Odsunęłam się, żeby ustąpić miejsca innym żałobnikom. Chroniąc się pod parasolem, który wręczył mi Clark, wolnym krokiem ruszyłam w stronę kamiennego kościółka, w którym niedawno skończono odprawiać nabożeństwo za duszę Hortense. Potrzebowałam chwili zadumy i samotności, zanim wszyscy zaczną się z wolna rozchodzić, a ja kolejny raz będę otrzymywać wypowiedane z żalem kondolencje...

Chwyciłam w nozdrza słonawy podmuch dolatujący od strony morza. Lekko odchyliłam w tył czarny parasol, przymknęłam oczy i wystawiłam twarz na wilgotny, chłodny wiatr oraz uderzenia kropel deszczu. Ich zimny dotyk nieco mnie orzeźwił. Kiedy po dłuższej chwili znowu uniosłam powieki, na tle starych drzew zwieszających grube konary nad cmentarnym murem zobaczyłam znajomą postać. Moje serce zabiło mocniej. W deszczu rozpoznałam

spowitą w czarny frak i elegancką pelerynę sylwetkę Gabriela Ackroyda. Za jego plecami gromadziły się ciemne chmury napływające znad oceanu. On również mnie zauważył – w deszczu ujrzałam, jak powolnym gestem unosi czarny cylinder i skłania się nisko. Zamarłam. Miałam wrażenie, że waha się, czy do mnie podejść. Liczyłam, że to zrobi, ale tak się nie stało. Skinął mi głową i odwrócił się do mnie plecami. Patrzyłam z bólem, jak odchodzi, znikając za kurtyną deszczu.

\* \*

To był długi i bardzo smutny dzień. Wieczorem ułożyłam się na szezlongu przy kominku całkowicie wyczerpana. Małymi łydkami popijałam z filiżanki w słonie gorącą herbatę. Próbowałam czytać, ale francuska powieść sprzed dwóch wieków nie wciągała mnie tak jak dotąd. Pomyślałam sennie, że warto byłoby wybrać się do biblioteki ciotki i poszukać ciekawszej pozycji. Od przyjazdu ani razu nie zajrzałam do bibliotecznej baszty, a niegdyś było to moje ulubione miejsce w domu... Przymknęłam oczy. Deszcz, który smagał świat w czasie pogrzebu, sączył się z nieba przez cały dzień, zaś po zmroku tylko przybrał na sile. Uderzał w grube szyby i w parapety, szumiał wśród liści za oknem. W takich chwilach dom na wzgórzu zdawał mi się jeszcze bardziej przytulny i zaciszny niż zwykle – w kominku cicho szeleścił złocisty ogień, a zegar z kurantem tykał miarowo, niewzruszony zmiennymi kaprysmi pogody.

Czułam, jak spływa na mnie coraz większa senność i obezwładnia moje ciało niczym niewidzialna pajęczyna. Zdało mi się, że słyszę ciche kołatanie do drzwi, przeciągłe skrzypnięcie, a potem czyjeś kroki. Sądziłam, że to sen, ale nagle ktoś dotknął mojej ręki, a moją skórę przeszyło zimno tak dotkliwie, że się obudziłam.

Otworzyłam oczy i serce zabiło mi jak szalone. Zamrugałam, ale

obraz nie znikał. W odbłasku płonącego kominka i w głębokim półmroku salonu zobaczyłam pochylające się nad moją twarzą szlachetnie wyrzeźbione oblicze Gabriela Ackroyda. Był tak blisko, że wystarczyło, abym uniosła się leciutko, a nasze usta zetknęłyby się ze sobą w bezgłośnym pocałunku. Nie miałam odwagi się poruszyć. Bałam się oddychać. Zapach jego ciała mnie upajał. Gabriela zdawała się bawić moja bezbronność i władza, jaką miał w tej chwili nade mną. Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. Ponownie całkowicie kontrolował sytuację oraz dzielącą nas odległość. Patrzyłam szeroko otwartymi oczami w jego czarne jak noc źrenice. Zdawało mi się, że czytają w moich myślach – że wyraźnie widzą zarówno moje pragnienia, jak i krępujące mnie konwenanse, a wreszcie rodzącą się w duszy bezsilną złość na niego...

– Proszę się odsunąć – szepnęłam.

Usłuchał. Odetchnęłam głęboko i usiadłam wyprostowana na szezlongu. Serce waliło mi niczym mocno rozkołysany dzwon. Czułam, jak oblewam się rumieńcem. Dookoła było nadspodziewanie ciemno. Rzuciłam okiem na tarczę zegara – wskazówki dobiegały jedenastej... A więc musiałam jednak mocno przysnąć. W kominku dopalała się ostatnia, szerniała szczapa drewna, wokół której w popiele mieniło się mnóstwo iskier.

Skrzyżowałam ręce na piersiach i wbiłam wzrok w Gabriela Ackroyda.

– Gdzie pańskie maniery, panie Ackroyd? – spytałam, unosząc wysoko podbródek. – Odwiedziny u samotnej panny o tak późnej porze? To nie uchodzi – stwierdziłam z naciskiem. – Powinnam zawołać służącą.

– Obawiam się, że cała służba już śpi.

Mężczyzna skłonił się lekko, przykładając prawą dłoń do serca. Zobaczyłam, że z jego peleryny przewieszzonej przez poręcz



najbliższego krzesła wcale nie ściekały krople deszczu, chociaż ten ostatni nieprzerwanie szumiał za oknem. Jak długo był tutaj Gabriel, kiedy spałam, skoro jego ubranie zdążyło już wyschnąć?! Jak wszedł do środka?! Czy wpuściła go Rosalind? Zapewne...

– Chciałem mieć pewność, że będzie pani sama, Madeline – rzekł z powagą. Spojrzał mi prosto w oczy, sprawiając, że przeszyło mnie oszałamiające gorąco. – Kiedy zobaczyłem panią na cmentarzu, zrozumiałem, że nie wytrzymam dłużej czekania... Nie mogę zwlekać do jutra, żeby się z panią zobaczyć.

Zamrugałam. Lekko rozchyliłam usta, całkowicie zbita z tropu tym wyznaniem.

– To znaczy, że mi pan przebaczył? – spytałam nieśmiało.

– Przebaczył?

Nie zrozumiał, o czym mówię.

– Moje cierpkie słowa – wyjaśniłam i mimowolnie spuściłam wzrok. – Krzyczałam na pana, wyrzuciłam pana z domu... Żałuję tego. Teraz widzę, że byłam niesprawiedliwa, wręcz okrutna... Przemawiał przeze mnie wielki, nieukojonny żal – wyszeptalam. – Ale to mnie nie usprawiedliwia. Powinnam była zachować się inaczej.

– Ani przez chwilę nie żywiłem do pani urazy. Nie mógłbym – rzekł Gabriel. W półmroku patrzeliśmy na siebie tak, jakbyśmy się widzieli po raz pierwszy. – Pytanie, które pani postawiła, powinno brzmieć inaczej: czy to pani wybaczyła mnie, Madeline? Czy wybaczyła mi pani, że tamtej nocy nie zdradziłem, kogo podejrzewam o dokonanie zabójstwa?

To pytanie zawisło między nami niczym trzepocząca w kącie ćma – nocny motyl, który wolno, lecz nieubłaganie zmierzał ku morderczemu światelku świecy...

Milczałam, aż cisza stała się nieznośna.

– Nic nie zwróci życia mojej ciotce – szepnęłam.

Ogarnęła mnie rozpacz, bo zaczynałam rozumieć to, co intuicja, instynkt i serce podszeptowały mi przez ostatnie dni. Odetchnęłam głęboko, próbując zmierzyć się z prawdą, lecz haust powietrza przyniósł również eteryczną woń deszczu oraz zmysłowy zapach siedzącego obok mężczyzny. Mężczyzny, o którym nie miałam prawa nawet marzyć.

– Śmierć ciotki Hortense i pańska tajemnica już zawsze będą stały między nami. Moje wybaczenie nie ma tutaj nic do rzeczy. Przykro mi.

Oczy Gabriela załśniły.

– Pragnę być z tobą, Madeline – wyznał niskim głosem. Cofnęłam dłoń, którą próbował ująć.

– To niemożliwe. Nie po tym, co się stało – szepnęłam. W moich ustach wzbierała gorycz. – Pańska tajemnica i śmierć mojej ciotki na zawsze nas rozdzieliły – powtórzyłam.

Zdecydowanym gestem wziął mnie za rękę.

– To zależy tylko od ciebie, Madeline. Wszystko się zmieni, kiedy prawda wyjdzie na jaw, kiedy morderca zostanie zdemaskowany...

– To nie przywróci życia Hortense!

Zadrżałam. Skinął głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– To prawda. Ale przywróci spokój pani duszy. A także mojej. A wówczas być może będą mogły się połączyć. Nasze dusze... i nasze ciała, Madeline.

Spłonęłam rumieńcem, a moje serce oszalało. Co ja właściwie robię?! Dlaczego pozwalam mu, by mówił te wszystkie rzeczy, by mnie dotykał, kusił wizją swoich pieścizot, by bezkarnie oglądał mnie we śnie?! By igrał z moimi uczuciami...

– Więc po to pan przyszedł, Gabrielu? Żeby znowu namawiać mnie do próby zdemaskowania mordercy? Czyż nie policja jest od tego?! – spytałam cicho.

Pokręcił głową.

– Przyszedłem, ponieważ usychałem z tęsknoty za panią. Ponieważ musiałem tej nocy nasycić się twoim widokiem, słuchać twojego głosu, poczuć ciepło, które od ciebie bije... Szaleję za tobą, Madeline. Pokonała mnie tęsknota.

Moje zranione serce bało się uwierzyć w jego słowa.

– Czyżby? – spytałam z nutką goryczy. – Skoro tak pan tęsknił i nie żywił pan do mnie urazy, to dlaczego od tamtej okropnej nocy nie dał mi pan znaku życia? – Poczułam, że w moich oczach błysnęły na ułamek chwili powstrzymywane łzy smutku i bezsilnej kobiecej złości. Przełknęłam ślinę i opanowałam drżenie głosu. – Nie będę udawać, ponieważ nie potrafię tego robić. Muszę wyznać, że codziennie czekałam na choćby najkrótszy list od pana. A kiedy go wreszcie otrzymałam... – uczyniłam pauzę, wahając się nad doborem odpowiednich słów – ...poczułam strach. I grozę.

Gabriel Ackroyd wyprostował się i spojrział mi w oczy. Wyglądał na głęboko poruszonego.

– Nie pisałem do pani.

– Tak, wiem, tego nie można nazwać pismem... Te przyklejone litery wycięte z gazety... To było okropne. Bezduzne. Myślał pan tylko o zabójstwie i o odkryciu jego sprawcy, prawda?

Mężczyzna wstał z fotela, a ja zadrżałam.

– Proszę pokazać mi ten list – rzekł cicho, lecz nadzwyczaj zdecydowanie.

Skinęłam głową. Ja również wstałam.

– Proszę tutaj poczekać – poleciłam.

Nie zamierzałam pod żadnym pozorem pozwolić na to, by towarzyszył mi do drzwi mej sypialni. Nawet tutaj, w salonie, kiedy wszyscy spali, stanowił dla mych najskrytszych myśli nieustającą, nieubłaganą pokusę. Najgorsze było to, że widocznie

zdawał sobie z tego sprawę...

Kiedy schodziłam z kopertą w dłoni po szerokich stopniach, Gabriel poruszał pogrzebaczem drwa, które dorzucił do kominka. Zatrzymałam się w połowie schodów, żeby popatrzeć na niego przez chwilę. Zatopił wzrok w tańczących płomieniach i wcisnął dłonie w kieszenie spodni. Ciemne włosy lekko falowały mu od deszczu. Pomyślałam, że z tą nieujarzmioną fryzurą wygląda bardzo młodo i chłopięco – trochę jak niesforny uczeń, który wybrał się na przedłużające się wagar.

Ruszyłam w dół, nim zorientował się, że go podglądam. Stałam obok i wręczyłam mu kopertę. Wyjął z niej kartkę i przeczytał wyklejony tekst.

„UWAŻAJ. PRAWDA MUSI WYJŚĆ NA JAW. A.”.

– Czy inicjał „A.” miał oznaczać nazwisko „Ackroyd”? – spytałam cicho.

– Nic podobnego.

– A więc?

– Nie, Madeline. Przysięgam, że nie przysłałem ci tego listu.

Wzdrygnęłam się.

– Leżał na biurku w mojej sypialni – szepnęłam. – A więc kto... – Pytanie zamarło mi na ustach.

Gabriel zmarszczył swoje ciemne brwi.

– Być może „A.” oznacza po prostu „Anonim”. Czy oprócz mnie znasz kogoś, kogo imię lub nazwisko zaczyna się na tę literę?

– Kilka osób...

Byłam coraz bardziej przestraszona i z trudem zbierałam myśli.

– Rosalind ma na nazwisko Atkinson. Pokojówka ma na imię Anna, a syn ogrodnika, mój kolega z dzieciństwa, to Artur... Ale nie wierzę, by któreś z nich było autorem listu. To musiał być ktoś inny!

– Nie wiesz tego na pewno. Zastanów się. Być może autor listu

użył liter wyciętych z gazety, ponieważ bał się, że odgadniesz jego tożsamość po charakterze pisma. A to by znaczyło, że dobrze znasz tę osobę.

Wolno pokręciłam głową.

– Jeśli chodzi o okolice Torquay, to korespondowałam tylko z ciotką Hortense...

– Rozumiem. Spójrzmy na to inaczej. Może autor listu powycinał wydrukowane litery, ponieważ pisze bardzo słabo, jest półanalfabetą. Sama wiesz, że zdarza się to nader często wśród niewykształconych osób.

Przytaknęłam. Wśród londyńskiej biedoty było aż nazbyt wielu ludzi, których nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł podejrzewać o umiejętność pisania. Kiedy patrzyłam na ich nędzę, litość rozdzierała mi serce. Dlaczego nasz świat jest taki niesprawiedliwy? Nie dziwiło mnie, że w ostatnich latach rodziło się tak wiele nowych idei, które próbowały dążyć do równości praw... Zdumiewałam się raczej tym, że większość znanych mi osób z londyńskiej socjety uważała je za wywrotowe i niebezpieczne. Obok ruchu sufrażystek, walczących o prawa kobiet, w Europie rodził się komunizm. Stary świat, w którym spędziłam dzieciństwo, tak bardzo stabilny pod długimi rządami królowej Wiktorii, bardzo powoli zaczynał chwiać się w posiadach. Nie tylko na Wyspach Brytyjskich, ale przede wszystkim na kontynencie...

Tymczasem mój własny, mały, prywatny świat już runął. A teraz znów miotały nim straszliwe wstrząsy.

– Madeline, czy pokazywałaś ten list policji?

Potrząsnęłam głową. Nagle powstała w niej straszna myśl.

– Gabrielu... – cicho wymówiłam jego imię. Sprawilo mi to ogromną przyjemność, którą poczułam mimo spływającego na mnie lęku. – Czy sądzisz, że napisał go morderca?

## 21. DZIEDZICZKA

– Nie wiem, Madeline – odparł Gabriel na moje pytanie.

Na chwilę delikatnie mnie objął, a ja oparłam głowę na jego ramieniu. Jego dłoń przesuwała się lekko niczym ciepły podmuch wiatru, kiedy wolno pogładził mnie po włosach. Ten dotyk mnie zelektryzował. Odsunęłam się wbrew własnej woli.

– Ale to możliwe, prawda? – spytałam.

– W tej chwili wszystko wydaje się możliwe – rzekł Gabriel z powagą. – Podobnie jak w czasie seansu spirytystycznego, kiedy wszyscy gotowi byli przysiąc, że panią Florę Jones zabiły duchy.

Spojrzałam mu w oczy.

– Postrzeganie różnych spraw zmienia się gwałtownie pod wpływem rozmaitych okoliczności. Podobno interesujesz się psychologią, Madeline... Powiedz więc, czyż nie mam racji?

Skinęłam głową.

– Dalej sądzisz, że Flora Jones padła ofiarą zabójstwa, prawda?

– Oczywiście. – Ujął mnie za rękę. – Nic się nie zmieniło. Jej śmierć nie wyglądała naturalnie. Wiem, że w głębi serca też tak sądzisz.

Cicho przytaknęłam. Po tym, co spotkało biedną ciotkę Hortense, nie mogłam się już dłużej oszukiwać. Tamtej nocy wywoływaliśmy duchy, lecz zamiast nich zjawił się wśród nas morderca. A może siły nadprzyrodzone również miały swój udział w owych strasznych wydarzeniach? Wszak zarówno wahadełko, jak i sama pani Flora ostrzegli nas przed groźącym niebezpieczeństwem... Zaś pismo automatyczne, którym posłużyło się medium, wielokrotnie zmieniło

charakter i kształt liter – jak gdyby kreśliły je wchłonięte przez ciało Flory, walczące ze sobą rozmaite osobowości...

– „PRAWDA MUSI WYJŚĆ NA JAW”. – Gabriel jeszcze raz odczytał tajemnicze zdanie z anonimowego listu. Westchnął głęboko. – Wątpię, żeby autorem tych słów był morderca. Pomyśl tylko. Zabójca to ostatnia osoba, której powinno zależeć na tym, żeby prawda na temat popełnionej zbrodni została ujawniona. To by przecież oznaczało odkrycie tożsamości mordercy.

Lekko zmarszczyłam brwi. Serce biło mi niespokojnie.

– Chyba że chodzi o jakąś inną „prawdę”. Inną tajemnicę. A nie o odkrycie zabójcy – wyszeptałam.

Mężczyzna spojrział na mnie z uwagą. Znowu odniosłam wrażenie, że jego ciemne oczy przenikają mnie na wylot.

– Czy wiesz, co to mogłoby być, Madeline? – spytał łagodnie i musnął kciukiem mój policzek. Staliśmy blisko siebie, a on patrzył na mnie tak intensywnie, że zapragnęłam leciutko wspiąć się na palce i podać mu usta do pocałunku. Być może bym to uczyniła, gdyby nie jego pytanie.

– Madeline, czy skrywasz jakiś sekret, który powinien wyjść na jaw? Coś, co może mieć na myśli autor listu?

Zawahałam się. Poczułam na piersi niewidzialny ciężar. Tak, skrywałam sekret, i poczułam gwałtowną potrzebę, żeby się nim podzielić. Jak przygnieciona nagłym brzemieniem, siadłam na brzegu szeszlangu, a Gabriel spoczął obok mnie. Zapatrzyliśmy się w płomienie na palenisku, od których wionęło ku nam przyjemne ciepło.

– Chodzi o naszyjnik. To jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy – wyrzuciłam z siebie cicho.

– Jaki naszyjnik?

– Naszyjnik mojej ciotki Hortense. Ciocia powiedziała mi przed

śmiercią, że w wieczór seansu dała go pani Florze Jones. Naszyjnik miał posłużyć za wahadełko do wywołania ducha mego wuja Rogera. Pani Flora włożyła brylant do swej torebki. Niestety, jak wiesz, wszyscy do niej zaglądaliśmy i naszyjnika już wtedy w niej nie było... Ktoś go zabrał. Został skradziony.

– Domyślasz się, kto mógłby to zrobić?

– Nie mam pojęcia. – Potrząsnęłam głową. Czułam, że opadam z sił.

– To tylko jedna z zagadek, które mnie dręczą...

– Zrobię wszystko, żeby je rozwiązać, Madeline – zapewnił mnie Gabriel z czułością. – Ale musisz mi pomóc. Bez ciebie nie dam rady. Nie mogę nic zrobić sam...

Poczułam chłód.

– Wiem... Wiąże cię twoja tajemnica.

Skinął głową.

– A jej więzy są potężne jak śmierć. – Zadrżałam, kiedy wypowiedział te słowa.

Gardło na moment ścisnęło mi strach – nie o siebie, lecz o niego. W tej chwili byłam pewna, że ktoś musiał go szantażować. Na miłość boską, w co on się wplątał?! W co wplątaliśmy się oboje?!

Musiał zobaczyć strach w moich oczach, bo szepnął, jak gdyby chciał cofnąć swoje słowa i zmienić temat:

– To z Pieśni nad Pieśniami.

– Co takiego?

Uśmiechnął się lekko.

– „Jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol, żar jej to żar ognia”<sup>[2]</sup> – wyrecytował wolno.

Jego słowa, tak jak niegdyś dźwięki pianina, przenikały wprost do mojej duszy. Poczułam się zbyt wzruszona i onieśmielona, by odpowiedzieć, więc rzekłam tylko, odwracając wzrok:

– Powinieneś pomówić o tym z policją.



Magia chwili prysła, zaś Gabriel pokręcił głową.

– Nie mogę.

Przełknęłam ślinę.

– Więc jak miałabym ci pomóc? – spytałam szeptem.

Delikatnie ścisnął moją dłoń. Nawet nie zauważyłam, kiedy nasze palce splotły się ze sobą – tak samo jak w wieczór pamiętnego seansu...

– Przypomnij sobie wszystkie niezwykłe rzeczy, których byłeś świadkiem tamtego dnia, kiedy zginęły pani Flora i lady Hortense. Każdą z tych rzeczy, Madeline. A potem zrób, co w twojej mocy, żeby je wyjaśnić i zrozumieć. Rozwiązanie ukaże się, kiedy opadną złudzenia.

Gabriel sięgnął po płaszcz i cylinder. Nachylił się, szukając przyzwolenia w moich oczach, a potem prędko musnął ustami moje wargi na pożegnanie.

Zostałam w ciemnym salonie całkiem sama – jednocześnie szczęśliwa, niepewna, przestraszona i zgnębiona, jak chyba nigdy dotąd. W moich myślach nadal rozbrzmiewały ostatnie słowa mężczyzny, który z każdym naszym spotkaniem coraz bardziej mnie fascynował i jednocześnie w jakiś sposób przerażał.

*Rozwiązanie ukaże się, kiedy opadną złudzenia.*

\* \*

Następnego dnia obudziło mnie delikatne pukanie do drzwi sypialni. Otworzyłam oczy i lekko przeciągnęłam się w skołtunionej pościeli. Długie promienie słońca muskały moje włosy i malowały w świetliste plamy wytapetowaną ścianę przy łóżku. Za uchylonym oknem głośno świergotały i gwizdały ptaki. Zdałam sobie sprawę, że słońce jest już wysoko na niebie... Najwyraźniej moje ciało miało dziś problem, by się zbudzić.

– Proszę – odpowiedziałam na kolejne już stuknięcia w drzwi.

Do środka weszła Rosalind z tacą z lekkim śniadaniem, na które składały się francuskie brioszki, konfitura i ciepłe mleko.

– Dzień dobry, panienko. Już prawie jedenasta. Czyba się pani wyspała?

– Dzień dobry, Rosalind. Tak, ja... – Chciałam powiedzieć, że „spałam jak zabita”, ale zważywszy na ostatnie okoliczności i mroczne wydarzenia, szybko ugryzłam się w język. – Byłam wykończona. W dodatku wczoraj późno się położyłam.

– To rozumiałe, panno Madeline. – Rosalind nachyliła się ku mnie i nagle jej czerstwą twarz rozjaśnił konfidencjonalny uśmiech. – Przyjechał pan Clark Cagwar – oznajmiła poufale. – Od godziny czeka na panienkę w salonie. Na wieść, że wciąż panienka śpi, poprosił, żeby jej nie budzić. Chciał, żeby panienka wypoczęła po pogrzebie. To prawdziwy dżentelmen. I jest cierpliwy jak mała który mężczyzna – stwierdziła służąca.

– Czekasz od ponad godziny? – Zrobiłam wielkie oczy. – Och... W takim razie chętnie zjem śniadanie w jego towarzystwie. Rosalind, czy mogłabyś przygotować dwa nakrycia w małej jadalni? Chociaż Clark pewnie wolałby otrzymać już wczesny lunch... – Wyskoczyłam z łóżka. – Postaram się wyszykować możliwie szybko.

Rosalind znów się uśmiechnęła i pokiwała głową.

– Wrócę zaraz, żeby panience pomóc zasznurować gorset.

Niebawem siedziałam naprzeciwko Clarka w niewielkiej, przytulnej jadalni – w tym samym miejscu, gdzie ostatni raz spożyłam śniadanie w towarzystwie mojej ukochanej ciotki Hortense.

– Prawie nic nie zjadłaś – zauważył mężczyzna, kiedy w zamyśleniu skubałam małym widelczykiem zawartość mojego talerza.

– Obawiam się, że nie jestem głodna.

– Cóż... – Na twarzy Clarka pojawił się tajemniczy uśmiech. – W takim razie mogę tylko mieć nadzieję, że zgłodniejesz do kolacji.

Zamrugałam.

– Do kolacji?

– Tak. Czy dasz się zaprosić w pewne urocze miejsce, żeby zjeść ze mną kolację? Chyba nie odmówisz mi tej przyjemności?

Uśmiechnęłam się.

– Jakżebym mogła?

Usta Clarka rozciągnęły się w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Zatem jesteśmy umówieni. Tymczasem jednak chciałbym zabrać cię gdzieś już teraz. Chodzi o pewne ważne spotkanie w oficjalnej sprawie.

Lekko drgnęłam.

– Chyba nie masz na myśli spotkania na policji?

Clark zrobił poważną minę, a potem niespodziewanie się roześmiał.

– Skądże znowu! Ostatnią rzeczą, jakiej bym teraz pragnął, są kolejne przesłuchania i ponure myśli. – Jego intensywnie niebieskie oczy spojrzały na mnie uważnie. – Oboje jesteśmy w żałobie, Madeline, ale to chyba nic złego, jeśli spróbujemy umilić sobie te trudne chwile? Wiem, że tutaj, w Anglii, myśli się inaczej. Ale, jak wiesz, ja wychowałem się w Ameryce, z matką i ojczymem... Tam ludzie mają bardziej pragmatyczne podejście do życia. Zdaje mi się, że bardziej od Anglików doceniają każdą upływającą chwilę. I są bardziej otwarci w wyrażaniu emocji. Chyba nie masz mi za złe, że myślę w ten sposób?

– Ależ skąd! – zaprzeczyłam.

*Co za ulga, że nie chodzi o policję...*

Zmrużyłam oczy.

– Więc nie zdradzisz mi, dokąd chcesz mnie teraz zabrać?

– Nie chcę psuć niespodzianki. Zaufaj mi, dowiesz się lada chwila. A tymczasem powiedz, proszę: czy kiedykolwiek jechałaś automobilem?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem i poczułam dreszczyk ekscytacji.

– Nigdy!

Wyszliśmy przed dom, gdzie na wysypanym żwirze podjeździe dla powozów stała niezwykła maszyna Clarka. Do tej pory nawet w Londynie samochody były rzadkim widokiem. Przyglądałam się automobilowi z zainteresowaniem. Przód pojazdu nieco przypominał mi kształtem miniaturową lokomotywę i miał zamontowane pionowe przeszklenie. Wąskie koła ze złocistymi szprychami były pokryte gumowymi oponami. Para okrągłych reflektorów ze złotą obwódką odcinała się na tle czarnej, błyszczącej karoserii z elementami w szlachetnym ciemnoorzechowym kolorze. Dach stanowiła mocno naciągnięta, gruba czarna plandeka. Zajrzałam do środka – okrągła kierownica znajdowała się na końcu długiego drążka, poniżej którego z podłogi sterczały dwie wajchy i trzy dziwne pedały. Miejsce do siedzenia stanowiła kanapa obita skórzaną tapicerką.

– Skąd go masz? – spytałam, gładząc dłonią brzeg kanapy.

– Kupiłem w Stanach. Przyplłynął razem ze mną z Ameryki – odparł Clark z wyraźną dumą. – To ford model T, niedawno wypuszczony przez Ford Model Company. Być może słyszałaś o amerykańskim wynalazcy, Henrym Fordzie, który wprowadził w swojej fabryce produkcję taśmową. Wierzy, podobnie jak ja, że za jakiś czas automobile będą w posiadaniu niemal każdej amerykańskiej rodziny.

Niepewnie skinęłam głową.

– Niezwykłe, jak to blaszane poszycie błyszczy w słońcu –

zauważyłam.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– To zasługa pasty do polerowania. Sam opracowałem jej skład. Od jakiegoś czasu używam do karoserii wyłącznie specjalnej pasty z fosforem – powiedział. – Gotowa? – spytał.

– Gotowa.

Clark otworzył przede mną drzwiczki swojej maszyny. Wstąpiłam na metalowy próg i usadowiłam się wygodnie na skórzanej kanapie wewnątrz, zaś mój towarzysz zajął miejsce za kierownicą. Silnik zakasłał i pojazd z mechanicznym terkotem ruszył z miejsca.

Szybkość samochodu była niezwykła. Wiatr wirujący w moich włosach stopniowo przeganiał troski. Odrzuciłam w tył ozdobiony kwiatami olbrzymi kapelusz. Jechaliśmy drogą w stronę Torquay, lecz potem skręciliśmy i przez pewien czas poruszaliśmy się trasą ze wspaniałym widokiem na ocean. Cieszyłam oczy widokiem ciemnobłękitnej wody i pojedynczych obłoków płynących nad jej bezkresną powierzchnią. Tu i tam na niebie migały białe mewy. Dopiero teraz czułam, jak bardzo brakowało mi bliskości morza w zatłoczonym Londynie. Spacerzy nad Tamizą nie były w stanie tego zastąpić.

Za kolejnym zakrętem drogi i kilkoma kępami starych drzew moim oczom ukazały się białe ściany i liczne okna wiejskiej posiadłości tonącej w zieleni. Zmierzaliśmy w jej stronę.

– To cel naszej przejażdżki? – spytałam.

– Tak – odparł Clark, przekrzykując silnik samochodu. – To Dębowy Park, posiadłość mojego zmarłego ojca. To tutaj mieszkam od przyjazdu z ciotką Florą z Ameryki.

– Twój ojciec zmarł dawno temu?

– Niebawem upłynie rok.

– Bardzo mi przykro.

– Cóż mogę rzec? Niestety prawie go nie znałem... Ale zostawił mi po sobie wszystko.

Przypomniało mi się, że według ciotki Hortense matka Clarka opuściła jego ojca dla jakiegoś aktora i wyjechała z nim i z synem do Ameryki. To kochanka matki Clark musiał mieć na myśli, kiedy przy śniadaniu wspomniał o swoim ojczymie.

Automobil minął otwartą na oścież bramę. Clark zaparkował maszynę przed okazałym domem o białych ścianach, licznych kominach i spadzistych dachach. Posiadłość otoczona była odrobinę zaniedbanym parkiem z szeroką aleją okoloną szpalerem starych, rozłożystych dębów. Za rogiem budynku zauważyłam zdziczały ogród pełen intensywnie pachnących kwiatów, wokół których pleniły się pokrzywy. Widać było, że już od jakiegoś czasu to miejsce pozostawało porzucone i pozbawione kobiecej troski – tak samo jak jego nieżyjący właściciel...

Niedaleko stał elegancki powóz – woźnica skłonił się nam w milczeniu. Domyśliłam się, że osoba, która przybyła, musi czekać na nas w środku. Poczułam się zaintrygowana. O co chodziło?

Clark przepuścił mnie w drzwiach i poprowadził przez amfiladę jasno oświetlonych pokoi do przestronnego salonu pełnego pięknych mebli w kolonialnym stylu. Wchodząc, dostrzegłam melonik leżący na brzegu sofy utrzymanej w piaskowym kolorze. Moment później moim oczom ukazał się jego domniemany właściciel: starszy mężczyzna w cieniutkich złotych binoklach spuszczonej na sam kraniec orlego nosa. Miał na sobie elegancko skrojony garnitur i jasną muszkę, której kolor współgrał ze srebrzystością jego gęstych, starannie zaczesanych włosów oraz idealnie przystrzyżonych wąsów.

– Madeline, to mecenas James Harris. Panie Harris, oto moja przyjaciółka, siostrzenica pana zmarłej klientki, panna Madeline Hyde.

Po wymianie wzajemnych ukłonów pan Harris uściskał mi dłoń.

– Proszę raz jeszcze przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia, panno Hyde.

– Bardzo dziękuję. – Uśmiechnęłam się blado, a w moich myślach odezwało się przelotne wspomnienie. – Zdaje mi się, że widziałam pana na pogrzebie...

Zarumieniałam się lekko, gdyż wspomnienie naszego poprzedniego spotkania pozostawało dla mnie dość mgliste. Na nadmorskim cmentarzu w dniu pogrzebu ciotki Hortense zjawiało się mnóstwo osób, z których większości nie znałam – w dodatku byłam wówczas głęboko przybita i rozkojarzona...

– Istotnie, lecz rozmawialiśmy wówczas zaledwie chwilę. Nie pamięta mnie pani zbyt dobrze, prawda? To nic. Zajmowałam się sprawami majątkowymi pani świętej pamięci ciotki, lady Lancey, od śmierci świętej pamięci lorda Rogera. Zatem... – Mecenas Harris odchrząknął, jak gdyby dawał znak, że zamierza przejść do sedna naszej rozmowy. – Mam ze sobą testament oraz akta spadkowe. Czy możemy przejść do odczytania? Pan Cagwar i mój służący posłużą nam za świadków. Wiem od pana Cagwara, że zależy pani na dyskrecji... Uspokoję więc panią, panno Hyde, że dyskrecja to moja dewiza. Można by rzec, że w tej jednej kwestii jestem nawet odrobinę przesądny, wolę nie kusić losu. – Poprawił muszkę. – Sądzę, że dyskrecję należy mieć zawsze na uwadze, gdy chodzi o znaczne pieniądze.

– Znaczne pieniądze? – powtórzyłam jak echo, zanim na dobre ugryzłam się w język.

Byłam kompletnie zaskoczona tym, co się działo. Clark chciał zrobić mi niespodziankę i istotnie mu się udało.

– Chyba nie sądziłaś, że jako prawnik i twój przyjaciel nie zatroszczę się o tę kwestię? – mruknął do mnie jasnowłosy

mężczyzna. – Dzięki tymczasowemu pełnomocnictwu, którego mi udzieliłaś, udało mi się porozumieć z mecenasem Harrisem i umówić was na dziś.

– Cóż. – Pan Harris wyciągnął z eleganckiego neseseru grubą skórzaną teczkę z plikiem dokumentów. – Zacznijmy od odczytania testamentu, który lady Lancey sporządziła w mojej obecności i powierzyła mej pieczy. Jak sądzę, jest to dokument, który interesuje pannę Hyde najbardziej.

Lekko zacisnęłam dłonie. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale poczułam ogarniające mnie napięcie. Jakie to dziwne, że właśnie miałam usłyszeć słowa, które ciotka Hortense podyktowała z myślą o swojej własnej śmierci... Ogarnął mnie głęboki smutek i spuściłam wzrok. Głos mecenasa rozbrzmiał w ciszy mocno i dostojnie – niemal jakby wygłaszał mowę pogrzebową. Wsłuchiwałam się w każde jego słowo, ale byłam zbyt przejęta, by od razu pojąć w pełni ich znaczenie. W mojej głowie kłębiło się naraz mnóstwo myśli. Przede wszystkim czułam ból i tęsknotę za ciotką – obecna sytuacja zdawała mi się nierealnym snem.

Mecenas Harris odchrząknął, kończąc lekturę dokumentu.

– A więc, panno Hyde... Podsumowując, pani ciotka przekazała znaczne kwoty na cele dobroczynne, przede wszystkim na dom dla sierot w Aravern oraz lecznicę dla chorych na płuca w Torquay. Niemniej majątek, który pozostawiła pani jako swojej jedynej spadkobierczyni, wart jest pokaźną kwotę. Jak za chwilę wykażę na podstawie pozostałych dokumentów, na większość tej sumy składa się wartość posiadłości Wzgórze Mgieł. Posiadłości, która od tej pory należy do pani, panno Hyde...



## 22. WYRZUTY SUMIENIA

Po wyjściu mecenasa Harrisa usiadłam na brzegu miękkiej piaskowo-żółtej kanapy. Musiałam odnaleźć się w nowej sytuacji. Kobieta ze sklepu z sukniami w Torquay miała rację. Po śmierci Hortense przestałam być „ubogą krewną” z Londynu, która od dziecka spędzała wakacje w domu lady Lancey. Okazało się, że zyskałam miano dziedziczki. Dom pełen letnich wspomnień z mojego dzieciństwa – Wzgórze Mgieł – należał teraz do mnie...

Ciężko mi było w to uwierzyć.

Clark podszedł do barku i wyjął dwie szklanki oraz tacę z kryształowymi karafkami i przygotował dwa drinki.

– Domyślam się, że na co dzień nie pijesz, ale może masz ochotę zrobić dziś wyjątek? Dodałem tylko kroplę alkoholu...

– Dziękuję – przyjęłam z jego dłoni chłodną szklankę i zakołysałam nią w dłoni. Musiałam wyglądać na zdenerwowaną, skoro zaproponował mi alkohol. A może pragnął ukoić także własne nerwy, zmęczenie i smutek? W końcu w ciągu roku mój towarzysz stracił ojca oraz ciotkę, z którą po latach rozłąki nawiązał kontakt. Wiedziałam, że sporo energii Clarka pochłaniało porządkowanie majątkowych spraw po ojcu, a w dodatku to on zajął się organizacją ceremonii pogrzebowej naszych ciotek.

Pomyślałam, że Clark miał rację, mówiąc dziś o tym, że on i ja powinniśmy wzajemnie pomóc sobie w przechodzeniu przez trudny okres żałoby. W sytuacji, w której oboje się znaleźliśmy, nie było chyba nic gorszego niż samotność. To ona doskwierała nam

najbardziej. W końcu dla mieszkańców Torquay oboje byliśmy przyjezdnymi, którzy nie mieli w okolicy zbyt wielu przyjaciół – ja przybyłam do Wzgórza Mgieł z Londynu po kilku latach nieobecności, Clark zaś, chociaż urodził się w Anglii, mieszkał w Ameryce tak długo, że obecnie musiał czuć się tu chwilami jak imigrant.

Upiłam nieduży łyk chłodnego płynu ze szklanki. Poczułam cierpką nutkę alkoholu, lecz była ona na tyle subtelna, że nawet się nie skrzywiłam. Czy naprawdę to pomoże mi się zrelaksować?

– Jak ty to zrobiłeś? – zaczęłam w zamyśleniu po dłuższej chwili milczenia.

– Co dokładnie? – spytał Clark z uprzejmym zainteresowaniem.

– Jak odnalazłeś się jako dziedzic? – Rozejrzałam się dookoła. – To ogromny, piękny dom, wspaniała posiadłość... Czy łatwo przyszło ci się tu odnaleźć po śmierci ojca?

– Cóż, już w Ameryce byłem bogaty. – Clark obrócił szklankę z drinkiem w dłoni. – Mój ojczym nie narzekał na brak pieniędzy. Muszę ci wyznać, że przywykłem do luksusu. Lecz gdy dowiedziałem się, że mój prawdziwy ojciec zmarł... to było dziwne uczucie. Żałowałem, że nie poznałem go lepiej. Jego ani angielskiej rodziny mojej matki. To chyba dlatego tak polubiłem ciotkę Florę. Była siostrą mojej matki i uosabiała dla mnie wszystko, co angielskie. Jakieś dalekie wspomnienia, a także to, czego nie zaznałem ja ani matka: święta spędzone razem z nią w Anglii, kartki na urodziny...

– Nie miałeś kontaktu z ojcem? – spytałam cicho.

Clark potrząsnął głową.

– Praktycznie żadnego. Ojciec nie chciał wiedzieć nic o matce od chwili, kiedy odeszła ze mną do mojego ojczyma. Wyjechaliśmy do Ameryki, a rodzina matki się jej wyrzekła. Dopiero ciotka Flora, po latach, wyciągnęła do niej rękę na zgodę i poprosiła o rodzinne

pojednanie.

– Musiało być ci trudno, kiedy byłeś dzieckiem.

– Czasami. Lecz wolę myśleć, że miałem szczęście. Wiele dzieciaków w naszych czasach ma gorsze życie. I to tysiąckrotnie...

– A twój ojczym? Czy dobrze cię traktował?

Clark uśmiechnął się.

– To wspaniały człowiek i moja matka oszalała na jego punkcie. Nie była szczęśliwa w swoim pierwszym małżeństwie. Mój ojczym wszystkiego mnie nauczył – mnóstwa rzeczy niezwykle przydatnych w życiu. Był marzycielem. W Nowym Jorku wprowadził mnie w towarzystwo aktorów i artystów, w szczególności tych występujących na Broadwayu. W teatrze nieraz mogłem podziwiać najnowsze sztuki zza kulis, oglądać próby... Pamiętam, jak zabrał mnie na premierę operetki Herberta *The Fortune Teller*. To było bardzo inspirujące. Wyrobiło we mnie swoistą wrażliwość...

Słuchałam Clarka jak zaczarowana. Miał niezwykły dar opowiadania – wykorzystywał przy tym całą swą mimikę oraz ton głosu. Słowami mężczyzna kreślił przede mną barwny obraz wielkiego miasta za oceanem – żywiłowego, pełnego niezwykłych osobowości, rosnącego w siłę i dającego szansę na lepsze jutro każdemu, kto wierzy w siebie, ciężko pracuje oraz posiada odwagę, by ryzykować i spełnić swoje marzenia.

Clark mówił i mówił, aż nagle uświadomiłam sobie, że się uśmiecham. Niestety jego opowieści nie mogły trwać wiecznie...

– Powinnaś mnie zganić, Madeline. – Machnął ręką i spojrzał mi w oczy.

– Ale za co?

– Masz własne problemy, a ja wciąż gadam, zamiast skupić uwagę na tobie. Bywam samolubny i egocentryczny. – Zaśmiał się krótko i mrugnął jednym okiem. – Cóż, podobno tacy właśnie są

Amerykanie.

– Nie przeszkadza mi, że mówisz dużo o sobie. To wszystko, co opowiedziałeś o życiu w Stanach, jest dla mnie fascynujące.

– Ale nadal nie odpowiedziałem na twoje pytanie.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Myślisz, że zapomniałem? Sporo mówię, ale potrafię też słuchać. Pytałaś, jak odnalazłem się jako dziedzic majątku ojca. Otóż do końca się nie odnalazłem. Dlatego chcę sprzedać ten dom. Domyślam się, że to samo będziesz chciała zrobić z posiadłością ciotki.

– Ze Wzgórzem Mgieł? – szepnęłam, czując nagły niepokój. *Sprzedać Wzgórze Mgieł?* – pomyślałem w popłochu. Kochałam ten dom i wiem, że Hortense go kochała. Do tej pory przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym się go w jakiś sposób pozbyć. Nawet jeśli na sprzedaży zyskałabym okrągłą kwotę...

– Domyślam się, że po tym, co się tam wydarzyło, raczej nie zechcesz tam zamieszkać – kontynuował Clark, upiwszy mały łyk alkoholu. – Wiesz, że nie wierzę w duchy, ale gdy w domu kogoś zamordowano... Chyba czułbym się tam tak, jakby naprawdę dom był nawiedzony.

Milczałam.

– Przepraszam, Madeline. To było nietaktowne z mojej strony. – Clark odstawił szklankę na stół. – Nie powinienem był o tym wspominać.

– Nie masz za co przepraszać. Wprost przeciwnie. – Uśmiechnęłam się blado. – Wspomniałaś o tym, co rzeczywiście mnie dręczy. Nie możemy udawać, że nic się nie wydarzyło. Ja nie potrafię. Ciągłe zadaję sobie pytanie: jak do tego doszło? Dlaczego? Dlaczego pani Flora i Hortense straciły życie?

Clark podszedł i usiadł obok mnie na sofie. Delikatnie ujął moją dłoń.

– Nie myśl już o tym, Madeline. Sprawą zajęła się policja. Na pewno w końcu go złapią.

– Kogo?

– Mordercę. – Mężczyzna spojrzał mi w oczy.

– Ale... to wszystko... to wszystko, co stało się tamtej nocy, było tak dziwne, nie sądzisz? – spytałam, nie spuszczając z niego wzroku. Nie wiem dlaczego, ale miałam nadzieję, że powie coś, co mnie uspokoi.

– Naprawdę chcesz znać moje zdanie?

– Oczywiście. – Ścisnęłam go za rękę.

– Więc oto, co myślę. Moja biedna ciotka umarła z przyczyn naturalnych, chociaż być może dokładna natura owych przyczyn pozostanie dla nas nieodkryta. Ciotka Flora od dawna chorowała i niestety ten seans spirytystyczny okazał się bardzo złym pomysłem. Obwiniam się za to, że nie wybiłem jej go z głowy na czas. Zbyt łatwo ulegałem kaprysom tej uroczej staruszki, którą uwielbiałem. Natomiast jeśli chodzi o lady Hortense... Przecież wszyscy widzieliśmy wtedy człowieka w masce za oknem. To chyba jasne, że to on ją zabił, prawda? Wszyscy byliśmy wówczas w salonie.

Skinęłam głową i głośno przełknęłam ślinę.

– Ale dlaczego? Dlaczego, Clark? Dlaczego ktoś miałby zamordować Hortense? – W kącikach oczu poczułam wzbierające łzy.

Clark przytulił mnie i pogładził po włosach.

– Nie wiem, Madeline. To musiał być jakiś szaleniec. Wszystko na to wskazuje... Ktoś chory psychicznie.

Przetarłam oczy opuszkami palców. Odetchnęłam głęboko. Niespokojne myśli znowu zaczęły przemykać przez moją głowę.

– Wybaczysz mi, jeśli poprosiłabym cię o przełożenie dzisiejszej kolacji? Chyba ta wieść o spadku... ktoś inny na moim miejscu by się cieszył, a ja... – Głośno wciągnęłam powietrze. – Mam poczucie, że zyskałam majątek kosztem życia osoby, którą kochałam. Ciotka

Hortense praktycznie zastępowała mi matkę. W pewnym sensie masz rację. Dopóki jej śmierć nie zostanie wyjaśniona, we Wzgórzu Mgieł będą królowały duchy... – szepnęłam.

Clark wydał się zmartwiony, ale tylko przez ułamek chwili.

– Oczywiście, Madeline. Dla ciebie wszystko. Przełożmy naszą kolację na za parę dni – rzekł ciepło.

Uśmiechnęłam się do niego promiennie.

– Jesteś wspaniały, wiesz? – wyznałam cicho. – Będę ci winna dozgonną wdzięczność za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

– Madeline, chcę zrobić dla ciebie, co w mojej mocy... ale na razie nie będę ci się narzucał. – Szarmancko ucałował moją dłoń. – Wiem, że muszę uszanować twoją żalobę.

\* \*

W drodze powrotnej do Wzgórza Mgieł byłam bardziej milcząca niż wcześniej. Na szczęście Clark po raz kolejny okazał się świetnym gawędziarzem. Przed jego wyjazdem z Ameryki w miejscowości Hampton Roads odbyła się Wystawa Światowa; Clark opowiadał o niej z prawdziwą pasją. Niestety tym razem nie do końca dawałam się porwać jego opowieści. Moje myśli mimowolnie krążyły wokół spraw, które były dla mnie zdecydowanie mniej odległe.

Nagła wiadomość o spadku obudziła we mnie wyrzuty sumienia.

Jeszcze wczoraj byłam nikomu nieznaną panną Madeline Hyde, siostrzenicą lady Hortense, która przyjechała na wakacje z Londynu.

Dziś natomiast stałam się dziedziczką i spadkobierczynią ciotki i wuja, którzy powierzyli mi wszystko, co kochali – wyjątkowy dom pełen wspomnień...

Wiedziałam, że nie poczuje się godna ich spuścizny, dopóki będą ciążyły mi kłamstwa i sekrety. Oszukałam policję i zataiłam kilka spraw. Przedtem moje postępowanie wydawało mi się uzasadnione,

a nawet słuszne, ale teraz?! Westchnęłam głęboko. Niewidzialny kamień spoczywający na mojej piersi nie znikał. Nie tak pragnęła wychować mnie ciotka Hortense – nie na kłamczuchę... Odkąd umarła, pragnęłam stać się godną jej miłości i szacunku jeszcze mocniej niż wcześniej.

Na pożegnanie Clark ucałował moją dłoń. Musnął mnie po rozwianych włosach i strzepnął z nich suchy brzozy listek, który w trakcie jazdy musiał wplątać w nie wiatr. Listek kształtem przypominał malutkie złote serce...

– Kolacja w sobotę? – spytał Clark z zawadiackim uśmiechem.

– Zgoda. – Odwzajemniłam uśmiech. – Tym razem cię nie zawiodę.

Pożegnaliśmy się i znowu usiadł za kierownicę. Stałam na ganku i spoglądałam za nim, dopóki lśniący niczym olbrzymi chrząszcz automobil nie zniknął za zakrętem drogi z mechanicznym terkotem.

Postanowiłam poszukać Artura. Zajrzałam do domku ogrodnika, ale nikogo w nim nie zastałam. Ruszyłam ku stajni i powozowni – już z daleka dostrzegłam młodego kasztanka na długiej lonży, którą trzymał Artur. Odkąd tylko pamiętałam, mój przyjaciel z dzieciństwa miał niesamowite podejście do zwierząt. Lonżowany koń płynnie zmieniał chód i poruszał się z gracją, reagując na komendy człowieka. Mężczyzna zobaczył mnie i z koniem u boku podszedł do drewnianego ogrodzenia, które okalało obszerny padok.

– Panno Madeline.

Odruchowo wyciągnęłam rękę do trzymanego za kantar zwierzęcia i pogładziłam je po aksamitnych ciemnych chrapach. Koń ze spokojem poddał się mojej pieśczoce.

– Arturze... Chciałabym pojechać do Torquay.

– Teraz?

– Za pół godziny. Czy to możliwe?

– Oczywiście. Przygotuję powóz.

– Dziękuję.

Ruszyłam do domu, żeby zdążyć się jeszcze odświeżyć przed podróżą. Mimo że w Dębowym Parku wypiałam tylko kroplę alkoholu, odczuwałam jego wpływ na mój organizm. Czy to właśnie alkohol spowodował u mnie nagłą potrzebę zwierzeń? A może jedynie spotęgował to, co czułam...

Tak czy inaczej, zamierzałam udać się na posterunek policji i opowiedzieć o skradzionym naszyjniku.

A także o tajemniczym liście podpisanym literą „A.”.

*Muszę to zrobić. Dziś. Teraz. Teraz albo nigdy!*

W czasie drogi starałam się przygotować na rozmowę, która mnie czekała. Ogarniało mnie coraz większe zdenerwowanie, jednak było ono niczym w porównaniu z determinacją, żeby pomóc policji w ustaleniu tożsamości zabójcy. Chciałam zrobić to dla siebie, dla ciotki Hortense, a także... dla Gabriela Ackroyda.

Myślałam o nim z mocno bijącym sercem. Czy odkrycie prawdy o śmierci ciotki naprawdę pozwoli nam zbliżyć się do siebie? Czy to, co nas rozdzieliło, będzie mogło z czasem pójść w niepamięć? Ruchy powozu harmonizowały z lekkim, alkoholowym kołysaniem w mojej głowie – gdy zamykałam oczy, stawała przed nimi pochylona nade mną, ciemnooka męska twarz rysująca się w świetle płomieni. Usta Gabriela były tuż przy moich i kusily obietnicą pocałunku. W powietrzu wokół unosił się eteryczny zapach deszczu oraz nadciągającej burzy.

Ocknęłam się z dziwnego, kołyszającego transu, gdy powóz podskoczył na jakimś wyboju. Wyjrzałam za okno. Wjechaliśmy do Torquay – kamienne domki i drewniane dobudówki tuliły się do siebie w popołudniowym słońcu, lekko zamglonym przez rozwiane obłoki. Między odległymi, łupkowymi dachami starej części miasta błyskał błękit morza. Artur zatrzymał konie na rogu



pokrytego kocimi łbami placu. Zobaczyłam, że naprzeciwko znajduje się posterunek.

Odetchnęłam głęboko – na tyle, na ile tylko pozwolił mi ciasno zasznutowany gorset – i pożałowałam, że go nie poluźniłam. Było już jednak za późno na jakiegokolwiek zmiany decyzji czy dodatkowe przygotowania. Skinęłam dłonią Arturowi i z jedwabną sakiewką oraz parasolką od słońca w dłoniach wstąpiłam na kamienne schodki prowadzące do policyjnego biura.

Nigdy dotąd nie byłam w takim miejscu. Choć policjanci na ulicach Londynu nie byli rzadkim widokiem, a Scotland Yard, który wziął nazwę od ulicy przy pałacu królów Szkocji, funkcjonował od ponad siedemdziesięciu lat, to ja sama ani razu, aż do tej pory, nie miałam do czynienia z policją. W wyobraźni młodej damy takie miejsca jak to, które zamierzałam odwiedzić, nierozzerwalnie łączyły się ze złodziejami, z palaczami opium, rabusiami i sutenerami, a także z kobietami lekkich obyczajów. Dosłownie wzdrygnęłam się na myśl o reakcji mojego ojca, gdyby dowiedział się, co porabia jego córka... Z pewnością stwierdziłby, że się ośmieszam i ani trochę nie dbam o rodzinną reputację.

Na szczęście go tu nie było.

## 23. OSZUSTKA

Kiedy przekroczyłam próg posterunku policji w Torquay, w mojej głowie kłębiło się pełno najczarniejszych skojarzeń. Tymczasem to miejsce okazało się zdecydowanie mniej mroczne, niż przypuszczałam. Torquay było niewielkim, sennym miasteczkiem i taka była też tutejsza siedziba stróżów prawa. Atmosfera wewnątrz przypominała mi, choć nie wiem dokładnie dlaczego, urząd pocztowy. Pomyślałam, że śmierć Flory Jones oraz mojej ciotki Hortense Lancey musiała być okropnym, wyjątkowym wstrząsem, który postawił na nogi tutejszą policję. Trudno byłoby uwierzyć, że prawdziwe zbrodnie zdarzają się w okolicy części.

A może się myliłam? Może zbyt łatwo dawałam się przekonać leniwej, letniej aurze nadmorskiego miasteczka i niegroźnym twarzom jego mieszkańców? Może zło, choć wolimy o tym nie myśleć, jest zjawiskiem o wiele bardziej pospolitym, niż mamy odwagę przyznać? Wiedziałam o co najmniej jednej śmierci, której przyczyn do tej pory nie poznałam. W jaki sposób zmarł brat Gabriela Ackroyda? Wszak pan Frank wspomniał o tym, iż rozmawiał z policją o śmierci, czy może raczej o zaginięciu syna.

Wzdrygnęłam się. Próbowałam odpędzić od siebie te myśli. Jeszcze chwila i przestanę ufać nawet służącym... Moje obcasiki stuknęły o świeżo wypastowaną podłogę, kiedy podeszłam do długiego biurka, za którym siedział wystukujący coś na maszynie do pisania policjant. Mężczyzna uniósł wzrok znad sterczącej z bębna kartki papieru i na mój widok wstał.

– Czym mogę pani służyć?

Przełknęłam ślinę.

– Nazywam się Madeline Hyde i chciałabym porozmawiać z inspektorem Stevenem Langleyem. Zajmuje się sprawą śmierci mojej ciotki. – Choć nie mówiłam głośno, przechodzący obok mężczyzna rzucił mi badawcze spojrzenie.

Mój rozmówca lekko zmarszczył brwi.

– Proszę spocząć, panno Hyde. – Wskazał mi proste drewniane krzesło pod ścianą. – Pójdę sprawdzić, czy inspektor może panią teraz przyjąć.

Siadłam na krześle i splotłam dłonie w czarnych koronkowych rękawiczkach na rączce złożonej parasolki. Ze zdenerwowania skupiłam wzrok na własnych paznokciach i chwilowo nie śmiałam go unieść. Przez głowę przebiegła mi myśl, że rękawiczki podobne do tych, które mam na sobie obecnie, widziałam ostatnim razem na bladych, drżących z nerwów dłoniach pani Sary Ackroyd... A było to w noc seansu spirytystycznego.

– Dzień dobry, panno Hyde. – Usłyszałam mocny męski głos, który wydał mi się znajomy. Zamrugałam. To był pan Thornton. – Panno Hyde. – Skłonił się lekko i ucisnął mi dłoń.

– Inspektorze...

– Sierżancie – poprawił mnie mój rozmówca i lekko się zmieszał. Ja również poczułam się zażenowana swoim przejęzieniem. Z nerwów zaczynałam być roztargniona...

– Inspektor Langley pani oczekuje. Proszę za mną.

Ruszyliśmy chłodnym korytarzem w głąb budynku.

– Chciałam przekazać panom dodatkowe informacje.

– Pojawiły się jakieś nowe okoliczności?

– Owszem. – Skinęłam głową. – Ale... muszę wyznać coś jeszcze.

Sierżant Thornton otworzył mi drzwi. Zza biurka w niewielkim

gabinecie z rzadka wypełnionym podstawowymi sprzętami uniósł się łysiejący inspektor Langley. Jego chłodne bladoniebieskie oczy otaksowały mnie od stóp do głów. Uścisnął moją dłoń.

– Witam, panno Hyde. Zechce pani spocząć? – Wskazał mi krzesło naprzeciwko swojego biurka. Gdy usiadłam, poczułam się osaczona.

– Nie będzie pani przeszkadzało, jeżeli sierżant Thornton, jak ostatnio, będzie się przysłuchiwał naszej rozmowie? Jest bezpośrednio zaangażowany w tę sprawę.

– Ani trochę – zapewniłam natychmiast. Prawdę mówiąc, byłam pewna, że obecność młodego sierżanta może tylko dodać mi otuchy. Zasadniczy inspektor Langley, który nigdy się nie uśmiechał, odrobinę mnie przerażał. Zwłaszcza teraz, kiedy zamierzałam wyznać, że zataiłam przed nim coś istotnego.

– Zatem: słuchamy. Proszę powiedzieć, co panią do nas sprowadza.

Nie chciałam być jedyną osobą, która będzie odpowiadać na pytania. Jako najbliższej krewnej ciotki Hortense mnie również należały się wyjaśnienia.

– Czy policja ustaliła coś nowego w sprawie śmierci mojej ciotki?

– Pracujemy nad tym, panno Hyde. – Inspektor Langley skrzyżował ramiona.

Przełknęłam ślinę.

– Rozumiem. Może to będzie w stanie wam pomóc. – Wolno sięgnęłam do jedwabnej sakiewki i drżącą dłonią wyciągnęłam przed siebie czystą kopertę. Sierżant Thornton przyjął ją i przekazał inspektorowi. Obaj przez chwilę przyglądali się zawartości anonimowego listu, którego treść ułożono z wyciętych liter.

„UWAŻAJ. PRAWDA MUSI WYJŚĆ NA JAW. A.”

– To pani otrzymała ten anonim?

– Owszem. Dwa dni temu, w wieczór pogrzebu mojej ciotki. Leżał na biurku w moim pokoju.

– Czy wie pani, kto mógł go tam zostawić?

– Nie mam pojęcia. – Lekko wzruszyłam ramionami. – Tamtego wieczoru drzwi do pokoju były otwarte. Okno również pozostawało uchylone, lecz pokój znajduje się na pierwszym piętrze i nie wiem, czy ktoś ryzykowałby wspinaczkę.

– Dla włamywacza to żadna trudność – skwitował inspektor Langley. Zmarszczył brwi. – Czy przypuszcza pani, panno Hyde, kto może być tym tajemniczym „A.”? Czy zna pani osoby o imieniu lub nazwisku zaczynającym się na tę literę?

Wymieniłam Artura, Rosalind i Annę.

– Czyli autorem listu mogła być każda z osób, które zamieszkują w posiadłości?

– Oprócz ogrodnika, pana Smitha – wyjaśniłam. – Ale nie sądzę, żeby to było któreś z nich. Śmiem przypuszczać, że autor użył liter wyciętych z gazety, gdyż albo bardzo słabo pisze, albo nie chciał zdradzić swojego charakteru pisma – powtórzyłam wniosek, do którego doszedł Gabriel Ackroyd. Choć z powodu swojej tajemnicy Gabriel nie mógł pójść na policję, to ja czułam, że powinnam przemawiać również w jego imieniu.

Zauważyłam, że sierżant Thornton spojrział na mnie z uznaniem. Natomiast w inspektorze wzbudziłam chyba nieufność.

– Może ma pani rację. – Wydał usta. – Może anonimowy autor listu pragnął ukryć fakt, że jego pismo jest łądząco podobne do jednego z tych, które pojawiły się na kartkach w trakcie państwa seansu z duchami. Nazywaliście to państwo „pismem automatycznym”, prawda?

Drgnęłam. Zrobiło mi się zimno. Przed oczami stanął mi okrągły stół ze świecą i pani Flora kreśląca przy nim kolejne wyrazy niczym w transie, zapełniająca białe połacie stron rzędami liter.

– Tak – odpowiedziałam na pytanie. – Tak wyraziła się pani Flora

Jones. Pismo automatyczne miało być jednym z narzędzi kontaktu z duchami.

Inspektor Langley zmrużył wodniste oczy.

– I zdecydowaliście się państwo na owo „narzędzie”, ponieważ duchy...

– ...ponieważ duchy ostrzegły nas przed groźącym niebezpieczeństwem – szepnęłam. – Wszyscy chcieli sprawdzić, o co chodzi. Czego dokładnie mamy się obawiać.

– Chyba jednak ostrzeżenie nadeszło za późno. Za późno dla pani ciotki, prawda?

Zmroziło mnie w środku.

– Czy pan coś sugeruje, inspektorze?

– Próbuję jedynie skłonić panią do przemyśleń, panno Hyde. Żeby ułatwić naszą rozmowę. Żeby umożliwić pani konfrontację z prawdą.

– Niepotrzebnie. – Lekko zacisnęłam drżące usta. Poczułam ogarniające mnie wzburzenie. – Proszę mi wierzyć, że przemyśleń mam ostatnio aż nadto. Nie musi mnie pan też skłaniać do zwierzeń. To ja przyszedłam tutaj do pana, inspektorze. Właśnie dlatego, że chcę powiedzieć o tym, co zataiłam.

Ciasno splotłam dłonie na kolanach, zatapiając je w fałdach czarnej sukni. Wolno, własnymi słowami opowiedziałam o skradzionym naszyjniku. O tym, że miał znajdować się w torebce Flory Jones, by posłużyć w czasie seansu za wahadełko. O tym, że była to rodzinna pamiątka, prezent wuja dla ciotki kupiony w Indiach. A także o tym, że zawierał olbrzymi brylant.

Odetchnęłam głęboko. Napięte nerwy szarpały jakąś strunę w moim gardle. Sierżant Thornton podał mi szklankę wody. Przyjęłam ją z prawdziwą wdzięcznością i upiłam kilka sporych łyków. Od razu poczułam się lepiej.

Wyjaśniłam cicho, dlaczego wcześniej nie wspomniałam

o naszyjniku. Choć teraz moje powody wydały mi się tysiąc razy bardziej błahe niż wcześniej. Przede wszystkim kierował mną strach.

– Sądziłam, że morderca chce, żebym milczała. Że to dlatego ciocia została uduszona – zakończyłam i wbiłam wzrok w podłogę. – A także, jak już wspomniałam, bałam się... bałam się, że ponieważ nikt oprócz mnie nie wiedział nic o tym naszyjniku, zostanę uznana za oszustkę. Że wszystko, co powiem, będzie wyglądać... podejrzenie.

W gabinecie zaległo milczenie.

– Cóż. – Inspektor Langley odchrząknął. – Tak właśnie to wygląda, panno Hyde. I obawiam się, że dopóki nie ujmemy mordercy, nic, co pani powie, tego nie zmieni. Do tego czasu policja musi podejrzewać wszystkich... A pani zachowanie wzbudza szczególną czujność. Prawda, sierżancie?

– Słucham? – Zamrugałam. Moje serce uderzyło szybciej. Pewnie nie powinnam się tym przejmować, ale... – Chce pan powiedzieć, że jestem podejrzana?! Podejrzana o zabicie ciotki Hortense?!

Moje dłonie lekko się zacisnęły. Mój wzrok krążył przez chwilę między poważną, zatroskaną twarzą sierżanta Thorntona a podobną do kamiennej maski twarzą inspektora. Oczy tego ostatniego zwężyły się, zaś cała jego sylwetka pochyliła się na krześle lekko do przodu. Z praktycznie wyłysiałą czaszką i tymi chłodnymi oczami przypominał mi teraz przyczajonego, niebezpiecznego gada. Złożył swoje duże, silne dłonie w piramidkę.

– Panno Hyde, to chyba oczywiste.

– Nie dla mnie.

– Naprawdę? No więc proszę się zastanowić. I spróbować się postawić na miejscu policji. Gotowa?

Nie podobał mi się jego protekcyjny ton, lecz nie potrafiłam się przed nim obronić.

Zwężone oczy inspektora błysnęły zza biurka.

– Czy to nie dziwne, że lady Hortense Lancey zginęła nazajutrz po pani przyjeździe do Wzgórza Mgieł? Nie odwiedzała pani swojej ciotki przez dobrych kilka lat. Nagle pani przyjeżdża z Londynu... a następnej nocy pani gościnna ciotka traci życie w wyjątkowo dziwnych okolicznościach. Niesamowity zbieg okoliczności, prawda, panno Hyde?

Zmarszczyłam brwi. Czułam, że moje policzki płoną.

– W dodatku miała pani niezbity motyw do... nie chcę być niedelikatny, ale nie lubię przebierać w słowach: do popełnienia tej zbrodni. Wieść niesie, że zgodnie z ostatnią wolą zmarłej została pani jej jedyną spadkobierczynią. Po śmierci ciotki wzbogaciła się pani w spektakularny wręcz sposób. Czy może pani zaprzeczyć?

– Nie... – szepnęłam na wydechu. Gardło miałam jak zasznurowane. Dosłownie odebrało mi mowę, a w mojej piersi kotłowały się gwałtownie okropne uczucia. Logika inspektora była nieubłagana – na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak, jak mówił. Ale to były tylko pozory! Pozory, które świadczyły przeciwko mnie!

Odetchnęłam głęboko i przełknęłam ślinę.

– Nie sądzi pan, inspektorze, że to wszystko wydaje się zbyt oczywiste? Tak oczywiste, że nie może być prawdą... – rzekłam cicho.

– Zbyt oczywiste? Zbyt logiczne? – Inspektor Langley z pozorowaną kurtuazją sączył swój jad. – Czyżby wolała pani wersję zdarzeń, w której biorą udział niejednoznaczne sytuacje, duchy, medium i zabójca z zaświatów? Czy sądzi pani, że rolą policji jest badanie zjawisk paranormalnych?

– Nic takiego nie sugeruję – powiedziałam, siląc się na spokój. Zacisnęłam usta, wyprostowałam się i uniosłam podbródek. – Ale od policji oczekiwałabym bardziej pogłębionej analizy zdarzeń – stwierdziłam z naciskiem.



Zimne oczy Langleya znowu błysnęły, a moje dłonie zacisnęły się nerwowo. Czy na to czekał? Czy wpadłam w słowną pułapkę, w przedziwne sidła, które na mnie zastawił? Nie wiedziałam, że tak było w istocie...

– Więc pragnie pani pogłębionej analizy? – Wyciągnął z szuflady biurka jakąś kartkę. – Musi pani wiedzieć, że skontaktowaliśmy się ze Scotland Yardem. Lady Lancey była jedną z najznamienitszych obywaterek tych stron... Cóż. – Inspektor znów spojrzął na mnie. – Oto, czego się dowiedzieliśmy. W pani przypadku, panno Hyde, pieniądze ciotki mogą być podwójnym motywem.

– Nie rozumiem. – Poruszyłam się na krześle. Do czego on zmierzał?

– Policja w Londynie zebrała na naszą prośbę liczne informacje na pani temat. – Inspektor mówił teraz głośno i wyraźnie, z emfazą artykułując każde słowo. – Dwa miesiące temu porzucił panią narzeczoney, obiecujący młody lekarz, Edmund Desmond. To musiał być szok dla młodej damy z pani pozycją. A także spory towarzyski skandal... – Zawirowało mi w głowie. Czułam, że raz blednę, a raz płonę nieznośnym rumieńcem. Miałam ochotę zerwać się z krzesła i chyba tylko nagła słabość zatrzymała mnie na miejscu. Wraz z każdym słowem, które parzyło jak policzek, spadały na mnie świeże, bolesne wspomnienia. Czułam, jakby ktoś odzierał moją duszę z blizn i strupów, które dopiero co zdołały okrzepnąć. – Motywem porzucenia pani przez pana Desmonda, który, nawiasem mówiąc, tydzień później oświadczył się jednej z pani przyjaciółek, był niewielki posag... a właściwie jego brak. Plotki krążące w pewnych kręgach w Londynie mówią, że pani ojciec źle ulokował kwotę, która miała stanowić lwią część pani posagu. Wszystko stracił... To znaczy pieniądze. A pani straciła niewiernego narzeczonego. Mężczyznę. Nadzieję. I plany.

Inspektor otarł wąsy, na które, podczas jego przemowy, chlapnęły

kropelki śliny. Ja natomiast skuliłam się niczym ślimak, przygotowując się na nowe uderzenie chłostającej mnie nawałnicy. Nie... nie mogłam poddać się bez walki.

– Nie sądziłam, że policja opiera swoją pracę na krążących po Londynie plotkach! – syknęłam, piorunując wzrokiem inspektora. Niestety nie okazał, by moje słowa zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie.

– Więc nie ma pani pojęcia o pracy policji – rzekł chłodno i zdecydowanie. – Jako osoba prowadząca to śledztwo jestem gotów wykorzystać każdą wskazówkę i każdą poszlakę, żeby odkryć prawdę. Każda informacja jest cenna. A plotka, w przeciwieństwie do pani zeznań, może coś wyolbrzymiać, ale nic nie ukrywa... Tak jak młoda panienska z Londynu, która zataiła fakty kluczowe dla sprawy!

– Kluczowe? – Zamarłam.

– Oczywiście! – wybuchnął inspektor. – Proszę myśleć logicznie! Czy nie sądzi pani, że naszyjnik z brylantem mógł być główną przyczyną, dla której zginęły Flora Jones i Hortense Lancey?! Morderca działał w ten sposób, że gdyby nie wyznanie pani ciotki, nikt przez długi czas nie dowiedziałby się o kradzieży!

Serce waliło mi jak oszalałe.

– Inspektorze, proszę nie podnosić głosu – odezwał się cicho sierżant Thornton. Przełożony spiorunował go szybkim spojrzeniem rozgniewanego bazyliuszka, ale odsapnął i wrócił do swojego zimnego, urzędowego tonu.

– Teraz jest pani bardziej podejrzana niż kiedykolwiek, panno Hyde – stwierdził dobitnie. – Wygląda na to, że nie tylko zataiła pani ważne informacje, ale jedynie pani wie coś o rzekomej kradzieży naszyjnika. Ponadto miała pani świetny motyw: pieniądze. Pieniądze, których zdobycie mogło oznaczać dla pani nie tylko bogactwo, lecz przede wszystkim odzyskanie narzeczonego.

Zamknięcie ust złośliwym „przyjaciółkom” z londyńskiej socjety i uleczenie złamanego serca. A o ile wiem, dla kobiety są to sprawy, dla których jest w stanie poświęcić praktycznie wszystko... Czy może mi pani opowiedzieć, ile znaczył dla pani Edmund Desmond?

Tego było już za wiele.

– Proszę wybaczyć, ale nic pan nie wie o kobietach, inspektorze – szepnęłam ostro i podniosłam się z krzesła. – A jeśli troszczy się pan o moje złamane serce, to muszę panu powiedzieć, że zostało ono niedawno uleczone. Widzę natomiast, że dla pana już sama moja płęć czyni ze mnie jednostkę słabą i kłamliwą.

Inspektor również wstał. Rudowłosy pan Thornton już wcześniej poderwał się z krzesła.

– Nie zamierzałem pani urazić. – Inspektor skłonił się lekko.

– To nieważne. – Pokręciłam głową. – Skoro jestem podejrzana i skoro mi pan nie ufa, czy to znaczy, że mnie panowie aresztują? – spytałam bardziej wyzywająco, niż zamierzałam.

Inspektor skrzyżował ramiona. Nicował mnie swoimi zimnymi oczami, ale ja nie spuściłam wzroku.

– Nie zrobię tego przez szacunek dla pani nieżyjącej ciotki, panno Hyde. Na razie ciągle jeszcze brakuje nam dowodów. A jeśli chodzi o kwestię zaufania, sama jest pani sobie winna. Policja ufa pani jednak na tyle, by prosić, żeby do odwołania nie opuszczała pani Wzgórza Mgieł. Liczymy na to, że się pani zastosuje do tej prośby. Pani powrót do Londynu nie jest w tej chwili możliwy.

– Nie zamierzałam wyjeżdżać.

– To dobrze.

W gabinecie zapadła ciężka, zawieszista cisza.

– Czy to wszystko? – spytałam, przełamując ją niczym tafelę lodu.

– Owszem.

– Zatem do widzenia.

– Do widzenia, panno Hyde. Dziękujemy za nowe informacje.

Sierżant Thornton otworzył mi drzwi i odprowadził aż do wyjścia. Jego towarzystwo i współczująca mina mnie peszyły.

Czułam się przy nim w tej chwili jak zdemaskowana oszustka – ale nie dlatego, że nie powiedziałam wcześniej o naszyjniku.

Czułam się jak oszustka dlatego, że policja dowiedziała się o Edmundzie – o tym, że mnie porzucił dla mojej przyjaciółki, że odwołał nasz ślub, gdy okazałam się panną bez posagu... Udawałam, że wszystko jest w porządku, pokazywałam ludziom wokół uśmiechniętą twarz – lecz ta okropna historia z mojej niedawnej przeszłości została wytropiona i odkryta. I znów skłamałam – że moje serce jest uleczone – jakbym nie mogła przyznać się do duchowej porażki. Do tego, że jestem porzucona. Niechciana. Ośmieszona. Rozczarowana. I bardzo samotna.

A może jednak wcale nie skłamałam? Może potrafiłam znowu kochać?

Na myśl o Gabrielu Ackroydzie mój świat znowu nabierał kolorów.

Kiedy Artur machnął lejcami i powóz ruszył w stronę Wzgórza Mgieł, poczułam, że pod powiekami mam łzy.

## 24. ŁZY ANNY

Kiedy powóz zbliżał się do posiadłości, nad wrzosowiskami z wolna zapadał już zmrok. Czerwonawe łuny zapalały się nad krawędziami poszarpanych skalnych klifów, u których stóp rozpościerał się spowity w złoto i purpurę ocean. Nad ziemią snuły się sine smużki wieczornej mgły. Wyglądałam z okna powozu, żeby podziwiać ów urzekający, zastygły w ciszy krajobraz. Przez niebo przefrunęła ogromna gromada szpaków, dążących niewątpliwie w jakieś znane im miejsce na wspólny spoczynek. Nagle pod starym drzewem obok bramy z kutego żelaza, przez którą przejechaliśmy, ujrzałam uwiązanego konia oraz znajomą sylwetkę mężczyzny w ciemnym płaszczu.

Czyżby Gabriel Ackroyd na mnie czekał?!

Po sekundzie wahania zastukałam w dach powozu rączką parasolki i poprosiłam Artura, żeby wstrzymał konie. Zdziwiłam się nieco, że Artur nie zeskoczył z kozła, by jak zwykle pomóc mi wysiąść, ale nie był to dla mnie żaden problem. Zawołałam do niego, że przejdę się na wieczorny spacer i by Rosalind nie czekała na mnie z kolacją. W odpowiedzi woźnica tylko skinął głową. Naciągnął głębiej kapelusz i machnął lejcami, pozostawiając mnie samą na brzegu szerokiej parkowej alei.

Zrobiło mi się przykro, że Artur jest względem mnie aż tak małomówny. Gdzie się podziała nasza dawna zażyłość? Co się stało z tamtą przyjaźnią chłopca i dziewczynki, którzy biegali razem po tych wrzosowiskach, urządzali wyścigi i wspólnie karmili konie

kostkami cukru?

Powóz odjechał – minął mnie tak samo jak przeszłość, tak jak nieodnalezione odpowiedzi...

Odwrociłam się w kierunku stojącego pod drzewem Gabriela. Na tle szkarłatnych łun zachodu jego sylwetka odcinała się jak w teatrze cieni. Patrzyłam pod światło i musiałam zmrużyć oczy. Z nieznaną wcześniej niecierpliwością wsłuchiwałam się w zbliżające się kroki. Żwir chrzęścił chłodno niczym uderzające o siebie bryłki kruszonego lodu.

Gabriel stanął naprzeciw mnie – ujął moją dłoń i złożył na niej delikatny, przeciągły pocałunek. Odkryłam, że nie chcę, żeby puszczał moją rękę.

– Madeline...

– Czekalesz na mnie?

– Od zawsze. – Uśmiechnął się w taki sposób, że na wskroś przeszło mnie ciepło. Pod wpływem impulsu przylgnęłam do jego ciała jak przyciągnięta niewidzialną siłą. Objął mnie i ciasno otulił ramionami. Czułam opuszki jego palców, które muskały pukle mych włosów niczym psotny wietrzyk. Trwaliśmy tak wtuleni w siebie przez długą chwilę. W jego ramionach spływał na mnie spokój, straszne myśli uciekały z mojej głowy. Znów byłam w stanie głęboko, bez wysiłku oddychać.

Z rozkoszą zaczerpnęłam rześkiego, wieczornego powietrza, jak gdyby ktoś zdjął z mojej piersi niewidzialny ciężar.

– Przespacerujemy się? – mruknął Gabriel tuż nad moim uchem i trącił ustami jego płatek.

– Z przyjemnością. – Jakimś cudem opanowałam drżenie głosu, które wywołał tą niewinną pieszczotą. Ujęłam mężczyznę pod ramię, które mi podał.

– Byłam na policji – odezwałam się po chwili.

– Żeby pokazać policjantom anonim?

– Tak. I żeby powiedzieć im o czymś, czym chcę podzielić się również z tobą. Wiem, że potrafisz dochować tajemnicy.

Skinął głową.

– Będę milczał na wieki. Nie zdradzę twoich sekretów. Nigdy, Madeline.

– Wiem. – Lekko ścisnęłam jego rękę. – Czuję, że mogę ci ufać.

To była prawda. Czułam, że jeśli chodzi o pragnienie odkrycia prawdy na temat śmierci ciotki Hortense, Gabriel jest moim największym sojusznikiem. Wierzyłam, że człowiek, który posiada własną, mroczną tajemnicę i który niedawno opłakał brata, nie będzie mnie osądzał za to, że skłamałam policji w sprawie brylantowego naszyjnika. Miałam też inny powód, by zaufać Gabrielowi: już raz to zrobiłam. Choć nie do końca w zgodzie z własną, świadomą wolą – zawierzyłam mu przecież moją reputację.

Wszak tamtej okropnej nocy, kiedy umarły pani Flora i ciocia Hortense, połączył nas wspólny sekret: tajemnica dotycząca tego, co wydarzyło się między nami w oranżerii.

Opowiedziałam mu o wszystkim.

– Policja podejrzewa mnie o zabicie Hortense – szepnęłam z goryczą.

Gabriel lekko uściśnął mą dłoń.

– To było do przewidzenia, Madeline. Nie martw się. Wiem, że nie mogłabyś tego zrobić. Policja też to w końcu zrozumie.

Niezachwiana pewność w jego głosie pokrzepiła mnie, lecz jednocześnie rozbudziła nutkę zdziwienia. Czy naprawdę aż tak we mnie wierzył? Czy naprawdę tak bardzo mi ufał?

– Sądzisz, że znasz mnie aż tak dobrze? Przecież każdy z nas ma swoją ciemną stronę, prawda? – spytałam przekornie, spoglądając mu prosto w oczy.

Zatrzymał się i musnął kciukiem kącik moich ust. Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

– Znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że jesteś wrażliwa. Pełna empatii. Patrzysz głębiej i widzisz więcej niż wszyscy ludzie, których znam. I więcej odczuwasz – rzekł cicho.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. – Uśmiechnął się lekko. Oczy lśniły mu w półmroku. – W chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, tamtego dnia, gdy przyjechałaś do Torquay... Poczułem wyraźnie, że jest dla mnie jeszcze nadzieja. – Delikatnie gładził dłonią mój policzek. Z rozkoszą poddawałam się tej niewinnej pieszczocie, nie zważając na to, że z każdą sekundą pragnę więcej.

– Nadzieja? – Było coś przejmującego w jego słowach.

Potrząsnął głową.

– Po tym, co spotkało niedawno moją rodzinę... czułem się jak martwy. Jakbym zamienił się w kamień. Były we mnie tylko wściekłość i rozpacz. Ty poruszyłaś we mnie ostatnią żywą strunę. Przyciągnęłaś mnie do siebie. Tak jak dziś przyciągnął mnie ten dom... – Gabriel wskazał ruchem głowy na majestatyczny, wiktoriański budynek górujący nad okolicą. Krwawy blask zachodzącego słońca zastygł na szybach najwyżej położonych okien.

– Dziś rano widziałam się z prawnikiem ciotki. Wzgórze Mgieł należy teraz do mnie – rzekłam cicho.

– To również było do przewidzenia.

Był oszczędny w słowach, a ja w tej chwili byłam mu za to wdzięczna. Odetchnęłam głębiej. Ruszyliśmy wolno w stronę domostwa. Wpatrywałam się w ścieżkę, która we mgle przypominała ciemniejący strumień płynący pod naszymi stopami. Zdawało mi się, że to my stoimy w miejscu, a ścieżka umyka w dal w rytmie naszych zrównanych ze sobą kroków.



– Clark uważa, że powinnam sprzedać tę posiadłość.

– Przez to, co się tutaj wydarzyło?

– Tak.

– Nie mów tylko, że naprawdę się nad tym zastanawiasz... Przecież widać, że kochasz ten dom.

– Naprawdę?

Twierdził, że widzę więcej niż inni, lecz dla mnie to on zdawał się dostrzegać wszystko. Czytał we mnie jak w otwartej książce. Może to dlatego odrobinę się go bałam?

– Jestem przywiązana do tego miejsca – przyznałam cicho. – Ten dom przywołuje wiele dobrych wspomnień. Od dzieciństwa był moją ostoją. Byli nią wuj Roger i ciocia Hortense... Czuję, że gdybym go sprzedała, byłoby to, jakbym pozbawiła się korzeni.

– Więc nie rób tego. W zamian wyjaśnij trapiącą cię zagadkę i wygnaj z tego domu mroczne tajemnice.

Spojrzałam mu prosto w oczy. Nad nami zapadała granatowa, letnia noc.

– Cały czas mówisz tak, jak gdybym naprawdę mogła to zrobić.

– Ponieważ wierzę, że tak jest, Madeline – rzekł z powagą. – Powiedziałem ci: widzisz więcej niż inni. Wiem, że ty możesz dostrzec prawdę.

Pomyślałam o dziwnych zdarzeniach mających miejsce w noc śmierci ciotki Hortense, o bolącej wciąż zdradzie Edmunda, o zawiedzionych nadziejach na przyszłość...

Potrząsnęłam głową.

– Przestaję rozumieć, co znaczy to słowo, Gabrielu...

– Więc pokażę ci. Spójrz na mnie. – Delikatnie sięgnął po mój podbródek. – To jest prawda.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

\* \*

Gdy weszłam do domu, zegar z kurantem zaczął wybijać północ. Gabriel odprowadził mnie pod główne drzwi domostwa, lecz potem długo jeszcze staliśmy na ganku, na który zaglądało usiane gwiazdami niebo. Teraz, kiedy na paluszkach przemykałam przez hol, miałam wrażenie, jakby wyrosły mi skrzydła, dzięki którym sunęłam kilka cali nad podłogą. W ciemności uśmiechałam się do siebie z rozmarzeniem.

Cicho weszłam do salonu. W bliźniaczych kandelabrach na rzeźbionej komodzie płonęły świece. Sięgnęłam po jedną z nich, żeby oświetlić sobie drogę do sypialni – mimo że bardzo wątpiłam, czy dzisiaj zasnę. W wiszącym nad komodą zwierciadle ujrzałam swoją lekko zarumienioną twarz w otoczeniu bladozłotych płomyków. Zdumiałam się tym, na jak bardzo szczęśliwą wyglądam w tej chwili...

Nagle z ciemności dobiegł mnie cichutki płacz.

Znieruchomiałam w ułamku sekundy.

Płacz dał się słyszeć znowu. Przypominał świszczące jęki odległego przeciągu, jednak uchwyciłam w nich jakąś urwaną, ludzką nutę.

Pomyślałam o krążących po domu duchach i ogarnęło mnie uczucie grozy. Obserwowałam w lustrze, jak na moim czole błyska kropelka zimnego potu.

*Opanuj się, Madeline* – rzekłam do siebie w myślach. Strach zaczął się z wolna rozwiewać. Musiałam sprawdzić, kto samotnie łka nocą i czy nie potrzebuje mojej pomocy. To rozmowa z Gabrielem dodała mi ku temu odwagi. Jego wiara we mnie, jego dzisiejsze opowieści, jego pocałunki i dotyk jego dłoni były tak świeże, że przeżywałam je nadal i mogłam czerpać z nich siłę...

Ze świecą w ręce przeszłam na palcach na drugi koniec salonu,

a stamtąd przez uchylone drzwi do pokoju herbacianego. Pomieszczenie tonęło w mroku, ale dojrzałam w głębi smugę złotego światła. Wysokie drzwi prowadzące do głównej jadalni, na co dzień nieużywanej, były niedomknięte. To właśnie stamtąd, przez wąską szparę przy framudze, sączyło się światło, a razem z nim cichutki płacz i jakieś szmery. Miałam wrażenie, że to szlocha przez sen przestraszone koszmarami dziecko.

Nabrałam w płuca haust powietrza i zbliżyłam się do drzwi. Moja dłoń kurczowo zacisnęła się na świecy, kiedy wolno przysunęłam oko do dziurki od klucza...

W ciemności ujrzałam ogień płonący w kominku, z którego buchał blady dym. Skulona postać kucała przed paleniskiem i pochlipując cicho, dłubała w nim pogrzebaczem.

Pchnęłam uchylone drzwi. W nocnej ciszy ich skrzypnięcie zabrzmiało niczym przeciągły jęk protestu...

Postać przed kominkiem zerwała się na równe nogi, ściskając w obu dłoniach ciężki pogrzebacz.

– Anna?! – Uniosłam świecę, żeby i ona mogła zobaczyć moją twarz.

– Panna Madeline! – Młodziutka pokojówka lekko otworzyła usta. Jej wystraszona, okrągła twarzyczka była zalana łzami.

– Bogu dzięki! – Przyłożyła jedną dłoń do twarzy. – Tak się przestraszyłam, że to on...

Jej słowa zmieniły się w szloch. Rękawem rozmazała łzy po twarzy.

Wyjęłam jej z ręki pogrzebacz i mocno ją przytuliłam. Metalowy pręt ze szczękiem osunął się na podłogę. Anna płakała przez chwilę, po czym zrobiła krok do tyłu. Posadziłam ją w fotelu przed kominkiem i chustką zaczęłam ocierać jej łzy, od których miała mokrą nawet szyję. Kiedy uznałam, że się uspokoiła, spytałam

z powagą:

– Anno, kogo miałaś na myśli?

Spojrzała na mnie, jak gdyby słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

– Anno, proszę, nie bój się. Powiedz mi, o kogo ci chodziło.

– O mordercę...

Zmroziło mnie, ale się opanowałam.

– Już dobrze, nie musisz się bać. Nie ma tu żadnego mordercy...

– Ale... pani o niczym nie wie!

Zmarszczyłam brwi.

– Co masz na myśli?

W milczeniu uporczywie wpatrywała się w ogień. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem. Z kominka buchał dziwny szary dym. Między bierwionami dostrzegłam nadpalone, osmalone strzępy jakiegoś materiału...

– Anno. – Dotknęłam jej ramienia. – Czy próbowałaś spalić coś w kominku?

Pokojówka głośno przełknęła ślinę. Wbiła we mnie błagalne spojrzenie.

– To koszula Artura, proszę pani.

## 25. OGIEŃ I WODA

Machinalnie przysunęłam sobie krzesło. Musiałam usiąść, by nie upaść.

– Koszula Artura? – powtórzyłam, jak gdybym nie zrozumiała słów dziewczyny.

Anna skinęła głową. Patrzyła na mnie zognionymi oczami, zaczerwienionymi od płaczu. Poczułam dreszcz, który przebiegł po moim kręgosłupie niczym ohydny pająk.

– Co ta koszula robi w kominku? – wykrztusiłam.

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, pod wpływem impulsu zerwałam się z krzesła, na którym dopiero co usiadłam. Złapałam za leżący na podłodze pogrzebacz i zaczęłam wydobywać z popiołu niestrawione jeszcze przez ogień resztki materiału. Z paleniska sypały się iskry, gryzący szary dym buchnął mi w twarz... Zakrztusiłam się nim, ale nie puściłam pogrzebacza.

– Co pani robi?! – zawołała płaczliwie Anna i zeskoczyła z fotela. Spróbowała chwycić mnie za ramię, żeby mnie powstrzymać, lecz po sekundzie się odsunęła.

– Jeśli policja znajdzie tę koszulę... – Pokojówka urwała i zaniósła się szlochem, zakrywając twarz dłońmi.

– Dość już kłamstw i sekretów! – zawołałam, pokasłując dymem, który teraz w dodatku wyciskał mi łzy z oczu. – Jeżeli Artur ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią ciotki Hortense, to chcę, żeby za to odpowiedział!

Iskry z kominka tańczyły szaleńczo w ciemności wokół mnie, zaś

Anna płakała nieprzerwanie. Byłam tak podenerwowana i tak przejęta tym, co robię, że przez dłuższą chwilę nie zwracałam na nią uwagi. Przed moimi załzawionymi oczami wirowały pomarańczowe płomienie, iskry i okruchy żaru. Dopiero kiedy marne resztki spalonej koszuli z cienkiego sukna znalazły się poza zasięgiem ognia, pogrzebacz wysunął się ze szczękiem z mej dłoni. Przytuliłam młodziutką pokojówkę. W ustach miałam słony, metaliczny smak potu, popiołu i łez.

Anna wyswobodziła się z moich ramion. Zobaczyłam, że moja dłoń, którą otarłam jej wilgoć z policzka, zostawiła czarny ślad sadzy na buzi dziewczyny. Roześmiałam się odrobinę histerycznie i odwróciłam ją delikatnie w kierunku lustra.

– Wyglądasz jak Kopciuszek. Znasz tę bajkę?

Na jej bladej twarzy również zakwitł słaby uśmiech, ale tylko na chwilę. Odwróciła się ku mnie spłoszona. W półmroku spojrzała mi w oczy i złożyła blade dłonie jak do modlitwy.

– Panno Madeline, nie chcę, żeby coś złego spotkało Artura!

Zmarszczyłam brwi.

– Dlatego spaliłaś jego koszulę? Żeby go chronić? – wyszeptałam.

Przełknęła ślinę i spuściła wzrok.

– Tak.

– Sądzisz, że Artur mógł zrobić coś złego?

Milczała, a we mnie z każdą upływającą sekundą ciszy wzrastały najgorsze przeczucia. Spróbowałam uderzyć w surowy ton.

– Anno. – Uniosłam dłonią jej podbródek i znów zajrzałam w jej załzawione oczy. – Wzgórze Mgieł należy teraz do mnie – oświadczyłam. – Jestem panią tej posiadłości. Jeśli chcesz tutaj nadal pracować, musisz koniecznie powiedzieć mi o wszystkim. O wszystkim, co wiesz, czy to dla ciebie jasne?

Chlipnęła cicho i prędko wysmarkała zaczerwieniony nos

w chusteczkę.

– Tak, panienko.

– Usiądźmy zatem.

Przysunęłam nam dwa krzesła ku plamie światła padającej z paleniska. Chciałam dokładnie widzieć twarz młodej dziewczyny. Było mi jej naprawdę żal. Miałam przeczucie, że Anna skrycie podkochiwała się w Arturze...

– A teraz powiedz mi, skąd masz tę koszulę.

Zaczęła mówić. Na początku odrobinę nieskładnie, ale jej nie pospieszałam. Jej opowieść stawała się spójna i logiczna, przerywały ją już tylko pojedyncze chlipnięcia. Dzisiejszego wieczoru, kiedy nie pojawiłam się w domu, Rosalind wysłała Annę do domku ogrodnika, żeby spytać o mnie Artura. Przy okazji Anna miała zanieść mu kolację. Od paru tygodni mężczyzna zachowywał się inaczej niż zwykle. Był zamknięty w sobie, małomówny, chwilami wręcz opryskliwy. I stronił od ludzi. Nie przychodził na posiłki, które do tej pory służba jadła wspólnie. Nie powiedział też Rosalind, wbrew mojemu poleceniu, że wybrałam się na wieczorny spacer... Anna popędziła więc do domku ogrodnika. Zapadał zmrok, za budynkiem usłyszała jakiś hałas. Zastała Artura przy studni – prał coś w lodowatej wodzie, którą napełnił poidło dla koni. Jego tors był nagi. Mimo zmroku Anna zobaczyła na nim kilka zadrapań oraz ciemny siniak. Artur był odwrócony do niej plecami i jej nie widział. Chciała go zaskoczyć i zakradła się bliżej. Wówczas zobaczyła, że woda w poidle dla koni jest różowa. Artur prał swoją koszulę. Znajdowały się na niej liczne, doskonale widoczne plamy zakrzepłej krwi...

Na ten widok Annie wyrwał się okrzyk przestrawu. Artur odwrócił się i zaczął na nią krzyczeć. Postąpiła parę kroków w tył. Bała się, że mężczyzna zrobi jej krzywdę. Przeklinał i wymachiwał rękami.

Przerażona dziewczyna przysięgła natychmiast, że nikomu nie powie o koszuli i zaproponowała, że sama mu ją wypierze. Artur ostatecznie zgodził się na jej propozycję pod warunkiem, że to na zawsze zostanie między nimi.

Anna uciekła stamtąd z mokrym zawiniątkiem w dłoni, nie oglądając się za siebie. Natychmiast postanowiła, że spali koszulę jeszcze tej samej nocy. Ślady zakrzepłej krwi na materiale za nic nie chciały się doprać... Zresztą za bardzo się bała, że nawet wyprana koszula stanie się dowodem...

– Dowodem na co? – szepnęłam, unosząc brwi, choć domyślałam się reszty.

Anna rozchyliła usta. Widziałam, że walczy sama ze sobą.

– Myślę, że on zrobił komuś krzywdę, panno Madeline – rzekła na wydechu po dłuższej chwili wahania. – To dlatego tak dziwnie się zachowuje... – dodała, ciasno splatając dłonie. Powoli skinęłam głową, zachęcając ją, by mówiła dalej.

– Jestem tego prawie pewna! Znam go, panienko... Wiem, że Artur ma coś na sumieniu! Podejrzywałam go od śmierci pani Hortense, ale teraz... Tak się boję, że on... – Podbródek zaczął jej dygotać. – Że jest mordercą! I że znowu kogoś zamordował!

\* \*

Ze świecą w dłoni odprowadziłam roztrzęsioną Annę do jej pokoju. Pomogłam jej się rozebrać i opatuliłam ją ciepłą kołdrą. Na stoliku przy jej łóżku zostawiłam zapaloną lampkę naftową – pomyślałam, że to doda jej otuchy. Zaczekałam, aż zacznie ogarniać ją senność.

– On mówił... ciągle mówił tylko o pani... – Usłyszałam jej na wpół przytomny szept. Wypowiedziała te słowa już z zamkniętymi oczami.

– Kto o mnie mówił? – spytałam szeptem, delikatnie odgarniając jej włosy z czoła.



– Artur...

Jej oddech się wyrównał. Zasnęła. Miałam nadzieję, że to znak, iż choćby do pewnego stopnia odzyskała spokój.

Dopiero kiedy dotarłam do mej sypialni i dokładnie zamknęłam za sobą drzwi, poczułam, że ja sama też się trzęsę. Staralam się udawać dzielną i opanowaną przy osobie, która wydawała mi się słabsza ode mnie, lecz teraz potrzeba wspierania zrozpaczonej dziewczyny zniknęła. Zakręciło mi się w głowie. Moje myśli i moją duszę wypełniał strach.

W ciemności miotałam się po ogromnym łóżku, niecierpliwie czekając nadejścia świtu. Chociaż nie spałam, pod moimi powiekami pojawiały się znikąd chaotyczne urywki różnych scen i obrazów zlewające się w jakiś szaleńczy i przerażający kołowrót. Roztrzaskane pianino, blada maska za oknem, zielony obłok wyrrywający się z ust Flory Jones, kamienne krzyże na zielonym jak obłok cementarzu, twarze policjantów zmieniające się w spienione pyski czarnych, narowistych koni... W pewnej chwili te szarpiące mą udręczoną świadomość obrazy pociągnęły moją duszę w krainę snów. Tuż nad ranem przyśnił mi się koszmar, który dobrze znałam, lecz który nie wracał do mnie w ostatnich dniach. Koszmar, który pojawił się pierwszy raz po wydarzeniach pewnego lata...

Znajduję się w ciemnym, wilgotnym miejscu. Od ścian wokół mnie zionie chłodem, który zdaje się przesywać moje ciało aż do kości. W oddali, pośród mroku, dostrzegam nikłe, nieregularne, wolno ciemniejące światło, lecz – nawet we śnie – wiem, że jest ono poza moim zasięgiem. Ta świadomość doprowadza mnie do rozpacz. Strach dodatkowo wyostrza mi zmysły. Słyszę szum, szmer, plusk i gulgotanie. Z ciemności napływa ku mnie woda, lecz ja mam wrażenie, że to czysta ciemność – gęsta, zimna, słona i zachłanna – wyciąga po mnie swoje lodowate macki. Moje ciało zaczynają

zalewać jej fale. Nie mam dokąd przed nimi umknąć, nie mogę się wydostać. Woda sięga mi do pasa, do ramion, do szyi... Muska usta oślizłymi, zimnymi pocałunkami. Mam wrażenie, że zaraz wysie ze mnie oddech... Czyjeś ręce chwytają mnie pod ramiona i z wielkim wysiłkiem próbują ciągnąć wyżej.

– Nie bój się, Madeline... – Słyszę we śnie, tak jak podczas tyłu innych strasznych nocy, znajomy, zdyszany, chłopięcy głos. – Nie pozwolę ci umrzeć... Musisz... wytrzymać... do rana...

Desperacko zaczerpnęłam powietrza i uniosłam głowę jak najwyżej. Otworzyłam oczy.

Siedziałam na łóżku w mojej sypialni we Wzgórzu Mgieł, ciężko dysząc. Zakasłałam cicho. Poczułam, że moje włosy cuchną dymem. Obok mnie, tuż przy łóżku stała Rosalind ze zmartwioną miną.

– Panienko... Już wszystko dobrze... – przemawiała łagodnie, ze smutnym, współczującym uśmiechem. Gładziła mnie po ramieniu. Przypomniałam sobie, że robiła tak kiedyś, gdy byłam jeszcze dzieckiem. W oczach stanęły mi łzy. Objęłam ją i przytuliłam się do niej. Trwałyśmy tak przez chwilę.

– Dziękuję, że przy mnie jesteś – szepnęłam wzruszona do starszej kobiety. – Nie tylko teraz, ale... także kiedyś.

Służąca szybko otarła kącik oka krańcem białego fartucha.

– Wszystko będzie dobrze, panienko – powiedziała, ale jej mina świadczyła o czymś innym. Była wyraźnie zmartwiona.

– Coś się stało? – spytałam, ściskając ją za rękę.

Potrząsnęła głową.

– Chodzi o Annę. Źle się czuje. Wciąż płacze. Nie wstała z łóżka.

W jednej chwili przypomniałam sobie wydarzenia minionej nocy.

– Ostatnio miała zmienne humory... Z początku myślałam, że w kimś się zadurzyła, ale teraz... – kontynuowała Rosalind. – Sama już nie wiem. Dziewczyna ma szesnaście lat... Boję się, czy nie

wpakowała się w coś niedobrego.

– Nie martw się. Czy pozwolisz, że ja z nią pomówię? Jestem od niej tylko kilka lat starsza. Myślę, że się dogadamy... Jestem pewna, że to nic poważnego.

Rosalind w milczeniu pokiwała głową. Poczułam, że coś przede mną ukrywa.

– Jest coś jeszcze? – spytałam, zaglądając jej w oczy. Poruszyły się w nich niespokojne ogniki.

– Są tu panowie z policji, panno Madeline – rzekła wolno, siląc się na spokój. – Zjawili się skoro świt. Chcą się z panią zobaczyć.

Moje serce drgnęło, a gardło na moment ścisnął strach. Odetchnęłam głęboko.

– Świetnie. Powiedz im, że zaraz zejdem...

– Ale...

– Będę na dole za maksymalnie dwa kwadransy. Nie martw się... Zaproponuj im kawę lub herbatę.

– Tak, panienko. – Służąca pociągnęła nosem i wyszła z pokoju.

Kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły, wyskoczyłam z łóżka i stanęłam przed lustrem. Miałam zmęczoną twarz, potargane włosy cuchnące dymem i zaczerwienioną dłoń, którą wczoraj oparzyłam sobie ogniem. Pomyślałam, siląc się na czarny humor, że wyglądam jak średniowieczna czarownica, która cudem uniknęła stosu...

Ale czy uniknę więzienia?!

Kiedy szykowałam się na spotkanie z detektywami, byłam pewna, że przyszedli mnie aresztować. Aż nazbyt dokładnie przypomiinałam sobie wszystkie szczegóły mojej rozmowy z inspektorem Langleyem. Chociaż nie darzyłam go sympatią, to w jednym nie mogłam odmówić mu słuszności: fakty rażąco świadczyły przeciwko mnie. Czy tego chciałam, czy nie, to ja najwięcej zyskałam na śmierci ciotki Hortense: odziedziczyłam jej majątek i Wzgórze Mgieł. Mój

odwołany ślub z Edmundem w oczach postronnych musiał tylko dodawać pikanterii całej sprawie. Moim zeznaniom brakowało spójności. Miałam czas, żeby zabić ciotkę – uczestnicy seansu byli zgodni, że po moim wyjściu do jej pokoju nie było mnie bardzo długo. Cóż z tego, że przebywałam wtedy z Gabrielem? Nie odważyłabym się zdradzić tego sekretu i wiedziałam, że on również tego nie zrobi... Na domiar złego zataiłam przed policją kwestię skradzionego naszyjnika i wyjawiałam ją dopiero wczoraj. Może sądzą teraz, że sobie to wymyśliłam? Że okłamałam ich, by zmylić trop?!

Musiałam stawić czoła rzeczywistości.

Kiedy schodziłam po dębowych schodach do salonu, serce miałam skurczone strachem i ciężkie jak bryła ołowiu. Mimo to podjęłam decyzję. Będę walczyć o swoje dobre imię. Byłam młoda i mimo strasznych przeżyć, które ostatnio stały się moim udziałem, nadal wierzyłam w sprawiedliwość. Ta wiara dodawała mi sił.

I odwagi w obliczu czekającego mnie aresztu...

## 26. PRZY ŻYWOPŁOCIE

W salonie dwaj policyjni detektywi na stojąco siorbali herbatę z pękatych porcelanowych filiżanek. Być może chcieli podkreślić, że są tu na służbie – w każdym razie nie zdecydowali się spocząć – ani na kanapie, ani na żadnym z foteli. Na mój widok niemal jednocześnie odstawili naczynia na stół. Stukot filiżanek o małe talerzyki jeszcze nigdy nie brzmiał dla mnie tak złowrogo.

– Panno Hyde. – Sierżant Thornton skłonił się głęboko i podał mi rękę. Inspektor Langley powitał mnie krótkim skinieniem głowy, która, pozbawiona kapelusza, połyskiwała w świetle poranka znaczącą łysiną. Dygnęłam, lecz żadne słowa nie przeszły mi przez ściśnięte gardło. Czekałam, aż policjanci po prostu postawią mnie przed oczywistą konsekwencją minionych zdarzeń, informując o aresztowaniu. Byli chyba jednak nieco zażenowani faktem, że mają zabrać mnie z domu na posterunek. Krępująca cisza przeciągała się z obu stron przez niemiłosiernie długą chwilę.

– Proszę mówić... – szepnęłam. Czekanie na to, co miało się zdarzyć, było torturą.

Inspektor Langley odchrząknął.

– Panno Hyde, jesteśmy tutaj w sprawie Artura Smitha.

– Artura?! – Zrobiłam wielkie oczy.

– Czyżby o niczym pani nie wiedziała? – W głosie inspektora zabrzmiało niedowierzenie.

– Ja... – Spróbowałam przełknąć ślinę, lecz nagła suchość w gardle była jak ostry piasek. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. W głowie

wirowały czarne myśli, a w ustach zabrakło mi słów. Lekko osunęłam się na fotel i potarłam czoło.

Czy Anna miała rację?!

Czy Artur jest mordercą?!

Cząstka mnie nie potrafiła w to uwierzyć.

– Nie wierzę, żeby Artur mógł zrobić komuś coś złego... Znam go od dziecka – wyjąkałam po chwili.

– A jednak – mruknął inspektor Langley. – Na szczęście Samuel Louis postanowił wycofać skargę złożoną na policji.

– Co takiego?!

Rudowłosy sierżant Thornton popatrzył z sympatią prosto w moje oczy.

– Nie wie pani, o czym mówimy, prawda?

– Nie mam pojęcia!

– Proszę nam zatem darować to zamieszanie... Wyjaśnię od początku. Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy zgłoszenie dotyczące napaści i pobicia dokonanych przez pani stajennego, Artura Smitha...

Miałam ochotę powiedzieć, że Artur jest w tym domu kimś więcej niż tylko stajennym i że jego ojciec służył u mojej ciotki przez długie lata, ale byłam zbyt zdumiona i zbyt mocno pragnęłam zrozumieć tę nieszczęsną sytuację, żeby teraz przerywać.

– Pan Smith pobił się na jednej z ulic w Torquay z tutejszym dorożkarzem, Samuelem Louisem, który, między nami mówiąc, jest znany policji jako miejscowy mąciwoda.

– Czy komuś coś się stało? – spytałam z obawą.

Sierżant Thornton potrząsnął głową.

– Według świadków zdarzenia cała sytuacja wyglądała groźnie, ale okazała się mniej poważna, niż sądzono. W ruch poszły pięści, na bruku w zaułku, gdzie doszło do bijatyki, zostało sporo krwi. Samuel Louis ma poważnie złamany nos, ale poza tym wyszedł

z bójką bez większych obrażeń. Żeby donieść na pana Smitha, stawił się na posterunku o własnych siłach. Mniemam, że pani służący też jest cały i zdrowy?

– Owszem – wykrztusiłam. – Nie zauważyłam, żeby coś mu dolegało... Naprawdę o niczym nie wiedziałam. – To wszystko było tak niepodobne do Artura, którego kiedyś znałam. Zaatakować kogoś na ulicy? I to w dodatku w biały dzień, przy świadkach?! Nie żebym uważała, że bicie kogokolwiek w nocy czy na odludziu to jakieś wyjście... Po prostu miałam wrażenie, że Artur kompletnie nad sobą nie panował.

– Czy wiadomo, dlaczego się pobili?

– Wygląda na to, że o panią, panno Hyde. – Usłyszałam w odpowiedzi pełen nacisku, surowy głos inspektora Langleya. Sierżant Thornton zamilkł.

– Jak to? O mnie?!

– O panią. – Starszy wiekiem i stopniem policjant skrzyżował ramiona. – Samuel Louis zgłosił, że został zaatakowany przez Artura Smitha, ale świadkowie zdarzenia twierdzą, iż przedtem kilkakrotnie go sprowokował... Wygląda na to, że Louis publicznie wygłaszał niepoparte niczym obiegowe opinie na pani temat... – inspektor Langley zakasłał teatralnie – ...które od niedawna krążą po Torquay.

Zmarszczyłam brwi. Jeżeli inspektor chciał mnie teraz zawstydzić, to się co do mnie pomylił. Miałam dość tajemnic, a do okrutnych plotek zdążyłam już przywyknąć w Londynie.

– Czy mógłby pan wyrażać się jaśniej, inspektorze? O jakie „obiegowe opinie” chodzi? – spytałam, spoglądając w jego chłodne oczy.

– Cóż... Jeśli chce pani koniecznie wiedzieć, to w miasteczku mówi się o tym, jak bardzo skorzystała pani na śmierci lady Lancey. Podobno Samuel Louis rozpowiadał, że jest pani... odpowiedzialna.

Mówiąc wprost: mówił publicznie, że to pani stoi za śmiercią swojej ciotki.

Zadrżałam. Jak wyrazić, co poczułam na ostatnie słowa inspektora? Oburzenie, złość, rozpaczliwa bezsilność, obezwładniający żal i dławiący gniew na ludzką nikczemność zalały mój umysł niczym huczące fale oceanu. Miałam ochotę krzyczeć. Wycić. Płakać. Bić powietrze pięściami.

Zamiast tego zacisnęłam mocno usta i zachowałam kamienną twarz – miałam wrażenie, że moje rysy, a nawet serce ściały nagle lodowaty podmuch zimy.

Policjanci mówili dalej, ale ich słowa docierały do mnie jak gdyby stłumione przez grubą czarną kurtynę.

– Sierżantowi Thorntonowi udało się przekonać Samuela Louisa, żeby wycofał oskarżenie. Tak czy inaczej, powinna pani bardziej uważać na służbę, którą się pani otacza... Choć oczywiście żaden z nas pani nie wini. Jesteśmy ludźmi honoru, panno Hyde, i pojmujemy przesłanki, jakimi kierował się Artur Smith. Niemniej jego zachowanie, niestety, może tylko pani zaszkodzić. Plotki nie ucichną, a wręcz się nasilą. Złośliwi zaczną twierdzić, że to pani kazała służącemu uciszyć Louisa. Wszak wszyscy wiedzą, u kogo pan Smith jest na służbie...

Skinęłam głową i przełknęłam ślinę, próbując pozbyć się dławiącej guli w gardle.

– Czy chcą panowie pomówić z Arturem? – spytałam cicho.

– Już to zrobiliśmy – oświadczył sierżant Thornton. – Spotkaliśmy go w parku przed posiadłością, jak przycinał żywopłot. Ostrzeżliśmy go, żeby nie próbował znowu bójek. Wie, że Louis wycofał skargę.

– Dziękuję... – wymamrotałam. Wiedziałam, że powinnam podziękować, ale w tej chwili nie było dla mnie jasne za co.

Inspektor Langley sięgnął po kapelusz.



– To wszystko, panno Hyde. Mimo zaistniałych okoliczności życzymy pani miłego dnia.

Wąsaty mężczyzna skłonił się, po czym na ułamek chwili wstrzymał wędrujące ku łysinie nakrycie głowy.

– Chciałbym się jeszcze upewnić: czy w sprawie Artura Smitha nie ma pani nic do dodania?

Szybko zebrałam rozbiegane myśli.

– Tylko tyle, iż mogą być panowie pewni, że osobiście się z nim rozmówię. Ciotka Hortense czuła się odpowiedzialna za ludzi, których zatrudniała. Zamierzam postępować tak samo.

Inspektor Langley zmrużył oczy.

– Dobrze to słyszeć.

– Czy mają dla mnie panowie jakieś nowe informacje na temat śledztwa?

– Śledztwo trwa, panno Hyde. Tylko tyle.

Pożegnaliśmy się ostatni raz, po czym odprowadziłam obu stróżów prawa do drzwi. Po ich wyjściu spędziłam jakiś czas w fotelu, z twarzą zanurzoną w dłoniach. Rozmyślałam. I tak musiałam odczekać, aż dorożka, którą policjanci przyjechali z miasteczka, zniknie za zakrętem ubitej drogi.

Z jednej strony odczuwałam niesamowitą ulgę, że jestem tutaj, w domu, a nie w drodze do miejskiego aresztu. Ulgę, że Artur nie okazał się mordercą... Ulgę, że to tylko moja rozchwiana wyobraźnia płata mi figle i snuje najczarniejsze scenariusze na podstawie strzępków różnych zdarzeń.

Z drugiej strony już wczoraj jasno zrozumiałam, że obecna sytuacja nie może trwać dłużej... Nie powinna. Zabójstwo ciotki Hortense oraz niewyjaśniona śmierć pani Flory Jones rzucały cień na życie nie tylko moje, ale także licznych osób wokół mnie – i z każdym dniem ów cień stawał się coraz mroczniejszy... Rosalind próbowała jakoś się

trzymać, ale wiedziałam, że ukradkiem niemal codziennie pochlipuje nad kuchennym stołem, a łyżki i talerze jak nigdy dotąd lecą jej z rąk. Anna popadła w rozpacz i przerażenie do tego stopnia, że pod wpływem własnych podejrzeń spaliła w kominku koszulę Artura... A Artur... Artur złamał nos złośliwemu plotkarzowi z Torquay.

Wstałam z fotela i wyszłam przed dom. Po bladoniebieskim niebie nad wrzosowiskami przesuwały się rozwiane obłoki. Policjanci mówili, że Artur strzygł żywopłot w parku. Rzeczywiście, po chwili ujrzałam jego wysoką i smukłą sylwetkę wychylającą się zza murku z żywej zieleni, w cieniu kamiennej pergoli. Bez namysłu ruszyłam w jego stronę.

Musiał mnie zauważyć, ale to zignorował. Kiedy stanęłam przy nim, nadal pochylał się nad odstającą gałązką żywopłotu, ściskając w dłoniach ogromne nożyce o potężnych, spiczastych ostrzach.

– Arturze!

Wyprostował się – zarówno męska sylwetka, jak i krańce nożyc gwałtownie obróciły się ku mnie.

– Panienko Madeline. – Artur skłonił się lekko i skierował szpikulce w dół.

Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy i poczułam, że mam spocone dłonie. Lekko je zacisnęłam. Patrzyłam na mojego nieodłącznego towarzysza zabaw z dzieciństwa, przypominając sobie koszmar, który w ostatnich latach nawiedzał mnie przez wiele nocy i który przyśnił mi się nad ranem. Powracający koszmar, w którym za każdym razem rozbrzmiewał chłopięcy głos Artura... Zdałam sobie sprawę, że tamten głos chłopaka już nigdy nie przemówi do mnie szczerze, bez dystansu, bez chłodnej rezerwy... Czemu tak się stało? W tej chwili naprawdę nie potrafiłam sobie przypomnieć, dlaczego nie rozmawialiśmy ze sobą tak długo... W międzyczasie oboje zdążyliśmy dorosnąć.

– Powinam była się na ciebie wściec. A także ci podziękować – powiedziałam pod wpływem impulsu.

– Proszę się na mnie nie gniewać, panno Madeline. A jeśli chodzi o podziękowanie, zrobiłem tylko to, co każdy mężczyzna powinien uczynić, kiedy publicznie obrażany jest honor damy i gdy rzucone są pod jej adresem oszczerstwa.

Zamrugałam.

– Nie mówię o bójce z tym dorożkarzem.

Zmarszczył brwi.

– A o czym, panienko?

Przez sekundę walczyłam z gulą w ściśniętym gardle.

– O tamtym wypadku przed laty – szepnęłam, wbijając w niego pełne smutku spojrzenie. – Kiedy przypływ zamknął nas oboje w jaskini pod klifem. To ty mnie tam zabrałeś, ale też uratowałeś mi wtedy życie. Mieliśmy udawać piratów, pamiętasz? Jestem pewna, że gdyby nie ty, utonąłabym. Nie dałabym rady przetrwać w jaskini całej nocy... Nie dałabym rady bez ciebie. Dziękuję ci. Byłeś prawdziwym przyjacielem. Tak bardzo żałuję, że nigdy wcześniej ci tego nie powiedziałam... – Przełknęłam ślinę i wypuściłam powietrze z płuc.

Artur potrząsnął głową. Widziałam, że on również cofa się myślami do tamtego letniego dnia przed laty.

– To była moja wina. Byłem starszy...

– Zaledwie o rok!

– Powinienem był być rozsądniejszy. Powinienem był pomyśleć, że nadchodzi przypływ.

– Arturze... – Dotknęłam jego ramienia i potrząsnęłam głową. – Byliśmy tylko dziećmi.

– Była panienska pod moją opieką!

Poczułam nagły impuls złości.

– Odkąd to nazywasz mnie uparcie „panienką”?!  
Zmrużył oczy.

– Odziedziczyła pani Wzgórze Mgieł – oświadczył chłodno, jak gdyby moja przemowa nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. – Chyba nie muszę o tym pani przypominać.

Zacisnęłam drżące dłonie.

– Wiem... Masz prawo mieć do mnie żal! Ojciec zabrał mnie do Londynu i nie odezwałam się do ciebie przez te wszystkie lata. Żałuję tego.

– To nie panienki wina. Mój ojciec i pani wuj surowo nam zabronili się spotykać po tym, co się stało. Nie mogliśmy już się razem bawić. – Po jego ustach przebiegł cień gorzkiego uśmiechu. – Zakazano nam ze sobą rozmawiać.

– Tak czy inaczej powinnam była spróbować! – Spuściłam wzrok. – Pamiętam, że ty próbowałeś. Pamiętam, jak biegłeś za naszym powozem, kiedy ojciec zabierał mnie ze Wzgórza Mgieł. Widziałam cię – wyznałam. – Ale przy ojcu bałam się do ciebie zawołać... Nawet się nie pożegnałam. To mnie boli do dziś.

– Przykro mi, panienko. Wiem, że nie miała pani łatwego życia ze swoim ojcem. – Szare oczy Artura błysnęły.

– Już nigdy nie zwrócisz się do mnie po imieniu, prawda? – spytałam cicho. – Widzę, że masz do mnie żal, i czuję, że nie jesteś ze mną szczery... A ja tak bardzo chciałam to jeszcze raz od ciebie usłyszeć...

– Co takiego, panienko?

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Prawdę. To, czy mi wybaczyłeś. To, co naprawdę myślisz. Co czujesz. Pamiętasz jeszcze, że jako dzieci mówiliśmy sobie niemal wszystko?

Artur upuścił nożyce i niespodziewanie chwycił mnie za ramiona.

– Sądzisz, że zapomniałem? Że mógłbym zapomnieć? Po latach chcesz usłyszeć, co myślę i czuję? Powiem ci, Madeline! – rzucił mi te słowa prosto w twarz. – A potem zamilknę i dalej będę zachowywał się tak, jak na dobrego służącego przystało! Nigdy nie zapomniałem tego, kim dla mnie byłaś! Moją przyjaciółką i pierwszą miłością! Nie domyślałaś się, prawda? Bo niby jak! A ja myślałem o tobie przez te wszystkie lata, czy tego chciałem, czy nie! Uratowałem ci życie, lecz ty mnie porzuciłaś! Porzuciłaś to miejsce i naszą przyjaźń! A teraz zjawiasz się po latach i traktujesz mnie jak sługę – jakbyś wiedziała, że od dawna masz we mnie niewolnika! Tak! – Jego silne dłonie zacisnęły się na moich ramionach do cienkiej granicy bólu. – Jestem twoim niewolnikiem! Moje uczucia, moje myśli należą do ciebie! Chciałaś przypomnieć, co łączyło nas w przeszłości? Nie jesteśmy już dziećmi, panienko!

Nachylił się gwałtownie i wpił się w moje usta, przyciskając mnie mocno do swego ciała. Gwałtownie wsunął język między moje wargi – ssał je, przygryzał, nie pozwalając mi zaczerpnąć oddechu. Ubrudzone ogrodową ziemią ręce wędrowały po moim ciele: prędko, natarczywie sięgnęły poza granicę wyznaczoną przez dekolt. Opuszki palców Artura chwyciły kraniec mojej piersi, zaś jego usta tłamsiły moje, rozgniatały je, ścierały na proch i niemal parzyły mnie swoim żarem. Poczułam straszne, bezsilne pożądanie, a jednocześnie niedowierzanie, sprzeciw, gniew, nieomal wstręt... Pomyślałam o Gabrielu Ackroydzie i jakimś cudem wreszcie znalazłam w sobie siłę, żeby wyrwać się z przemożnych objęć Artura.

– Puść mnie! Tak nie można! – Odepchnęłam go najmocniej, jak umiałam.

Odsunął się jak oparzony, ciężko dysząc. Jakby mój głos wyrwał go z amoku.

– Przepraszam, panienko, ja...

– Zaprzęgaj dwukótkę! – krzyknęłam i nie oglądając się za siebie, zaczęłam biec w stronę domu. Na moich zaczerwienionych policzkach łązy paliły skórę niczym krople lawy.

Niebawem mały dwukołowy powóz zjawił się przed domem. Moja wściekłość na Artura nie ostygła.

– Będę powozić sama! Ty zostajesz tutaj! – oświadczyłam, prędko gramoląc się na miejsce dla woźnicy.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Widziałam, że stara się opanować. Był podenerwowany, ale powrócił do swojego chłodnego tonu.

– Panienska raczy żartować? Dokąd każe panienska jechać? Zawiozę panią!

– Żeby znowu wdać się w jakąś bójkę?! – syknęłam ze złością. – A może żeby nastawać na mój honor?!

Artur zarumienił się.

– Nigdy bym nie śmiał...

– Nieważne! – przerwałam, chwytając za lejce. Na ten gest koń grzebnął kopytem. – Powiedz Rosalind, że pojechałam do doktora Watsona!

– Do doktora?! – Artur nic z tego nie rozumiał.

– Tak. – Machnęłam lejcami i powóz ruszył z miejsca. – Muszę coś wyjaśnić! Zostań tutaj!

## 27. ODCIENIE CZERWIENI

Długa samotna przejażdżka przez otwarte przestrzenie pozwoliła z wolna ułożyć się skłębionym myślom w mojej głowie. Tego właśnie potrzebowałam – oderwać się od wszystkiego i wszystkich, żeby odzyskać względny spokój. Przez jakiś czas istniałam tylko ja, kolebiąca się łagodnie bryczka, kłusujący koń i sięgające po horyzont wrzosowiska z zagajnikami drzew i płytkimi wąwozami. Był sierpień – morze wrzosów zaczynało kwitnąć, z początku pastelowymi, liliowymi kwiatami, które jednak z upływem dni miały nabrać głębokich odcieni intensywnego fioletu. Łagodny wietrzyk od morza pieścił moją twarz, a świergot ptaków, widok pasących się na horyzoncie kucyków oraz jednostajny, równy rytm końskich kopyt niosły niezauważalnie ukojenie.

Powożenie końmi nie było aż tak trudne – przypomniałam sobie kilka lekcji, których udzielił mi w dzieciństwie sam Artur.

Artur... Na wspomnienie tego, co się dziś stało, znów przeszły mnie dreszcze i mimowolnie potrząsnęłam głową. Rozumiałam już ukradkowe, pełne nienawiści spojrzenia Anny, które czasami śledziły mnie w domu i zdawały się obserwować każdy mój ruch. Niezawodna intuicja zakochanej dziewczyny mówiła jej od początku, że ma we mnie konkurentkę – chociaż ja nie byłam świadoma zadurzenia Artura.

Dlaczego nigdy nie domyśliłam się siły trawiących go uczuć? Ani w dzieciństwie, ani teraz, kiedy wróciłam po latach do Wzgórza Mgieł... Czułam się zdradzona – jak gdyby jego miłość przekreśliła

dawną, niewinną, silnie łączącą nas więź. Czy czysta, pozbawiona domieszki jakiegokolwiek żądzy przyjaźni między kobietą a mężczyzną nie była możliwa? Wierzyłam, że taka właśnie połączyła mnie z Arturem i... z Clarkiem. Miałam przekonać się, jak bardzo się myliłam i jak naiwne były moje oczekiwania. Być może tragedią młodej damy w naszych czasach jest to, że od najmłodszych lat wychowuje się ją w ten sposób, by potrafiła zawsze podobać się mężczyznom, by wzbudzała ich zainteresowanie; by jej słowa, jej gesty i czyny łechtały ich próżność i wzmacniały szanse na zawarcie intratnego małżeństwa. I odwrotnie – typowy mężczyzna naszych czasów widzi w kobiecie tylko to, co kobiece, a nie to, co ludzkie...

Kiedy moja dwukółka zaprzęzona w karą klacz zajechała przed aptekę w Torquay, dobiegało południe. Zebrałam suknię i ostrożnie zeszłam z kozła. W jednopiętrowym kamiennym domu, na którego parterze mieściła się apteka, były jeszcze jedne drewniane drzwi z szybą w górnej części. Z ulgą odczytałam nieduży szyld nad nimi: „Dr H.N. Watson. Gabinet”.

Cicho zastukałam. Odczekałam krótką chwilę, po czym wśliznęłam się do środka.

Trafiłam na wąski korytarz z kilkoma drewnianymi krzesłami ustawionymi w rzędzie pod ścianą – najwyraźniej była to poczekalnia. Znajdowały się tu trzy pary drzwi – na jednych było napisane „Gabinet”. Zapukałam, lecz nikt nie odpowiedział. Nasłuchiwałam przez chwilę niewzruszonej ciszy, próbując w ten sposób wybadać, czy lekarz ma akurat pacjenta.

Poczułam się nieswojo.

– Doktorze Watson? – odezwałam się pytająco. – Doktorze?

Odpowiedziało mi skrzypnięcie w głębi wąskiego korytarza. Zobaczyłam, że drzwi, które się tam znajdują, są niedomknięte.

– Doktorze Watson, jest pan tutaj? – zawołałam.



– Już idę! Czy była pani umówiona na wizytę? – odpowiedział mi niespodziewanie głos lekarza dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia.

– Niestety nie...

Ruszyłam do uchylonych drzwi i pchnęłam ich skrzydło. Zobaczyłam, że łączą poczekalnię przed gabinetem doktora z apteką znajdującą się w tym samym budynku. Poczułam charakterystyczny zapach ziół, bibuły do zawijania buteleczek z lekami, a także olejów, maści i mydeł. Wewnątrz, na ciężkich drewnianych regałach pełnych półek, szuflad i przegródek, znajdowały się butle, buteleczki, flakony, słoiki i słoje – wszystkie opatrzone wyraźnymi etykietami, z których większość zapisano po łacinie. Doktor Watson pochylał się po coś za ladą aptekarską, na której stała dwuramienna, metalowa waga z malutkimi, mosiężnymi odważnikami oraz tygielek do ucierania maści.

Słyszając me kroki na trzeszczącej, drewnianej podłodze, mężczyzna wyprostował się i jednocześnie poprawił szybkim gestem przekrzywione binokle.

– Panna Madeline Hyde! – Skłonił się lekko, a ja podałam mu dłoń.

– Ma pan dobrą pamięć do twarzy. – Poczułam ulgę, że nie muszę się przedstawiać. Wystarczyło już, że nie byłam umówiona. Wyobrażałam sobie, że doktor w takim miasteczku jak Torquay, do którego latem zjeżdżali wczasowicze, musiał być raczej zajęтым człowiekiem.

– Mieć dobrą pamięć do ludzi to istotna cecha u lekarza, zwłaszcza w takim niedużym mieście jak Torquay. Tutaj wszyscy zdają się znać wszystkich, czyż nie? – uśmiechnął się doktor. – Ale nie o to chodzi. Kiedy pacjenci wiedzą, że dobrze ich pamiętam – nie tylko ich, ale rzecz jasna także ich dolegliwości – to wiedzą też i czują, że jestem tu

dla nich. Obdarowują mnie swoim zaufaniem, a śmiem twierdzić, że zaufanie pacjenta do lekarza to jedna z niedocenianych podstaw każdej udanej kuracji. Jest klucz! – oznajmił nagle, spoglądając na wagę, na której leżał nieduży pęk kluczy. – Proszę mi wybaczyć to całe zamieszanie. Aptekarz, pan Duval, musiał pilnie wyjechać na kilka dni i zostawił aptekę pod moją pieczę – na wypadek, gdyby ktoś się zgłosił odebrać wcześniej zamówione lekarstwa. Jedna z klientek była tu niedawno... Odznaczyłem jej nazwisko w zeszycie, a po jej wyjściu przez pół godziny szukałem tych nieszczęsnych kluczy! Ale cóż, znalazły się. Dzięki pani. – Lekarz się uśmiechnął, lecz jego mina szybko zrobiła się poważna. – W czym mogę pani pomóc, panno Hyde? Czyżby była pani chora?

Potrząsnęłam przecząco głową, choć prawdę mówiąc, od rana nie czułam się najlepiej. Wiedziałam jednak, że przyczyną tego stanu rzeczy są napięte nerwy i niewyspanie.

– Przyszłam prosić pana o pomoc, ale w innej sprawie – wyjaśniłam. – Czy ma pan chwilę, żeby ze mną porozmawiać?

– Prawdę mówiąc, trafiła pani idealnie. Na dziś skończyłem pracę tutaj, a wizytę domową u pacjenta mam dopiero późnym popołudniem. Może napijemy się herbaty?

– Cóż... Z przyjemnością. Ale chciałabym pomówić z panem na osobności.

– Wyznam pani, że w dni, w które tu pracuję, zazwyczaj pijam herbatę na zapleczu. Być może nie są to warunki, do jakich przywykła pani w Londynie, ale jeśli to pani nie przeszkadza...

– Ani trochę! – zapewniłam prędko, zanim zdążył zaproponować inne miejsce.

Doktor Watson zmierzył mnie uważnym, zaintrygowanym spojrzeniem.

– Chodźmy zatem. – Z kurtuazją przepuścił mnie w drzwiach.

„Zaplecze” okazało się przestronnym i przewiewnym pomieszczeniem z piecem kaflowym i oknami wychodzącymi na zielnik, gdzie za szybą wśród dziko wyglądających kwiatów uwijały się bzyżące pszczoły i motyle o zwiewnym, tanecznym locie. Jednak nie to, co na zewnątrz, ale to, co w środku, wywołało we mnie cichy zachwyt i zdumienie. Przez chwilę zdało mi się, że znalazłam się w sekretnej pracowni średniowiecznego alchemika. Zajmujące centralne miejsce w pomieszczeniu szklane alembiki, tygielki i tym podobna fizyczno-chemiczna aparatura połączona ze sobą mnóstwem powyginanych, szklanych rurek zrobiły na mnie zaskakujące wrażenie.

– Pan Duval i ja razem korzystamy z tej pracowni. To głównie proste aparaty do destylacji – wyjaśnił doktor Watson. – Widzę, że się pani podoba.

Dorzucił kawałek drewna do ognia pod kuchnią przy piecu kaflowym i nastawił pękaty czajnik z wodą na herbatę.

Skinęłam głową.

– Usiądźmy.

Doktor Watson zaprosił mnie do niedużego drewnianego stołu pod oknem i odsunął mi krzesło, po czym usadowił się naprzeciwko mnie i zza okrągłych binokli spojrział mi prosto w oczy. Miał inteligentne, współczujące spojrzenie. Pomyślałam, że w życiu zapewne sporo już widział i dlatego nie jest osobą, która łatwo wydaje pochopne sądy. Jako lekarz musiał być raczej kimś, kto zawsze stara się zidentyfikować przyczynę każdego problemu, zamiast po prostu na niego narzekać.

– A więc, panno Hyde? W czym mogę pani pomóc?

Poczułam ogarniające mnie zdenerwowanie.

Lekarz musiał to zauważyć.

– Proszę mi tylko nie mówić, że to dotyczy śmierci pani ciotki, lady

Lancey.

Moje serce załomotało nerwowo.

– Skąd pan wie?!

– A więc jednak! – Mężczyzna potarł w zakłopotaniu wysokie czoło. – Domyśliłem się tego!

– Ale... jak? Doktorze, skąd pan wiedział, po co do pana przyszłam?

Doktor Watson westchnął cicho i uśmiechnął się wyrozumiale, a w jego ciemnych, mądrych oczach zatańczyły ogniki rozbawienia.

– Nie była pani umówiona, ot co.

Uśmiechnęłam się niepewnie, a on zupełnie szczerze odwzajemnił mój uśmiech.

– Mówiąc poważnie, panno Hyde, chodzi o moje nazwisko.

– Watson? – Lekko zmarszczyłam brwi, nie pojmując aluzji. Pamiętałam, że od pierwszej chwili wydawało mi się ono dziwnie znajome.

– Proszę nie mówić, że mieszkała pani w Londynie i nie czytała tych awanturniczych powieści rozchwytywanych jak świeże bułeczki dwadzieścia lat temu. Nie wierzę, że dziś straciły na popularności. Mówiąc szczerze, to z ich powodu byłem zmuszony razem z żoną wyprowadzić się z Londynu...

– Doktor Watson! *Studium w szkarłacie!* – wykrzyknęłam triumfująco, bo nagle opadło mnie olśnienie. – Ależ oczywiście! Nazywa się pan dokładnie tak samo jak powiernik tego słynnego detektywa, Sherlocka Holmesa!

Na policzkach poczułam wypieki. Takie jak wówczas, kiedy w sekrecie, schowana pod kocem z naftową lampką otuloną szklaną przesłoną, zaczytywałam się nocami w niezwykle popularnych przygodach postaci stworzonej w 1887 roku przez Arthura Conana Doyle'a. Mój ojciec uważał, że tematyka tych książek w żadnym razie nie jest odpowiednia dla młodej damy z moim pochodzeniem, ale

tym razem zignorowałam jego opinię. Mademoiselle Sophie, moja francuska guwernantka, przemyciła dla mnie *Studium w szkarłacie*, a także powieść *Pies Beskerville'ów*.

A teraz siedział przede mną prawdziwy doktor Watson! Z krwi i kości! Bolesna różnica między prawdą a fikcją była taka, że zabójstwo ciotki Hortense i seans spirytystyczny we Wzgórzu Mgieł nie były wytworem wyobraźni poczytnego pisarza, lecz nieubłaganą, ponurą rzeczywistością.

– Naprawdę wyjechał pan z Londynu z powodu tych książek?

– Niestety tak – odparł lekarz. – Kiedy zaczęło się szaleństwo z powieściami Conana Doyle'a, część jego czytelników sądziła, że opowieści o Holmesie są prawdziwe. Że detektyw i jego pomocnik naprawdę pracują gdzieś w mieście... Z powodu przypadkowej zbieżności nazwisk stałem się adresatem mnóstwa listów oraz prośb o pomoc od osób, którym fikcja zaczęła przesłaniać rzeczywistość. Na dłuższą metę to stawało się nie do zniesienia. Cóż, kiedy ukazało się *Studium w szkarłacie*, byłem jeszcze młodym, pełnym zapału lekarzem osiadłym w dzielnicy Paddington. Chciałem skupić się na mojej pracy. Nigdy nie miałem nic wspólnego ze zbrodniami ani z tropieniem przestępców... – Doktor Watson westchnął głęboko. – Tymczasem nawet niektórzy z moich stałych pacjentów zaczęli brać mnie za kogoś, kim nie byłem. W sprawie dziwnych przypadków zaginięć czy kradzieży nagabywali wręcz moją biedną żonę... Własnoręcznie napisałem list do Conana Doyle'a, ale odpisał, zresztą słusznie, że „mleko już się rozlało” i nie może zmienić nazwiska swojego bohatera... W końcu musiałem wyjechać z Londynu. Szukałem jakiegoś niedużego, spokojnego miasteczka, poza porywistym nurtem biegu spraw „wielkiego świata”... Rozumie to pani, prawda? – spytał, a ja skinęłam głową. Pojmowałam aż za dobrze. Dla mnie Wzgórze Mgieł również stanowiło coś

w rodzaju ucieczki z Londynu. – Tak oto znalazłem się w Torquay. – Mężczyzna uśmiechnął się ciepło. Przekrzywił głowę i słoneczne refleksy wpadające przez okno błysnęły w okrągłych szklach jego binokli.

Upił kilka łyków herbaty.

– Cóż. – Znów westchnął cicho. – Zdaje się jednak, że badanie zbrodni stało się niejako moim przeznaczeniem. Nawet tutaj, w Torquay, nie sposób z nim walczyć. W końcu przyszła pani właśnie do mnie w sprawie zabójstwa lady Hortense...

– Ma mi to pan za złe?

– Ależ skąd! Pomogę pani, jeśli tylko będę w stanie...

– Dziękuję, doktorze. Dziękuję z całego serca. – Pochyliłam się niżej nad stołem i zaczerpnęłam tchu. – Nie chodzi mi o śmierć mojej ciotki, ale raczej o zgon Flory Jones.

– Nie rozumiem.

Lekko zacisnęłam dłonie.

– Mam powody, by podejrzewać, że pani Flora została otruta – oznajmiłam. – Pamiętam, że tamtego wieczora, w czasie seansu spirytystycznego, połknęła jakąś pigułkę. Popiła ją wodą... Mimo to w jej torebce tamtej nocy nie znaleźliśmy żadnych lekarstw. Czy Flora Jones leczyła się u pana? Czy wie pan, jakie zażywała leki?

Doktor Watson lekko zmarszczył brwi i zacisnął usta.

– Zdaje sobie pani sprawę, panno Hyde, o co pani mnie prosi? Chce pani, żebym zdradził jej tajemnicę lekarską.

– Ta tajemnica dotyczy osoby, która nie żyje. Najbliższej przyjaciółki mojej ciotki... Czy dochowanie lekarskiego sekretu może w tej chwili w czymkolwiek pomóc pani Florze?

W światłocieniu binokli mężczyzna zmrużył oczy.

– Widzę, że jest pani zdeterminowana. Cóż, być może ma pani rację. Obowiązkiem lekarza jest troszczyć się o żywych. Zmarłym już nie

pomogę.

– Potrzebuję odpowiedzi, doktorze... Inaczej nigdy nie odzyskam spokoju. Doszło do tego, że policja podejrzewa mnie o uśmiercenie mej ciotki. Nie mam do kogo się zwrócić z moimi wątpliwościami. Naprawdę. Jest pan moją jedyną nadzieją.

– Ta rozmowa, ma się rozumieć, pozostanie między nami, panno Hyde?

– Naturalnie.

Doktor Watson westchnął głęboko, po czym skierował wzrok za uchylone okno, przez które do środka napływało brzęczenie owadów oraz ćwierkanie wróbli.

W promieniach słońca na grządkach w tym sekretnym, przyaptecznym ogródku wygrzewał się gąszcz zieleni.

– Widzi pani tamten krzew? – Doktor Watson skinął ręką. – Ten o owalnych liściach i małych żółtych jagodach?

– Tak.

– Roślina ta zwie się dość mrocznie: kulczyba wronie oko. Do Anglii trafiła z Indii. Niewielkie dawki wyciągu z jej nasion, poniżej pięciu miligramów, działają pobudzająco, łagodzą bóle i poniekąd wyostrzają zmysły, dlatego często poleca się je wiekowym osobom, szczególnie tym, których zaczyna dotykać otępienie starcze. Pani Flora Jones wiedziała, jakie dawki zażywać, ale... – zawiesił głos.

– Ale?

– Ale dla ścisłości muszę panią poinformować, że przekroczenie zalecanej ilości wyciągu może być szalenie niebezpieczne. Nasiona i inne części kulczyby zawierają strychninę. To silna trucizna, panno Hyde.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Spytałam o to, żeby nie pozostawiać sobie żadnych wątpliwości,

doktorze. Nie sędzę, by pani Flora przedawkowała lekarstwo. W czasie, który spędziłyśmy razem, wzięła tylko tamtą jedną, malutką pigułkę. Pewnie dlatego, że było późno i zaczynała ogarniać ją senność...

Doktor Watson spojrział mi w oczy.

– Lecz mimo to podejrzewa pani, że Flora Jones została otruta.

Skinęłam głową.

– Tak, ale w inny sposób. Być może ta starsza kobieta truła się sama, nawet o tym nie wiedząc.

Sięgnęłam do torebki i wyjęłam z niej szklaną fiolkę z czerwonym proszkiem, z którego pani Flora przyrządzała swoje słynne malowidło do ust.

– Pułkownik Martens powiedział, że to cynober, to znaczy „smocza krew” – wyjaśniłam. – Podobno jest silnie trujący, a pani Flora miała na dziąsłach ciemny osad...

– ...który jest jednym z objawów zatrucia rtęcią. Cynober to ruda rtęci. Wystarczy odpowiednio go podgrzać, ażeby otrzymać „żywe srebro”. Jest pani nad wyraz spostrzegawczą osobką, panno Hyde, skoro trafnie oceniła pani stan dziąseł denatki – rzekł doktor Watson surowym tonem, lecz jego słowom towarzyszył porozumiewawczy, pełen uznania błysk w oku. – Jeśli to panią uspokoi, w moim raporcie dla policji napisałem, iż ciało nieboszczki miało widoczne ślady, które mogły wiązać się z przewlekłym zatruciem rtęcią. Nie widzę w tym jednak żadnego działania kryminalnego. Pani Flora była staromodna, a jeszcze niedawno rtęć stanowiła dodatek do licznych kosmetyków dla kobiet. Używano jej też powszechniej niż dziś w lekarstwach. Czy wie pani, że czysta rtęć jest jednym z nieodzownych składników „szaruchy”, zalecanej do dziś przez niektórych lekarzy maści na *sypilis*?

– Na „chorobę francuską”? – spytałam i mimowolnie spłonęłam



rumieńcem. W mniemaniu wielu osób chodziło o schorzenie, które dotyczyło kobiety lekkich obyczajów oraz rozwiązłych mężczyzn o skrajnie libertyńskich poglądach... – Nie wiedziałam... – szepnęłam.

– To nic. Mam nadzieję, że udało mi się rozwiać dręczące panią wątpliwości. Jeśli tylko to panią uspokoi, wezmę tę próbkę cynobru i zbadam stężenie rtęci. Zgoda?

Skinęłam głową.

– Będę panu bardzo zobowiązana, doktorze.

– Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

Mimo uspokajającego tonu lekarza i jego wyczerpujących odpowiedzi przez cały czas coś nie dawało mi spokoju...

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie jeszcze, oprócz poczerniałych dziąseł, są objawy zatrucia rtęcią? – spytałam, upiwszy mały łyk herbaty. Była mocna i aromatyczna. Spróbowałam się rozluźnić.

– Oczywiście. W przypadku przewlekłego zatrucia liczne objawy są nieswoiste i mogą być wzięte za oznaki innego schorzenia. Należą do nich: ból głowy, zmiany nastroju, problemy z nerkami... Niektóre symptomy są bardzo ciekawe, rzecz jasna, z medycznego punktu widzenia... Są to symptomy charakterystyczne dla rtęci, takie jak: wypadanie zębów, problemy z przewodem pokarmowym w postaci stanów zapalnych, zaburzenia pamięci związane z podatnością na sugestię, zmiany w osobowości, a także „drżące pismo”, czyli zmiany charakteru pisma...

– Zmiany charakteru pisma?! – nieomal wykrzyknęłam, przerywając doktorowi Watsonowi jego monolog.

– Owszem. Czasem bardzo gwałtowne. Jako ciekawostkę mogę przytoczyć pani anegdotę: podobno Isaac Newton przeszedł epizod zatrucia rtęcią, w czasie którego pisał chaotyczne listy do swoich przyjaciół, którzy wcale...

– Czy mówił pan o tym policji?! – przerwałam znowu.

– O zmianie charakteru pisma? – zdziwił się lekarz. – Przyznam, że nie. Miałem tylko zbadać ciało, co uczyniłem jak najsumienniej. Ale zasugerowałem policjantom zatrucie rtęcią.

– Nie o to chodzi! – wyszeptałam. – To by wyjaśniało rzekomy kontakt pani Flory Jones z duchami. W czasie seansu spirytystycznego posługiwała się pismem automatycznym... Wszyscy sądziliśmy, że jej rękę prowadziły wówczas nadprzyrodzone siły!

## 28. WALIZKA

Doktor Watson dolał do mojej filiżanki uprzednio zaparzonej herbaty. Podziękowałam mu skinieniem głowy, a mężczyzna odchrząknął.

– Pominąwszy morderstwo... Wygląda na to, że wszyscy uczestnicy byli pod wielkim wrażeniem tego seansu spirytystycznego. Pani również, prawda, panno Madeline?

– Skąd pan wie?

Kącik ust mężczyzny wygiął się w uśmiechu, który nie sięgnął jednak jego poważnych, inteligentnych oczu za lśniącymi szkiełkami.

– Pani buzia mówi teraz wszystko. Jest pani bardzo naturalna w swych reakcjach... A jeśli chodzi o to, skąd wiem o zachowaniu pozostałych uczestników, to parę dni temu odwiedziła mnie pani Martens. Proszę mi wierzyć, że gabinet lekarski to miejsce, gdzie prędzej czy później, razem z pacjentami, trafiają wszystkie informacje i nowiny z całej okolicy... A także, oczywiście, również wszystkie plotki.

Skinęłam głową. Wyobraziłam sobie te wszystkie schorowane damy cierpiące na prawdziwe lub wyimaginowane dolegliwości, siedzące w poczekalni przed gabinetem doktora i przekazujące sobie półgłosem zasłyszane wieści, które następnie każda z nich miała zamiar streścić również lekarzowi.

– Ma pan rację, doktorze. Tamten seans spirytystyczny wywarł na wszystkich uczestnikach silne wrażenie. Zachowanie pani Flory w jego trakcie wyglądało bardzo... – przez ułamek chwili szukałam

pasującego słowa – ...przekonująco. Prawdziwie. – Spojrzałam prosto w ciemne oczy doktora, który słuchał mnie teraz z uwagą. – Najpierw wahadełko ostrzegło nas przed niebezpieczeństwem. Następnie pani Flora zdecydowała, że posłuży się pismem automatycznym, żeby przekazać wiadomości od duchów. Aż w końcu... ponad stołem pojawiła się ta zielona zjawa!

– Zielona zjawa?

Przełknęłam ślinę. Czyżby plotki milczały na ten temat? A może w miarę ich przekazywania z ust do ust zjawa przepoczwarzyła się stopniowo w coś całkiem innego? Może w Torquay już opowiada się o grasującym we Wzgórzu Mgieł wilkołaku, którym niebawem babki zaczną straszyć niegrzeczne wnuki?

– Może źle się wyraziłam. To był raczej zielonkawy, mieniący się obłok. – Na samo wspomnienie przeszył mnie słaby dreszcz. – Wydobył się z ust pani Flory Jones na chwilę przed jej śmiercią. Pani Martens twierdziła później, że to niewątpliwie musiała być ulatująca z ciała dusza... Zresztą, jeśli mam być szczerą, uważam, że wszyscy o tym wówczas pomyśleliśmy.

Zamilkłam. Zaczęłam jeszcze raz analizować wydarzenia tamtego wieczoru. Może zamiast wciąż powracać w myślach do zabójstwa ciotki Hortense, powinnam dla odmiany zastanowić się nad tym, co stało się podczas seansu? Wszak Gabriel mówił mi już kilkakrotnie o pozorach, pod którymi ukrywa się prawda. Co próbował zasugerować? Wiedziałam, że ani on, ani Clark nie wierzą w duchy. Lecz jeśli tamtego wieczoru, kiedy wrzosowiska otuliła gęsta mgła, nie byliśmy świadkami działania sił nadprzyrodzonych, to jak wyjaśnić niezwykle zjawiska, które jedno po drugim następowały na naszych oczach?!

– Doktorze Watson... Czy wiadomo panu o istnieniu substancji, która mogłaby... w jakiś sposób spowodować... wywołać powstanie

zielonkawej, świecącej chmury?

– Hmm, hmm... – Mężczyzna potarł w zamyśleniu policzek.

Na moment zapatrzył się w głąb swojej filiżanki z resztką herbaty, jak gdyby szukał odpowiedzi na moje pytanie, wróżąc z fusów, co niewątpliwie przeczyłoby naukowym próbom rozwikłania problemu.

– To musiałby być jakiś gaz... albo ciecz w formie pary... Mówi pani, panno Hyde, że obłok był zielony i świetlisty?

– Lekko migotał. Zdawał się jarzyć własnym, słabym światłem.

– Hmm. – Nagle zauważyłam, jak ciemne oczy doktora rozbłyły. – Mam! Panno Madeline, jedyna substancja, jaka przychodzi mi do głowy, to fosfor!

Zamarłam. Przez ułamek chwili odniosłam nagłe, niezwykle niepokojące wrażenie, że jakiś czas temu gdzieś ktoś wspominał mi o fosforze. Wrażenie przysło, a ja, siedząc teraz jak na szpilkach, chłonełam z uwagą każde słowo doktora Watsona.

– Fosfor wchodzi w reakcję z ciałem, panno Madeline. Jestem prawie przekonany, że odpowiednio spreparowany, połknięty fosfor mógłby częściowo wydalić się przez usta w postaci lekko świeżącego obłoku. W kontakcie z tlenem fosfor zaczyna świecić... – Doktor Watson zmarszczył brwi. – Muszę też pani powiedzieć, panno Madeline, że fosfor jest bardzo silną trucizną.

Zacisnęłam dłonie. Czy to możliwe?! Czy pani Flora Jones zamiast lekarstwa połknęła i popiła wodą fosfor?!

Ale dlaczego?! Czemu miałyby to robić?! Czy świadomie ryzykowałyby własnym życiem tylko po to, żeby uprawić w zdumienie uczestników seansu i przekonać ich, że naprawdę ma kontakt z duchami?! Czy możliwe, że próbowała w ten sposób przekonać nas, że jest prawdziwym medium?! I wreszcie: czy za tę próbę oszustwa zapłaciła swoim własnym życiem?!

– Doktorze, czy istnieje jakikolwiek sposób... jakakolwiek możliwość... żeby sprawdzić, czy pani Flora mogła zażyć fosfor?!

Doktor Watson zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Przykro mi, panno Hyde. Obawiam się, że taka możliwość nie istnieje.

\* \*

W drodze powrotnej do Wzgórza Mgieł prawie nie popędzałam koni. W głowie miałam zbyt wiele pytań i potrzebowałam czasu, żeby przemyśleć możliwe scenariusze zdarzeń, jakie nasunęła mi rozmowa z doktorem Watsonem. Słowa wypowiedziane niedawno przez Gabriela rozbrzmiewały w mojej głowie niczym wschodnia mantra – jedna z tych powracających, nie do końca zrozumiałych sentencji, które w Indiach powtarzają podobno raz za razem świątobliwi asceci.

*Przypomnij sobie wszystkie niezwykle rzeczy, których byłeś świadkiem tamtego dnia, kiedy zginęły Flora i Hortense. Każdą z tych rzeczy, Madeline. A potem zrób, co w twojej mocy, żeby je wyjaśnić i zrozumieć. Rozwiązanie ukaże się, kiedy opadną złudzenia...*

Kiedy tylko zamknęłam za sobą drzwi domu na wzgórzu, w holu przypadła do mnie Rosalind.

– Panienko Madeline! Gdzież to była panienka sama tak długo!? Po tym wszystkim, co spotkało biedną panią Hortense...

Dopiero kiedy przeszliśmy do salonu, w popołudniowym słońcu wpadającym przez okno dostrzegłam, że oczy starszej wiekiem panny służącej są zaczerwienione i szkliste od wstrzymywanych łez.

– Rosalind, przepraszam... – wybąkałam. Przez myśl mi nie przeszło, że moje zniknięcie na pół dnia wywoła podobne wrażenie. – Czy Artur nie powiedział ci, dokąd pojechałam?

– Artur? – Służąca zamrugła nerwowo. – Mówił coś, a właściwie

to burczał... Panno Madeline, przecież z nim ostatnio w ogóle nie da się dogadać! Nie poznaję już tego chłopaka! Nie wiem, co się z nim dzieje, tak jak z Anną! Boję się, że ta dziewczyna sprowadziła na siebie zły los... że postąpiła bardzo lekkomyślnie. Rozumie panienka, co mam na myśli? Mój Boże, czy jakaś klątwa spadła na ten dom?! – Lekko pomarszczone usta Rosalind, do tej pory zastygłe w niejasnym grymasie między jej pulchnymi policzkami, zaczęły gwałtownie dygotać. Kobieta się rozplakała i zakryła twarz spracowanymi dłońmi.

Mocno ją przytuliłam.

– Już dobrze... – Próbowałam ją uspokoić, gdy spazmatycznie szlochała w moje ramię. – Rosalind, nie martw się. Pójdę porozmawiać z Anną. Jestem pewna, że nie zrobiła nic głupiego. Wygląda na rozsądną dziewczynę, pomówię z nią i wszystko się wyjaśni...

Służąca przetarła powieki opuszkami palców i wydmuchała nos. Jej głos brzmiał posępnie i żałośnie.

– Jeśli chce panienka z nią pomówić, to musi się pospieszyć. Anna powiedziała mi, że chce zrezygnować z posady... Rzuca pracę we Wzgórzu Mgieł!

– Co takiego?!

Rosalind znów popadła w rozpacz.

– Panienko Madeline, obiecałam jej matce, że się nią zajmę! To uboga rodzina ze wsi, Anna ma kilkoro rodzeństwa... Rok temu wszyscy tak się cieszyli, że lady Hortense ją zatrudniła... Prawdę mówiąc, zrobiła to za moją rekomendacją!

– Zostań tutaj! Zaraz zaparzę ci herbaty! Oprzyj się wygodnie! – usadziłam Rosalind w fotelu. Poddała się moim poleceniom bez protestu, niczym posłuszne dziecko, jak gdyby płacz wymęczył ją za bardzo, by odezwać się w tej chwili choćby słowem.

Poszłam do kuchni i przygotowałam trzy filiżanki gorącego, aromatycznego napoju. W miarę jak Rosalind siorbała herbatę, jej twarz zaczęła się uspokajać – lecz zastygły na niej wyraz głębokiego smutku ustępował czemuś, czemu najbliższej było chyba do zażenowania.

– Proszę mi wybaczyć moje zachowanie – rzekła z powagą. – Sama już nie wiem, dlaczego tak wybuchłam. Ma panienska własne problemy...

– Twoje problemy są moimi, Rosalind. Mieszkamy pod jednym dachem. Prawdę mówiąc, od dzieciństwa byłaś dla mnie... jak członek rodziny.

– Teraz to się zmieni – rzekła kobieta i uważnie spojrzała mi w oczy. – Nie jesteś już nawet moją „panienką Madeline”, dziecino. Odziedziczyła panienska ten dom... Teraz powinnam zwracać się do ciebie „proszę pani”.

Spuściłam wzrok, powstrzymując odruchową chęć protestu. Sama nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Czy naprawdę musi tak być?

– Oczywiście. Taka jest tradycja i porządek rzeczy. Nawet ta herbata... – Rosalind obróciła filiżankę w dłoni. – To ja powinnam była ją zaparzyć, nie ty. Od tego jest służba. Ty zostałaś dziedziczką, panienko Madeline...

– Nie chciałam tego – powiedziałam zdecydowanie. – I nie chcę, żebyś mówiła do mnie per „pani”. Chcę móc czasem zaparzyć ci herbatę. – Poderwałam się i spontanicznie cmoknęłam ją w czoło. – A teraz idę z herbatą do Anny. Zobaczysz, że wszystko się wyjaśni, Rosalind... – powiedziałam, choć sama miałam wątpliwości.

Dwukrotnie zastukałam do drzwi jej pokoju, ale Anna nie odpowiedziała. Zdecydowałam się nacisnąć klamkę – drzwi uchyliły się i stanęłam w progu.



Anna siedziała na łóżku odwrócona do mnie plecami. U jej stóp stała nieduża prostokątna walizka o spłowiałych brzegach i powycieranych rogach. Domyśliłam się, że zawiera prawdopodobnie cały osobisty dobytek dziewczyny. Poczułam się dziwnie.

– Anno!

Odwróciła ku mnie przekrzywioną głowę – jej chłodne jasnoniebieskie oczy z wilgotnymi od łez czerwonymi obwódkami współgrały z płomienistą rudością jej włosów. Jej luźny warkocz znajdował się w sporym nieładzie, lecz moim zdaniem fryzura prezentowała się niezwykle malowniczo – na tle okna, przez które wpadały złote słoneczne promienie, drobne kosmyki wymykające się z warkocza zdawały się zapalać i skrzyć niczym zorza.

– Mogę usiąść? – spytałam, postawiwszy tacę z herbatą na drewnianym biureczku pod ścianą.

W milczeniu skinęła głową, a ja zebrałam brzeg sukni i z cichym szelestem materiału siadłam na brzegu łóżka.

– Rosalind powiedziała mi, że chcesz opuścić Wzgórze Mgieł. Czy to przez to, co się tu stało? Czy nadal boisz się mordercy? Jeżeli tak, nie będę cię zatrzymywać na siłę. Poproszę nawet Rosalind, by wypłaciła ci pensję za cały miesiąc z góry... Chcę po prostu wiedzieć, dlaczego odchodzisz. To przez śmierć mojej ciotki? – spytałam.

Zauważyłam, że w miarę jak przedstawiałam swoje argumenty, Anna coraz mocniej przygryzała dolną wargę.

– Nie chodzi tylko o to – wykrztusiła po chwili ciszy i znowu zamilkła.

– O co zatem?

Nie odpowiedziała.

Splotłam dłonie i odetchnęłam głębiej. Jeśli chciałam od tej

dziewczyny szczerości, to sama pierwsza powinnam zdobyć się na wyznanie...

– Chodzi o Artura, prawda? – spytałam cicho, unosząc wzrok spuszczonej na jej walizkę. – I o to, co się stało w nocy w jadalni?

Z chłodnych jak lód oczu Anny trysnęły gorące łzy, jak gdyby zimowe kry pękły na rwącej rzece w pierwszych promieniach wiosny.

– Mam wyrzuty sumienia! – zaszlochała, chowając głowę między podrygujące w spazmach płaczu ramiona.

– Wyrzuty sumienia?

Choć to wyznanie mnie zmroziło, mimo wahania postanowiłam ją przytulić. Wyglądała na nieszczęśliwe, zagubione stworzenie i było mi jej naprawdę żal. Zastanawiałam się, czy po tym, co stało się we Wzgórzu Mgieł, to znaczy po tragicznej śmierci ciotki Hortense, młodziutkiej pokojówce uda się znaleźć zatrudnienie w jakimś innym porządnym domu. Obawiałam się, że szanse na to są mniej niż znikome. Za dziewczyną ciągnęłyby się atmosfera skandalu i plotki, które będą krążyły dopóty, dopóki śledztwo w sprawie zabójstwa mej ciotki nie zostanie zakończone, a morderca ujęty. Żadna szanująca się pani domu z okolicy, którą stać na służbę, nie chciałyby u siebie kogoś, kto miał z tą sprawą jakąkolwiek styczność...

– Anno, jaki jest powód tych wyrzutów sumienia?

Uniosła ku mnie załzawione oczy.

– Nie będzie pani zła?

– Zła? Jakże mogłabym być zła za to, że powiesz mi prawdę?

Dziewczyna odetchnęła. Jej słowa były ciche i drżące od czających się wciąż w jej piersi łez.

– Bo... bo pani jest taka dobra, panienko Madeline! A ja byłam dla pani okropna! To ja wystraszyłam panią w korytarzu, tamtego popołudnia po pani przyjeździe... Raz zamierzałam nawet podrzucić

do pani sypialni martwą mysz. Wyjęłam ją, już zdechłą, z pułapki... Zawinęłam w chustkę i... Zrezygnowałam. Chociaż chciałam rzucić ją na pani łóżko. Życzyłam pani wszystkiego, co najgorsze.

Zacisnęłam usta.

– Czemu to zrobiłaś?

Potrząsnęła głową i kilka ogniście rudych kosmyków zsunęło się na jej zaczerwienioną twarz.

– Byłam wściekła. Nienawidziłam pani...

– Ale dlaczego?!

– Ponieważ Artur mówił tylko o pani – szepnęła dziewczyna. – A wcześniej, zanim panienka przyjechała, był dla mnie taki dobry. Zerwał dla mnie kwiaty... Żartował ze mną w kuchni... Razem jadaliśmy podwieczorki. Wierzyłam, że on... naprawdę mnie lubi.

Odetchnęłam głębiej.

– Jestem pewna, że Artur cię lubi, Anno – rzekłam powoli.

– Ale to panią kocha! – wypaliła Anna i na sekundę spiorunowała mnie szklistym spojrzeniem. – Jeszcze przed panienki przyjazdem mówił tylko o niej... O tym, jak blisko był z panienką w dzieciństwie. O tym, jaka panienka jest ładna, jaka mądra! To wszystko prawda... On... kocha panią, panno Madeline. Czy to przez panią tak nagle się zmienił?

Czułam, że na moje policzki wypłynął nerwowy rumieniec.

– Ze strony Artura to chyba nie jest miłość, lecz jakaś niezdrowa obsesja. On... prawie mnie nie zna. Uroił sobie jakiś obraz mnie przed laty i trzyma się go, choć oboje dorośliśmy – szepnęłam i spojrzałam jej w oczy. – Ale ciebie zna naprawdę. W końcu zrozumie, że ja go nigdy nie kochałam.

– A jeśli nie?! Jeśli nigdy tego nie zrozumie? – spytała Anna z rozpaczą.

Przełknęłam ślinę i mimowolnie pomyślałam o Edmundzie. On

jednak nie pojął swoich błędów. Ani tego, co do niego czułam.

– Miłość to ryzyko – rzekłam do mojej towarzyszki z powagą. – Powierzasz swoje serce drugiemu człowiekowi, który na zawsze pozostanie dla ciebie w jakimś stopniu obcy. Dlatego miłość wymaga odwagi. Ale warto się na nią zdobyć. Nawet jeżeli miałabyś cierpieć... Warto dać sobie szansę na szczęście. Jeśli tego nie zrobisz, to tak, jakbyś stchórzyła.

– Przed miłością?

– I przed samym życiem – rzekłam, dziwiąc się pewności, z jaką wypowiedziałam te słowa.

Anna wytarła nos.

– Chciałabym znów przyjaźnić się z Arturem, tak samo jak...

– ...jak przed moim przyjazdem?

– Tak. – Spojrzała mi w oczy. – Lecz on tak bardzo się zmienił. Jest zimny i nieprzystępny... Warczy na wszystkich. Stroni od ludzi. Zwłaszcza ode mnie.

Zaniepokoiłam się.

– Kiedy zaczął się zmieniać?

Dziewczyna na moment popadła w zamyślenie.

– Chyba jakiś tydzień przed pani przyjazdem. Pewnego dnia wrócił do domu bardzo późno, dopiero nad ranem. Nie było go całą noc. Pachniał whisky...

– Mówił coś wtedy?

– Przyszedł pod moje okno – szepnęła Anna. – Obudził mnie, mocno się zataczał. Mamrotał coś o pani i o tym, że jako dzieci bawiliście się w piratów...

Moje serce zadrżało.

– Naprawdę bawiliście się w piratów, panno Madeline? Nad brzegiem morza?

– Tak – szepnęłam, przełknawszy ślinę. – Przestaliśmy, kiedy

przytrafiło się nam coś złego.

– Mogę spytać, co takiego? – Anna zamrugwała.

Wyciągnęłam dłoń i pogładziłam ją po włosach.

– Fale przyptywu uwięziły nas w jaskini. Opowiem ci o tym kiedyś, innym razem. Pod warunkiem, że zostaniesz tutaj, ze mną i z Rosalind. Że dalej będziesz pracować we Wzgórzu Mgieł.

– Więc mi panienka przebaczyła? – spytała Anna ze wzruszeniem i niedowierzaniem. Pocałowała mnie prędko w rękę, na co uśmiechnęłam się, zaskoczona tym gestem i odrobinę onieśmielona.

– Oczywiście.

## 29. BUKIET

Kiedy znużona długim dniem kładłam się wieczorem do łóżka, liczyłam się z tym, że znów może przyśnić mi się znajomy koszmar – cień strasznych przeżyć z mojego dzieciństwa. Zamiast tego śniłam o Gabrielu Ackroydzie.

Dała o sobie znać spalająca mnie tęsknota za jego bliskością.

Sen był niezwykle plastyczny. Staliśmy przytuleni w cieniu starego drzewa, otoczeni kwitnącymi wrzosowiskami, pod bezkresnym niebem usianym rozlanymi daleko chmurami i wszelkimi odcieniami błękitu – niczym dwie maleńkie postaci wtopione w pastelową akwarelę, mające stanowić drobny punkt ciężkości dla pełnego rozmachu, malarskiego dzieła genialnego impresjonisty. Gabriel pocałował mnie, a potem pociągnął mnie ku ziemi i nagle zanurzyłam się w oceanie wrzosów. Przeturlaliśmy się wśród nich w dół wzgórza, złączeni w uścisku – we śnie wirowaliśmy wokół siebie tak lekko, jakbyśmy tańczyli walca. Śmialiśmy się, aż wirowanie ustało i twarz Gabriela znalazła się tuż przy mojej twarzy. Musnął ciepłymi ustami płatek mego ucha i wyszeptał, że teraz będziemy mogli być razem na zawsze...

Obudziłam się z głębokim żalem, że to był tylko sen, lecz rozczarowanie trwało zaledwie chwilę. Jeszcze na moment zamknęłam oczy, żeby pod powiekami przywołać obraz twarzy ciemnookiego mężczyzny. Potem spojrzałam za okno, za którym światło migotało w liściach parkowych drzew. W gałęziach pogwizdywały i ćwierkały ptaki. Moje serce zaczęło bić szybciej. Zza

okna napływała cudowna świeżość letniego poranka – ostatnie pasemka mgły topniały w promieniach słońca niczym płynne złoto. Poczułam przypływ nadziei i milczących obietnic, jakie oferował nowy dzień. Wszystko, co wydarzyło się od wczorajszej nocy, zdawało się tylko pierzchającym koszmarem. Czy taka była moc przebaczenia? Czy to dlatego, że wybaczyłam Annie, czułam tę lekkość oraz radość w sercu? A może dlatego, że mimo przeszłych rozczarowań wbrew wszystkiemu zakochałam się w kimś i byłam kochana?

W długiej nocnej koszuli wyskoczyłam z łóżka. Nie, nie śmiałam przyznać otwarcie, nawet przed sobą, że ta milcząca więź z Gabrielem Ackroydem może zmienić się w prawdziwą miłość. Zresztą, czy takie wyznanie było konieczne? Zdawało mi się, że najgłębsze prawdy na tym świecie nie potrzebują słów, by zostać ujawnione...

Umyłam się i włożyłam suknię – tego dnia zamiast żałobnej czerni wybrałam delikatnie fioletowy, liliowy kolor. Było wcześniej – przed śniadaniem miałam ochotę przejść się po ogrodzie i pooddychać świeżością nowego dnia.

Otworzyłam drzwi domu – robiąc krok na ganek, nieomal potknęłam się o ogromny bukiet kwiatów przewiązany błękitną jedwabną wstążką. Podniosłam bukiet i dostrzegłam przyczepiony do niego bilecik z moimi inicjałami: M.H.

Zanurzyłam nos i policzki między aksamitne płatki i przez chwilę chłonełam delikatny zapach. Rozpromieniona, z bukietem w dłoniach wróciłam do salonu, żeby poszukać wazonu. Natknęłam się wprost na Rosalind.

– Jakie piękne! – westchnęła z rozmarzeniem służąca. Wyglądała nieomal pogodnie – chyba jej również udzieliła się radosna aura tego dnia.

– Znalazłam je pod drzwiami – powiedziałam, ostrożnie tuląc

kwiaty. – Ktoś musiał je zostawić na ganku nad ranem.

– Chyba domyślałam się, kim jest ów „ktoś” – powiedziała Rosalind tajemniczo, z figlarnym błyskiem w oku. Speszyłam się odrobinę i poczułam lekki rumieniec. Czy naprawdę to wszystko było aż tak widać?

– Czyżby? Kto to taki? – Nabrałam ochoty, żeby poprzekomarzać się ze starszą panią i nieco poprawić jej humor.

– Sądzi panienka, że nie wiem? Pan Clark, oczywiście!

– Clark? – powtórzyłam. Musiałam wyglądać na zbitą z tropu. Rosalind chyba sądziła, że się z nią drocę.

– Ta mina mnie nie zmyli, panienko Madeline! – oznajmiła radośnie. – Proszę się nie martwić, sprzyjam panu Clarkowi całym sercem! – Dotknęła mojej dłoni. – To taki szarmancki i przystojny mężczyzna. I nic mu nie brakuje: ani majątku, ani wykształcenia! Tak samo jak i mojej panience! – Wzięła ode mnie bukiet, żeby wlać kwiatom wody. – Będą pięknie się prezentować w kryształowym wazonie! Umieścić je w salonie czy w panienki pokoju?

– Ekhm... Może ustaw je na komodzie w salonie?

Spuściłam zbitę z tropu spojrzenie na delikatne kwiaty i moje serce zamarło. W pierwszej chwili tak ucieszyłam się z tego niespodziewanego podarunku, że żadna smutna myśl nie miała do mnie przystępu. Dopiero teraz przyjrzałam się kwiatom bliżej...

Ich cudne, delikatnie pastelowe kolory: róże, błękity i kremowa biel układały się we wspaniałą kompozycję, która przypominała pastelowe niebo z mojego dzisiejszego snu. Tu i tam drobne języki wrzosów wpleciono między koliste, pełne kwiatostany, delikatne jak chmurki... Moje serce biło coraz szybciej.

– Coś się stało? – spytała Rosalind, patrząc mi w twarz.

Przełknęłam ślinę.

– To hortensje... – wyszeptałam z powagą.



– Och! – Służąca drgnęła, jak gdyby ona również dopiero w tej chwili zwróciła na ten fakt uwagę. Pokręciła głową. – To nic, panienko Madeline. Przecież są takie piękne... Lady Hortense je kochała... – Kobieta lekko zacisnęła usta. – Mężczyźni rzadko kiedy znajdują się na kwiatach.

Zabrała bukiet, żeby włożyć go do wazonu, a ja usiadłam na szeszlunku w salonie i zapatrzyłam się w okno.

Czy to jakiś obłąd?!

Dlaczego we wszystkim dopatruję się ukrytych znaków, niedopowiedzeń, a może nawet wskazówek? I to od kogo?!

Rzecz jasna od mordercy!

Mimo że próbowałam walczyć z intuicją, nie mogłam oprzeć się przejmującemu wrażeniu, że dobór kwiatów do tego bukietu to nie był przypadek. Hortensje – kwiaty, których nazwa brzmiała dokładnie tak samo jak imię mojej ukochanej ciotki!

Ciotki, która niespełna miesiąc temu została uduszona paskiem od torebki!

I jeszcze ten bilecik z moimi wykaligrafowanymi inicjałami!

Nawet on wydawał mi się podejrzany.

Czy ten ogromny bukiet przed moimi drzwiami zostawił w nocy zakochany mężczyzna – Gabriel Ackroyd lub też, jak twierdziła Rosalind, Clark Cagwar? A może jego nadawcą i doręczycielem był ktoś zupełnie inny? Ktoś o bardziej mrocznych, chorych zamiarach? Ktoś, kto próbował w ten sposób mnie zastraszyć i bawić się mną niczym kot swą ofiarą? Ktoś, kto już raz zostawił mi krótki anonim, a teraz poprzez grę pozorów chce dalej mnie dręczyć?

Patrzyłam na bilecik zmartwiałym wzrokiem i czułam, że przestaję być panią własnych myśli. Nie widziałam już na eleganckim papierze moich własnych inicjałów.

M.H.

Madeline Hyde...

Jakaś cząstka mnie, przestraszona, niepewna i podejrzliwa, dostrzegła w tych dwóch literach zakamuflowany skrót, upiorny podpis kogoś, kto przyniósł ścięte kwiaty, przyszedłszy pod drzwi tego domu z ciemności na wrzosowiskach.

M.H.

Morderca Hortense.

\* \*

Na krótko tylko udało mi się uwolnić myśli od niczym niepopartych podejrzeń, ponieważ temat tajemniczego bukietu powrócił po śniadaniu. W trakcie rozmowy Rosalind przypomniała mi przypadkiem, że dziś sobota, a ja, nieco zaskoczona, zdałam sobie sprawę, że jestem umówiona na kolację z Clarkiem. Miał przyjechać po mnie o szóstej.

– I panienska jeszcze się zastanawiała, kto zostawił kwiaty pod drzwiami? – uśmiechnęła się Rosalind z lekkim niedowierzaniem. – Przecież to oczywiste, że to pan Clark! Zaprażył od rana umilić mojej paniencie dzień, skoro macie spotkać się dzisiaj wieczorem! – Służąca wydawała się zachwycona tą perspektywą i w zasadzie się jej nie dziwiłam. Clark był naprawdę czarującym mężczyzną i wspaniałym towarzyszem, na którego zawsze mogłam liczyć. W dodatku Rosalind nie wiedziała nic ani o moich zerwanych zaręczynach z Edmundem sprzed paru miesięcy, ani też najwyraźniej o uczuciu, jakie zrodziło się między mną a Gabrielem Ackroydem.

Postanowiłam, że spróbuję zasugerować jej to i owo, żeby na przyszłość uniknąć ewentualnych niezręczności. Nie miałam ochoty być z nikim swatana – nawet w marzeniach mojej Rosalind...

Mimo wszystko wydobyć z siebie głos w tej sprawie okazało się jeszcze trudniejsze, niż przypuszczałam. Parę razy wzięłam głębszy

oddech – tylko po to, żeby ostatecznie ciężko westchnąć.

– Panienska chce coś powiedzieć? – spytała służąca uprzejmie.

Lekko się zarumieniłam.

– Cóż, jestem prawie pewna, że bukietu nie przysłał pan Cagwar. –  
Lekko wzruszyłam ramionami.

Kobieta w fartuchu zamrugwała z niezrozumieniem.

– A któżby inny, panienko? – Przycupnęła na chwilę na brzegu  
najbliższego krzesła.

Odchrząknęłam.

– Jest ktoś... kogo spotkałam w dniu przyjazdu do Torquay.

– Na stacji kolejowej? – Rosalind zrobiła wielkie oczy.

– Nie, nie na stacji...

– Jak ten mężczyzna się nazywa, panienko?

Potrząsnęłam głową.

– Nie mogę powiedzieć. Na to jeszcze za wcześnie, Rosalind –  
wyrzekłam cicho to, co właśnie czułam.

Tym razem nie chciałam się spieszyć. Zbyt wiele bólu i wstydu kosztowało mnie ogłoszenie moich zaręczyn z Edmundem, które ten ostatni zerwał krótko przed planowanym ślubem, żeby teraz głośno oznajmiać światu zakochanie. Do mego serca wkradł się jakiś zabobonny strach przed utratą znalezionej szczęścia – bałam się, że zdradzenie choćby imienia ukochanego może być z mojej strony tajemniczym wykroczeniem przeciwko nieubłaganemu losowi. W głębi duszy czułam, że Gabriel kocha mnie naprawdę i że oświadczy się prędzej czy później, ale dopiero kiedy to nastąpi, powiem innym o naszej miłości. Do tej pory miałam zamiar strzec jej niczym pięknego kwiatu, który musi wykiełkować w czeluściach ziemi, w ciemności, z daleka od ludzkich spojrzeń, po to, żeby móc potem wspaniale rozkwitnąć w jasnych promieniach słońca...

Widziałam, że Rosalind jest rozczarowana moim postanowieniem.

Jej ciekawość tylko wzrosła.

– Ma się rozumieć, że to dżentelmen, panienko Madeline? – spytała nieśmiało, z nutką strachu o mnie.

– Oczywiście! Jest szarmancki, kulturalny, wykształcony... Pięknie gra na pianinie... Opiekuńczy, a przy tym zdecydowany. Czasem milczący, ale to dlatego, że naprawdę potrafi słuchać.

– Posiada majątek? – spytała wprost służąca.

– Tak sędzę. Jest dziedzicem rodzinnej fortuny – odpowiedziałam. – A nawet gdyby nie miał pieniędzy... ostatecznie ja mam ich teraz pod dostatkiem. – Uśmiechnęłam się.

– Panienko Madeline, proszę nie żartować z takich rzeczy! – rzekła z troską w głosie Rosalind, mnąc w palcach rąbek fartucha. – Proszę mi wierzyć, wiele już w życiu widziałam... Mężczyzna musi mieć pieniądze i kropka. I to najlepiej takie, które potrafi sam zarobić dzięki wykształceniu – w przeciwnym razie z czasem stanie się awanturnikiem albo nieznośnym tyranem dla swej małżonki... Ach, i jeśli w grę wchodzi małżeństwo, w żadnym razie nie powinien być skąpy! Niech Bóg panienkę ochroni przed pójściem za skąpca! – zaklęła mnie Rosalind z przejęciem.

– Spokojnie. – Uśmiechnęłam się znowu. – Jeszcze nie wybieram się za mąż. Ale zapamiętam twoje rady.

– „Jeszcze”? – powtórzyła Rosalind z tajemniczym uśmieszkiem. – A więc myśli o tym panienka!

– Ja... – Moje słowa utonęły w milczącym uśmiechu. Wyraził on więcej, niż chciałam. Rosalind odczytała prawdę w mojej twarzy. W jej oczach rozbłyły nagle iskierki, których nie widziałam od śmierci Hortense.

– Mój Boże! – szepnęła i wyciągnęła pulchną dłoń, by na moment dotknąć mojego policzka. Pogładziła go z wyzierającą spod powściągliwych manier czułością. – Moja panienka Madeline się

zadurzyła!

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– A on? Czy kocha panienkę? Czy jest wart panienki uczucia?

– Tak sędzę. Mówi, że mnie kocha.

– A jego czyny? To ważniejsze niż słowa...

– Opiekuje się mną... Chce mnie chronić. Wierzy we mnie bardziej niż ja w siebie.

Rosalind rozpromieniła się nagle.

– To cudownie... To wspaniale, panienko Madeline! Tylko jednej rzeczy nie pojmuję...

– Mianowicie?

– Skoro jest tak, jak panienka mówi, to po cóż trzymać tę sprawę w sekrecie?

Przełknęłam ślinę.

– Jesteśmy w żałobie. Poza tym nie chcę dawać teraz ludziom kolejnego powodu do plotek.

– Panienko Madeline... – Rosalind spojrzała mi prosto w oczy. – Ludzie już plotkują. Tylko że o panu Clarku i o pani...

## 30. SAMOTNA WYSEPKA

Kompletnie nie wiedziałam, jak mam ubrać się na tę kolację. Przede wszystkim nie mogłam zdecydować nawet, którą suknię włożyć...

Z jednej strony byłam w żałobie – w moim stroju nie mogło zabraknąć więc żałobnych akcentów.

Z drugiej strony wiedziałam, że Clark chce miło spędzić wieczór – to znaczy oderwać się od żałoby i smutku.

Ja też tego pragnęłam.

Jednak rzeczywistość nakazywała, bym wyjaśniła tę sytuację. Mnie i Clarka czekała prawdopodobnie poważna rozmowa... Wszystko zależało od tego, jak potoczy się nasze spotkanie.

Stałam przed ogromnym owalnym lustrem, przykładając do szyi delikatną kolię z drobnych pereł, i mimowolnie lekko przygryzłam usta. Po raz kolejny rozważałam w myślach poranne słowa Rosalind.

Czy naprawdę istniały podstawy ku temu, by moja przyjaźń z Clarkiem stała się tematem plotek? A jeśli tak, to czemu wcześniej tego nie dostrzegłam? I co najważniejsze: czy sam zainteresowany mógł uważać owe plotki za uzasadnione?

Westchnęłam. Czyżbyśmy oboje, ja i Clark, pomylili się wzajemnie co do swoich intencji odnośnie do naszej znajomości? Przykładając do ciała jedną z sukien, przypomiinałam sobie nasze rozmowy, uśmiechy i rozmaite sytuacje – całe wsparcie, jakiego Clark udzielił mi po śmierci cioci Hortense i jakiego on również szukał we mnie po śmierci swojej ciotki, pani Flory Jones... Poczułam dziwną obawę. Czy możliwe, że ja sama dałam Clarkowi nadzieję na to, że coś może

wydarzyć się między nami? Czy naprawdę byłam aż tak płocha i nierozważna?

Z niepokojem i budzącymi się w duszy wątpliwościami analizowałam własne myśli tak samo jak kolejne stroje. Swoim ubiorem nie chciałam dać Clarkowi niemądrego powodu do złudzeń na temat moich uczuć względem niego. Suknie, które przywiozłam ze sobą z Londynu, jedna po drugiej opadały rzucone na łóżko. A to wieczorowy dekolt zdawał mi się zanadto wyzywający, to tren zanadto powłóczysty, a to znów koronki przy mankietach wyglądały nieco zbyt zalotnie...

Oczywiście nie byłyby nadmiernie zalotne, gdybym spotykała się z Gabrielem.

Tęskniłam za nim bardzo i było mi żal, że dzisiejszy wieczór upłynie mi bez niego. Mimo wszystko zamierzałam postarać się dobrze bawić... na tyle, na ile było to możliwe w obecnych okolicznościach.

Czy powinnam powiedzieć Clarkowi o tym, czego dowiedziałam się wczoraj u doktora Watsona? O strychninie, o objawach zatrucia rtęcią, możliwych do zauważenia u ciotki Clarka, a także o fosforze, który mógł wejść w reakcję z ludzkim ciałem, jeśli naprawdę został połknięty przez panią Florę?

A może lepiej na razie zachować to dla siebie? Przynajmniej do czasu, kiedy doktor Watson zbada zawartość rtęci w próbce, którą mu zostawiłam?

Te wszystkie pytania zadawałam sobie w myślach, kiedy Rosalind pomagała mi zasznurować gorset, a potem cierpliwie upinała moje niesforne włosy w elegancki kok. Na szyi zawiesiłam drobne perły – ich subtelna symbolika nawiązywała do łez trwającej żałoby, ale jednocześnie się nie narzucała. Ostatecznie włożyłam suknię w szarosrebrnym odcieniu, o dość prostym kroju, z małymi bufkami

i krótkim trenem, na którego krańcu pieńta się pojedyncza koronkowa falbana... Na głowę założyłam ten sam czarny kapelusz z woalką z perełkami i kilkoma strusimi piórami, który miałam na sobie na pogrzebie...

Clark zjawił się chwilę przed czasem – kiedy schodziłam na dół po łuku dębowych schodów, już czekał na mnie w salonie. W czarnym smokingu i śnieżnobiałej koszuli, z cylindrem pod pachą, prezentował się wspaniale i tak elegancko, że odrobinę zbiło mnie to z tropu. Zdecydowanie nie zanosilo się na kolację dwojga przyjaciół. Gdziekolwiek Clark zabierał mnie tego wieczoru, musiało być to wykwintne i szykowne miejsce.

– Madeline, wyglądasz cudownie – powiedział, składając na kostkach mej dłoni pocałunek. Jego intensywnie niebieskie oczy przypominały połyskujące szafiry. Pomyślałam, że byłyby zdolne oczarować niejedno niewieście serce.

– Dokąd się wybieramy? – spytałam ze słabym uśmiechem.

– To tajemnica. Chcę, żebyś wyrwała się na chwilę z... tego miejsca.  
– Clark rozejrzał się wymownie dookoła, jak gdyby w salonie nadal był wyczuwalny przykry odór śmierci, a on w głębi duszy dziwił się, że jeszcze nie sprzedałam domu. – Musisz obiecać mi tylko, że będziesz głodna.

– Już jestem – skłamałam, ponieważ jakaś cząstka mnie nie chciała go zawieść, podczas gdy każda sekunda upływająca teraz w jego towarzystwie dawała mi pewność, że doznanie przez niego zawodu odnośnie do mojej osoby jest nieuniknione.

Już niebawem mknęliśmy automobilem drogą w kierunku Torquay. Byłam przekonana, że nasze spotkanie stanie się przyczynkiem do niedwuznacznych plotek krążących po miasteczku, ale nie tym się martwiłam.

– Wydajesz się spięta – zauważył Clark.



– Tylko odrobinę zmęczona – odparłam.

– Więc chcę, żebyś odpoczęła. Zapomnij dziś o problemach, Madeline. Ciesz się końcówką lata, zanim ono przeminie...

Mój towarzysz zaparkował automobil przy wejściu do portu. Widziałam, jak wcisnął kilka banknotów w garść młodego chłopaka, który miał pilnować pojazdu. Clark podał mi ramię. Szliśmy chwilę w milczeniu wśród wydłużających się cieni i jasnych żaglówek wczasowiczów ozłoconych popołudniowym słońcem. Wstąpiliśmy na długie drewniane molo, na którego końcu oczekiwał parostatek z napisem „Stokrotka”. Odkąd pamiętałam, latem krążył on między Torquay a pobliską wysepką z latarnią morską i pensjonatem.

Bliskość morza z każdą chwilą niezauważalnie poprawiała mi humor. Na pokład wstąpiło jeszcze kilka par oraz rodzina z trójką dzieci – większość pasażerów stanowili zakochani. Zapewne w ich oczach Clark i ja idealnie wpasowywaliśmy się w tę grupkę młodych kobiet i mężczyzn wymieniających uśmiechy oraz półszeptane słowa i karmiących żarłoczne mewy kawałeczkami chleba... Staliśmy obok siebie i patrzyliśmy za burtę, ku otwartemu oceanowi za załomami klifów zatoki. Clark swoim zwyczajem opowiadał o czymś z zapałem, lecz ja skupiałam się na jego słowach tylko o tyle, żeby całkiem nie stracić wątku. Na szczęście niebawem para buchnęła z sykiem z podwójnego komina statku, odezwał się charakterystyczny gwizdek i wielkie koła łopatkowe po obu burtach „Stokrotki” zaczęły szatkować powierzchnię błękitnej wody. Hałas praktycznie uniemożliwiał rozmowę. Siedliśmy na drewnianej ławeczce, żeby podziwiać widoki i obserwować narzucające się dzieciom nienasycone mewy, które zręcznie porywały rzucane im skórki od chleba.

Rejs nie był długi, ale bardzo przyjemny. Kiedy schodziliśmy z pokładu, byłam Clarkowi wdzięczna z całego serca, że mnie ze sobą

zabrał.

– Widzę, że znowu się uśmiechasz – rzekł z zadowoleniem mój towarzysz.

– Kocham morze – wyznałam.

Clark popatrzył na czyste niebo i spokojnie pluszczące fale.

– Sądząc po pogodzie, myślę, że ta miłość jest odwzajemniona.

Natychmiast wyczułam w jego słowach aluzję i speszona odwróciłam wzrok.

Okazało się, że oprócz staromodnego hoteliku na wysepce otwarto również kilka małych kafejek i restaurację. Ta ostatnia znajdowała się obok latarni morskiej i miała wspaniały drewniany taras, gdzie pod markizami znajdowały się trzy rzędy przykrytych śnieżnobiałymi obrusami stolików. Wybraliśmy jeden z nich – w bocznej części tarasu, z cudownym widokiem na morze. Do portu musiały być stąd jakieś cztery mile, lecz w linii prostej odległość od stałego lądu była mniejsza. Do zachodu słońca zostało około dwóch godzin i wówczas właśnie nasz mały stateczek miał wyruszyć w ostatni tego dnia rejs do Torquay.

Zamówiliśmy przystawki i zupę, a na danie główne rybę według przepisu szefa kuchni. Clark zapytał, czy mam ochotę na wino – zgodziłam się pod warunkiem, że poprzestaniemy na jednej, najwyżej dwóch lampkach. Miałam nadzieję, że parę łyków wina pomoże mi się zrelaksować, a w razie potrzeby – łatwiej zdobyć się na konieczną szczerą wobec mojego towarzysza.

To późne popołudnie, łagodnie przechodzące w letni wieczór, było naprawdę urocze. Rozmawialiśmy, patrzyliśmy na morze, a ja coraz częściej szczerze się śmiałam. Na podeście niedaleko tarasu zaczął przygrywać kwartet smyczkowy, zwracając uwagę przystających spacerowiczów. Smyczki zdawały się ledwie muskać struny skrzypiec i kontrabasów, dobywając z nich płynące w przestrzeń miłe dźwięki.

Czas płynął niezauważalnie. I wtedy, w samym środku rozmowy, Clark nagle nachylił się nad stolikiem i mnie pocałował.

Musiałam zebrać myśli, żeby oderwać od niego usta – kompletnie zszokowana. Czułam, że moją twarz pokrył ostry rumieniec. Clark mógł wziąć to za wyraz emocji, lecz ja poczułam się jak oszustka, którą ktoś przyłapał na gorącym uczynku. Miałam ochotę uciec. Poderwałam się z krzesła, a on lekko chwycił mą dłoń.

– Madeline...

Usiadłam.

– Nie powinieneś był tego robić...

Zdawał się nie słyszeć moich słów. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Madeline, czy wyjdiesz za mnie?

– Co takiego?!

Moje serce łomotało w piersi.

– Spytałem, czy za mnie wyjdiesz.

– Ależ... nie! – Zabrakło mi tchu. Spanikowałam. – Clark, mylisz się co do mnie... – zaczęłam cicho, potrząsnąwszy głową. – To nie tak, jak wygląda...

– Co nie jest takie, na jakie wygląda?

– Wszystko! To znaczy nic! Nic nie jest takie, jak wygląda! A ty nie możesz mnie o to prosić! Nie mogę wyjść za ciebie!

Był cierpliwy.

– Madeline, wiem, że jesteś w żałobie...

– Nie o to chodzi!

– Więc o co?

Spojrzałam mu w oczy.

– Jest inny mężczyzna. Kocham go. Kocham... kogoś innego.

– Madeline... – Ujął mą dłoń i zaczął mówić z czułością, która budziła we mnie straszne wyrzuty sumienia:

– Wiem o twoim narzeczonym z Londynu... Twoja świętej pamięci

ciotka powiedziała o wszystkim swojej przyjaciółce Florze. Wiem, że ten głupiec cię porzucił. Sądziłem jednak, że twoje uczucia do niego wygasły.

– Nie chodzi o Edmunda... – wyszeptałam zdesperowana.

– Więc o kogo?

– Nie mogę powiedzieć!

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Jedno i drugie!

Teraz Clark zrobił poważną minę. Jego niebieskie oczy na moment stały się chłodne.

– Madeline, zostawmy ten temat. Widzę, że nie jesteś dziś sobą... Znowu to robisz.

– Co takiego? – spytałam.

Westchnął głęboko.

– Znów to samo – powtórzył. – Mówisz o kimś, jakby tutaj był. Twierdzisz, że to tajemnica.

– Bo on ma tajemnicę! – wybuchłam niespodziewanie, a w oczach stanęły mi łzy.

– „On”? Na Boga, Madeline, czy mówisz o mordercy?

– Ależ skąd!

Buzowały we mnie sprzeczne emocje i rozmaite myśli. Odetchnęłam głęboko.

– Przepraszam, Clark. Masz rację, nie jestem dziś sobą.

Cofnęłam dłoń, po którą spróbował sięgnąć.

– Tak samo zachowywałaś się tamtego wieczoru – powiedział z głębokim smutkiem.

– Kiedy? – spytałam, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– W noc śmierci ciotki Flory i lady Hortense. Sądziłem wówczas, że to efekt stresu, szoku wywołanego dwoma nagłymi zgonami, których byłaś najwrażliwszym świadkiem... Widzę jednak, że ten

stres do ciebie wraca. – Popatrzył na mnie, jakbym była chora. – Nadal przeżywasz to, co się stało w noc seansu, prawda?

Poczułam impuls bezsilnej złości, a jednocześnie pragnienie, żeby mnie zrozumiał. Było tak, jakbym nagle pojęła, że każde z nas patrzy na te same, straszne wydarzenia upiornej nocy sprzed tygodni z całkiem odmienną perspektywą.

– Oczywiście, że wciąż to przeżywam! – wyszeptałam z nutką goryczy. Poczułam, że moje dłonie samoistnie się zaciskają. – I będę to przeżywać, dopóki nie odkryjemy mordercy!

– „Odkryjemy”? – Clark uniósł jedną brew. – Madeline, to nie jest zadanie dla nas, tylko dla policji!

– Policja nic nie wie! – wybuchłam znowu, nachylając się nad stolikiem. Starłam się ściszyć głos i byłam wdzięczna muzykom, że częściowo zagłuszali moje słowa oraz odwracali uwagę spacerowiczów od naszej dwójki. – Policjanci nie wiedzą nic o otruciu pani Flory, o tym, że mogła połknąć fosfor! Ani o efektach zatrucia rtęcią, o zmianie charakteru pisma! Nie wiem nawet, czy są świadomi, że w jej lekach mogła być strychnina! Więc jak mają schwycić zabójcę?!

W pomarańczowym świetle zachodu na twarzy Clarka dostrzegłam grymas zawahania. Musiał poczuć się oszołomiony moimi rewelacjami.

– Kto ci to wszystko powiedział?

– Doktor Watson.

Przełknął ślinę i zobaczyłam, jak jabłko Adama na jego szyi szybko poruszyło się w górę i w dół. Potrząsnął głową i przetarł twarz dłońmi.

– Madeline, proszę, powiedz, że to mi się tylko wydaje... Czy ty właśnie wspomniałaś o postaci z detektywistycznej powieści?

– Mówię o doktorze z miasteczka! Nie pamiętasz go? Pomagał

policjantom.

– Nie pamiętam, jak się przedstawiał...

– Nazywa się Watson.

Zacząłam tłumaczyć zmieszanemu Clarkowi, co powiedział mi lekarz... tak cicho i rzeczowo, jak tylko potrafiłam. Słuchał z uwagą, lecz widziałam, że marszczy brwi z niedowierzaniem. Lekko zaciskał usta. Kiedy przerwałam, żeby zaczerpnąć oddechu, wziął mnie za rękę spoczywającą na krawędzi stołu. Tym razem nie oponowałam.

– Madeline... – rzekł z powagą, zamykając mą dłoń w swoich dużych i silnych dłoniach. – Sądzę, że nie powinnaś wspominać nikomu o tym, co powiedział ci ten lekarz. Czy ktoś jeszcze o tym wie?

Przecząco pokręciłam głową.

– I niech tak zostanie. Obawiam się, że w twoim obecnym stanie... podzielenie się z kimś jeszcze tymi informacjami, w szczególności z policją, mogłoby tylko podważyć twoją wiarygodność.

Drgnęłam.

– Nie wierzysz mi?

– Oczywiście, że wierzę – zapewnił. – I dziękuję ci za zaufanie. Co więcej, jeżeli zechcesz, sam w twoim imieniu mógłbym powtórzyć inspektorowi to wszystko, co zasugerował ci doktor. Niech to sprawdzą. Jeśli dzięki temu masz być spokojniejsza... – Clark zawiesił głos i znów spojrzał mi prosto w oczy.

– Dziękuję... – szepnęłam wzruszona. – Będę ci wdzięczna, jeśli pomówisz o tym z inspektorem Langleyem. Nie wiem, co powiedzieć... – Spuściłam wzrok. – Jesteś wspaniałą. Pewnie jestem jedyną dziewczyną na świecie, która mogłaby tak zareagować na twoje oświadczenia... Wybacz mi... ja...

– Ciii. – Uśmiechnął się lekko, z nutką smutku, ale i nadziei. –

Spokojnie, Madeline. Jestem cierpliwym człowiekiem. Tak łatwo nie odpuszczam. Potrafię zaczekać na dobry moment. Wierzę, że dziś to po prostu nie był jeszcze odpowiedni czas. Za bardzo się pospieszyłem. Ale naprawię to. Poczekam na twoją miłość.

Nieomal żałowałam, że musiałam wyszeptać:

– Kocham innego.

– Więc zobaczymy, czyja miłość wygra bitwę o twoje serce. – Blondyn mrugnął do mnie jednym okiem z rozbijającą pewnością siebie i nadzieją, którą wbrew własnej woli pragnęłam mu dać. Jego szczodrość oraz spokój, z jakim przyjął odmowę, wzbudziły mój podziw i natchnęły ufnością.

– Życzę ci wszystkiego, co najlepsze – szepnęłam z głębi serca.

– A ja tobie.

Powietrze rozdarł wysoki dźwięk kapitańskiego gwizdka. Clark zerknął na tarczę kieszonkowego zegarka na łańcuszku.

– „Stokrotka” odpływa za kwadrans – oznajmił, wstając od stolika.

– Pójdę uregulować rachunek.

– Wobec tego ja przejdę już na brzeg i popatrzę na morze.

– Nie odchodź tylko zbyt daleko.

– Oczywiście.

Zebrałam suknię i po drewnianych stopniach zeszłam z tarasu restauracji wprost na improwizowaną promenadę, przy której rozstawiono podest dla muzyków. Na promenadzie wzbierał coraz gęstszy tłumek. Jedni wczasowicze spieszyli do pensjonatu „Pod Kotwicą”, inni na pobliskie molo, przy którym cumowała „Stokrotka”. Znajoma rodzina z trójką dzieci wchodziła właśnie na pokład.

W zamyśleniu spoglądałam na szemrzącą miarowo wodę, na którą kładły się opalizujące, pomarańczowe i czerwone błyski zachodzącego słońca. Łagodne fale obmywały kamienie i piasek,

a także burty kilku łodzi przy krótkim skalnym nabrzeżu. Znowu minęło mnie kilka osób – za plecami przechodzącej pary dostrzegłam drewnianą łódź, wyglądającą na rybacką – z tym wyjątkiem, że na dziobnicy miała zawieszoną zapaloną, przeszkloną latarnię, która rozsiewała złote światło. W cieniu przy łodzi stał mężczyzna z drugą taką samą lampą w dłoni. Podeszłam o krok pod wpływem impulsu i zamarłam. Z cienia cylindra przyglądał mi się Gabriel Ackroyd!

Moje serce zabiło jak szalone, z mieszaniną radości i niepokoju.

Podbiegłam do niego na palcach.

– Co tu robisz? – spytałam, wpadając mu w ramiona. Owionął mnie jego zapach, podobny do zapachu oceanu. Pocałował mnie w czoło.

– Ty mi na to samo odpowiedz, Madeline.

Speszyłam się.

Czy Gabriel widział mnie z Clarkiem?

Przeniknęło mnie ukłucie zimna.

Musiał nas widzieć.

Moje serce biło coraz szybciej.

Czy widział to, jak Clark mnie pocałował? I nasze dłonie splecione przed chwilą na tle śnieżnej bieli obrusu, i mnie pochylającą się ku mężczyźnie, który dziś mi się oświadczył?!

Gardło ścisnął mi gwałtowny strach.

Popatrzyłam na zadumaną, smutną twarz Gabriela i przeraziłam się, że go stracę...

– To nie tak, jak myślisz... – wyszeptałam. – Musiałam wyjaśnić pewną sprawę z Clarkiem.

– I wyjaśniłaś?

Przełknęłam ślinę.

– Tak. – Skinęłam głową.



W ciemnych oczach Gabriela gościł bezbrzeżny smutek. Jego twarz wydawała mi się bledsza niż zwykle.

– Może jednak powinnaś wybrać inaczej, Madeline.

– Inaczej?

– Wybrać mężczyznę, z którym będziesz na zawsze.

– Chcę być na zawsze z tobą! – wyszeptałam z szeroko otwartymi oczami. – Tylko z tobą!

Spojrzał mi w oczy – tak głęboko, że jego wzrok dotarł do czeluści mej duszy. Poczułam się więźniarką tego spojrzenia. Było upojne, hipnotyczne, przemożne... Miałam wrażenie, że tonę w tych czarnych oczach – i już nie jestem panią samej siebie.

– Więc wybieraj. On albo ja. Zostań z nim. – Gabriel wskazał na łódź. – Albo odpłyni z mną.

Obejrzałam się za siebie tylko na sekundę. Clark nie wyszedł jeszcze z restauracji. Odwróciłam się znów do Gabriela – jego oczy mnie hipnotyzowały, a światło lampionu wabiło jak ćmę. Słońce chyliło się coraz niżej ku zachodowi. Lada chwila miało dotknąć linii horyzontu.

– Płynę z tobą – szepnęłam i chwyciłam jego wyciągniętą ku mnie dłoń. Pomógł mi wsiąść do łodzi i podał mi lampion. Nasza łódka w jednej chwili odbiła od brzegu. Gabriel usiadł naprzeciwko mnie i zaczął wiosłować.

Rytmiczny chlupot wody i szept wieczornych fal otoczyły mnie jak najśłodsza muzyka.

## 31. JASKINIA

Nasza łódź lekko tańczyła na falach, które połyskiwały czerwonymi jak krew odblaskami. Karminowe łuny płonęły na niebie, po którym przesuwały się ciemne sylwetki szybujących mew. Miałam wrażenie, że cały ocean jest toczony przez pożar – taki jak ten, który gościł w moim sercu. Nigdy dotąd nie byłam sam na sam z Gabrielem tak daleko od wszystkiego i od wszystkich. Czas się zatrzymał, nic już się nie liczyło. Istnieliśmy tylko my – wpatrzeni w siebie, zasłuchani w wieczorne westchnienia morza, ogarnięci jego miarowym kołysaniem... Nasze ciała łagodnie balansowały we wspólnym rytmie. Nasze kolana stykały się ze sobą poprzez materiał ubrań, nasze dłonie czasem muskały się w powietrzu, kiedy ja wskazywałam coś za burtą, a Gabriel bez cienia wysiłku obracał wiosło. Przeszklona latarnia zawieszona u dziobu i druga, stojąca na rufie, rozpalały się coraz mocniej. Przed nami, w promieniach zachodu wysokie klify bielejące jak kości wyrastały coraz wyżej ku niebu. Wolno, lecz nieubłaganie zbliżaliśmy się do brzegu – ale nie do portu – a ja rozpoznawałam tę okolicę...

– To plaża niedaleko Wzgórza Mgieł – powiedziałam. – Z tych klifów prowadzi prosta ścieżka do domu ciotki Hortense...

– Do domu, który jest teraz twój. – Gabriel poprawił mnie łagodnie.

– Tak – szepnęłam. – Jako dzieci bawiliśmy się tutaj z Arturem. Niedaleko są stare, strome schodki prowadzące na szczyt, które podobno wykuli przed wiekami piraci. Wiedziałaś o tym?

Skinął głową.

– To dlatego płyniemy właśnie tutaj... Wiele lat temu słyszałem tę starą legendę o piratach, ale nie pamiętam jej już dokładnie. Znasz ją, Madeline?

Przytaknęłam.

– Wydaje mi się, że to lokalna opowieść, którą straszy się dzieci, żeby same nie zapuszczały się nad brzeg morza – powiedziałam. – Podobno w czasach swojej wczesnej młodości słynny pirat nazywany el Draque – wymówiłam z emfazą hiszpański przydomek sławnego angielskiego korsarza, a później admirała, Francisca Drake’a – dowodzący okrętem „Judith” łupił liczne statki hiszpańskie wzdłuż wybrzeży Nowego Świata. Na jednym z nich znajdował się przeklęty skarb Indian, który z Ameryki zabrali Hiszpanie. Ów skarb sprowadził klątwę na kapitana. Kiedy el Draque wracał do Anglii, blisko tych brzegów „Judith” zaczęła tonąć. Na szczęście załódze udało się uratować. Resztki skarbu sprowadzone z idącego pod wodę żaglowca zostały ukryte w jaskini u stóp tych klifów. Z groty przez wieki korzystali inni piraci... Jednak żaden z nich nie śmiał tknąć przeklętego złota, z obawy, by jego okręt również nie zatonął na morzu – zakończyłam uroczystym tonem. Odetchnęłam głębiej na pewne wspomnienie. – Cóż, gdy byłam dzieckiem, ta legenda, zamiast mnie odstraszyć, podziałała na moją wyobraźnię.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Gabriel.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Oczywiście!

Patrzyłam na niego jak urzeczona. Bez cylindra i marynarki, w jasnej koszuli z podwiniętymi rękawami wyglądał niemal jak młody żeglarz żywcem wyjęty z pięknej legendy. Jego mięśnie napinały się miarowo – każde pociągnięcie drewnianych wiosł ukazywało mi zarys jego posągowej sylwetki. Ciemne włosy,

zmierzwiłone łagodną bryzą, wiły się gęstymi kędziorami. Twarz miał zadumaną – zdawało mi się, że w jego oczach odbija się zapadający zmierzch i wszystkie myśli tego letniego dnia. Wieczne powietrze nabierało już rzeźkości nadciągającej jesieni.

– To było dobrych kilka lat temu – zaczęłam swą opowieść. – Być może wiesz, że przez ostatnie lata nie przyjeżdżałam do Wzgórza Mgieł. Nie odwiedzałam mojej ukochanej ciotki. Tęskniłam, ale... mój ojciec uważał, że powinnam trzymać się daleko od tej okolicy. Aż do tego roku...

Gabriel spojrzął mi w oczy.

– Żałuję, że nie przyjeżdżałaś tu wcześniej, Madeline – rzekł swoim niskim głosem. – Może wówczas spotkalibyśmy się już dawno.

– Ale spotkaliśmy się teraz – szepnęłam z bijącym mocniej sercem.

– Tak. Lecz to i tak za późno... Tak bardzo żałuję, że nie poznałem cię dawniej – powtórzył, a ja wyczułam w jego głosie nutę szczerego smutku.

Przełknęłam ślinę. Wiosła pluskały miarowo jak tykanie zegara, który nagle zaczął odmierzać nasz kończący się czas. Brzeg był coraz bliżej. Postanowiłam kontynuować moją ledwie rozpoczętą opowieść. Z całego serca zapragnęłam podzielić się z Gabrielem swym mrocznym wspomnieniem.

– Artur i ja byliśmy wtedy dziećmi, i byliśmy niemal nierozłączni. Pewnego wieczora jego ojciec, pan Smith, opowiedział nam tę starą legendę o piratach i o ich przeklętym skarbie. Oboje, jak to dzieci, pozostawaliśmy pod jej wielkim wrażeniem. Następnego dnia Artur zaczął się przechwalać, że wie, gdzie znajduje się grot, w której ukryto złoty skarb kapitana el Draque'a. Wiesz, Artur był ode mnie nieco starszy i jako chłopiec miał jednak więcej swobody... Czasem łapał ryby i kraby na tych plażach. Cóż, jego przechwałki poskutkowały tym, że postanowiliśmy oboje wykraść się na plażę

i zbadać piracką jaskinię. Opuściliśmy Wzgórze Mgieł po podwieczorku – para dzieciaków wyruszająca na spotkanie prawdziwej przygody... Znaleźliśmy jaskinię. Weszliśmy do niej, a potem... potem zaczął się przypływ.

Odetchnęłam głęboko. Od lat nikomu nie opowiadałam o tych wydarzeniach. Nie wiedziałam, dlaczego nadal budziły we mnie wyrzuty sumienia, a przede wszystkim strach, który teraz chwycił mnie za gardło. Postanowiłam to zignorować.

– Czy przypływ uwięził was w jaskini? – spytał Gabriel łagodnie, patrząc na mnie ze współczuciem.

– Tak. – Pokonałam lekką chrypkę. – Tak właśnie się stało. – Oczywiście wyobraźni znów widziałam ciemność, śliskie skały, światło sączące się od wejścia, które zalewała rozhukana woda... – Zrozumieliśmy, że już nie zdołamy opuścić grotu. Jedyna droga ucieczki przed falami prowadziła coraz dalej w głąb. Biegliśmy więc w ciemność, a potem wspinaliśmy się na skały, w kompletnym mroku, coraz wyżej i wyżej, żeby tylko móc jeszcze oddychać... Gdyby nie Artur, sądzę, że bym nie przetrwała. Spędziliśmy w tej jaskini całą noc. Rodzice i okoliczna ludność szukali nas po wrzosowiskach. Rano woda opadła, a nas, przemarzniętych, niemal nieprzytomnych ze strachu, znaleźli patrolujący brzeg rybacy... To było moje ostatnie lato we Wzgórzu Mgieł. Ojciec zabrał mnie stąd w wielkim gniewie. Zabroniono mi przyjaźnić się z Arturem. Rozdzielono nas natychmiast, a ja... nie zdążyłam nawet mu podziękować za to, że był ze mną, że podtrzymywał mnie na duchu i mnie uratował. Nie podziękowałam mu wtedy za nic. I nadrobiłam to teraz, po wielu latach.

– Najważniejsze, że to zrobiłaś – powiedział Gabriel. – Nie zmarnowałaś ponownej szansy na spotkanie.

Skinęłam głową.

– Sądziłam, że rozmowa z Arturem coś zmieni – szepnęłam. – Ale ja... nadal czuję lęk.

– Lęk, który obudził się w tobie w jaskini?

– Tak. – Przełknęłam ślinę. – Od tamtych wydarzeń miewałam straszne koszmary... Czasem przez kilka nocy z rzędu nie mogłam przez to spać. Z tego właśnie powodu zainteresowałam się psychologią i pracami niemieckiego lekarza Zygmunta Freuda. To człowiek, który zajął się badaniem ludzkich snów. Jeden z jego uczniów sądził, że mój strach można wyleczyć hipnozą...

– Hipnozą? – Gabriel był zaintrygowany. – Na czym ona miałaby polegać?

– Chodzi ci o to, w jaki sposób lekarz próbował wprowadzić mnie w stan hipnozy? – Uśmiechnęłam się blado. – Otóż używał wahadełka. Obserwacja jednostajnego, wahadłowego ruchu z czasem sprowadzała na mnie trans... Wpadałam w stan, w którym hipnotyzer ma głębszy dostęp do psychiki pacjenta...

– To znaczy do jego duszy... – szepnął Gabriel.

– Tak, do duszy – powtórzyłam. – Hipnotyzer może coś zasugerować tak mocno, że dla pacjenta staje się to jak rzeczywiste...

– Wystarczy wahadełko... – szepnął Gabriel.

– Wahadełko...

Spojrzeliśmy sobie w oczy, a mnie przeszył dreszcz.

– Czy pomyślałaś o tym samym, co ja? – spytał cicho mężczyzna.

Przełknęłam ślinę. Moje serce wybijało szybciej takty.

– W czasie seansu spirytystycznego korzystaliśmy z wahadełka... Sądzisz, że to może mieć znaczenie?

Gabriel ujął mą dłoń i pogładził moje palce.

– Ważne jest, co ty o tym sądzisz, Madeline.

\* \*

Dziób łodzi osiadł miękko na przybrzeżnym piasku. Gabriel wziął mnie na ręce, przeniósł przez płytkie, sięgające ledwie kostek pasmo łagodnych fal i delikatnie postawił na brzegu. Zsunęłam dłonie i ramię z jego karku. Cudownie było móc się przez chwilę wtulić w niego całym ciałem...

Słońce wolno staczało się za horyzont.

– Wiesz, jaki jest najlepszy sposób na pokonanie lęku? Stawienie mu czoła – powiedział, ujmując mnie za rękę.

– Co masz na myśli? – rzuciłam mu lekko spłoszone, pytające spojrzenie.

– Sądzę, że po latach powinnaś rzucić okiem na tę jaskinię.

Milczałam.

– Boisz się? – spytał.

– Nie tak jak wcześniej – odpowiedziałam po krótkiej chwili zgodnie z prawdą. – Nie boję się, kiedy ty jesteś ze mną, Gabrielu... – Poczułam w piersi ciepło, wypowiadając cicho jego imię. – Brzmi, jakbyś był moim aniołem stróżem – szepnęłam.

Mężczyzna pogładził pasmo moich włosów, które wietrzyk wyswobodził z koka.

– Moja piękna, moja cudowna Madeline... Chodźmy. Dziś nie ma przypływu. Gdy zajrzysz w oczy strachom, w końcu przestaniesz się bać. Wiem, że masz w sobie siłę, by to przetrwać... I nie tylko to. Wiem, że zdołasz udźwignąć prawdę.

– Prawdę?

– Czyż nie prawda jest tym, czego większość ludzi boi się najbardziej?

Delikatnie pociągnął mnie za sobą. Jedną dłonią trzymał mnie za rękę, a w drugiej niośł zabraną z łodzi płonącą latarnię. Szliśmy plażą po skrzącym się piasku, między ciemnymi skałami, których cienie wydłużały się tak jak nasze. Jaskinia znajdowała się niedaleko.

Rozpoznawałam tę okolicę i wysokie skały, które częściowo przesłaniały wejście. Tu i tam, czerwone jak krew, w promieniach zachodu lśniły między kamieniami jeziorka słonej wody.

– To na tej plaży widziałam wtedy tamtego mężczyznę – stwierdziłam z lekkim zaskoczeniem.

– Jakiego mężczyznę?

– Pamiętasz, tamtego dnia, przed seansem spirytystycznym? Opowiadałam wam, że poszłam na spacer na klify. We mgle widziałam sylwetkę mężczyzny. Szedł plażą, jak gdyby nie zauważył, że właśnie nadciągał przypływ. W pewnej chwili pomyślałam nawet, że to duch...

Na wspomnienie tamtego dnia przeszył mnie słaby dreszcz.

– Na pewno wspiął się na klify po pirackich schodkach. – Gabriel uśmiechnął się blado.

– Na pewno – przytaknęłam. Jego uśmiech natchnął mnie ufnością. Pomyślałam, że zawsze wypowiada swoje opinie w taki sposób, że dla mnie nabierają pewności faktów.

Stanęliśmy u wejścia do jaskini, w której głąb padały długie słoneczne promienie – tak purpurowe, że wszystko wokół zdawało się snem. Z wnętrza dobiegały szmery i ciche pluski – kapanie, uderzenia kropel o skałę, wilgoć przesączająca się przez piasek pod naszymi stopami i odbijające się od kamieni echo szemrzących spokojnie fal.

Ścisnęłam Gabriela za rękę.

– Wejźmy do środka. Tylko na moment – rzekłam i jednocześnie zrobiłam pierwszy krok.

Potem uczyniłam jeszcze jeden. I jeszcze. I kolejny...

Nasze cienie malowały się na ścianach. Mój strach się nasilał, lecz im był mocniejszy, tym bardziej, na przekór niemu, chciałam zajrzeć w ciemność. Miałam wrażenie, że z każdym krokiem w głąb jaskini



cofam się w przeszłość, przekraczam niewidzialną granicę przedziwnej krainy, w której rzeczywistość i moje sny, jawa i płatająca figle wyobraźnia zbiegają się ze sobą niczym rzeki. Pragnęłam dotrzeć do ich źródła, zobaczyć je na własne oczy, żeby pojąć, czego tak się boję, i odzyskać utracony dawno spokój. Bliskość Gabriela dodawała mi otuchy – znów byliśmy tylko my – na granicy światła i cienia, lądu i morza, naszych pragnień i lęków... Odwróciłam się w jego stronę i wówczas, na dnie jaskini, dostrzegłam odległy błysk.

– Popatrz... – Podeszłam bliżej i stanęłam jak wryta.

To błyszczał łańcuch, którym opleciono ciężką, drewnianą skrzynię. Poczułam dreszcze. W powietrzu rozszedł się niezdrowy, zgniły i zimny zapach. Zdawał się dobiegać ku nam z ciemności.

Moje serce biło jak szalone.

– Mój Boże... – wyszeptałam i własne słowa wróciły do mnie odbite od skalnych ścian. – Czy to naprawdę może być... skarb kapitana el Draque'a?!

Gabriel podał mi latarenkę, sam zaś zaczął rozplątywać ciężki łańcuch opasujący skrzynię. Grube metalowe ogniwa szczękały metalicznie. Nie wiem dlaczego, ale ich dźwięk przypominał mi w tej chwili zęby dzwoniące o siebie ze strachu. Niepokój i niedowierzanie opanowały moje zmysły.

Wtedy Gabriel uniósł oswobodzone wieko skrzyni.

Przysunęłam bliżej latarnię.

Światło odbiło się i rozszczepiło migotliwie w ogromnym brylancie indyjskiego naszyjnika ciotki Hortense.

## 32. DUCHY WE MGLE

Blask brylantu na moment mnie oślepił. A może to ze zdenerwowania i od nadmiaru nagłych myśli przed moimi oczami zawirowały dziwne kolorowe plamy?! Poczułam, że kręci mi się w głowie, a serce łomocze niczym kołatka uderzająca w drzwi – dziwne wrota, których nikt przy zdrowych zmysłach nigdy nie powinien otwierać.

Oprócz naszyjnika w skrzyni połyskiwały pierścionki, złote bransolety, wisiory, świeczniki... Ktoś inny na moim miejscu mógłby uwierzyć, że naprawdę znalazł w jaskini piracki skarb. Ktoś inny – ale nie ja... Nie panna Madeline Hyde.

– Gabrielu... – szepnęłam i jednocześnie spostrzegłam z przerażeniem, że mężczyzny nie ma obok mnie.

– Gabrielu! – Poderwałam się z kucek i wysoko uniosłam lampę. Jej światło ledwie musnęło męską twarz. Była poważna, zatroskana, niemal przestraszona – dostrzegałam ją na tyle wyraźnie, by odczytać te wszystkie uczucia.

Zamarłam.

Gabriel stał w głębi jaskini, na granicy mroku, który gęstniał z każdą sekundą. U jego stóp lśniła czarna, głęboka kałuża.

To mogła być morska woda.

Ale mogła to być krew.

– Gabrielu...

– Nie podchodź tu, Madeline – nakazał, gdy postąpiłam o krok. Jego głos poniósł się wokół chłodnym echem.

- Dlaczego?
- Nie zbliżaj się.
- O co chodzi?

W jego postawie wyczułam wahanie, jakiego nigdy wcześniej nie okazywał.

- Wybacz mi. Nie powinienem był cię tu zabierać.
- Dlaczego?

Odpowiedziała mi cisza.

Poczułam ogarniający mnie strach. Przerazenie sączyło się z mroku i rozlewało po moim ciele jak lodowate kropelki wody, które skapywały ze stropu jaskini i miarowo uderzały o mój kark, żeby przemykać pod ubraniem wzdłuż kręgosłupa. Dół sukni nasiąkł już wodą zalegającą na dnie jaskini. Plątał się niczym ciasne pęta wokół moich zmarzniętych kostek.

- Madeline, odejdz!
- Nie zostawię cię tutaj!

Wzięłam głęboki oddech, wciągając w płuca lodowate, smrodliwe powietrze. Niepewnie zrobiłam krok, wysoko uniosłam lampę i jednocześnie poczułam, że moja obuta stopa otarła się o coś miękkiego...

Odruchowo spojrzałam w dół.

To było ciało.

Z mojej piersi wyrwał się pisk.

Zwłoki leżały w wodzie, twarzą w dół – na powierzchni falowały ciemne włosy, niczym kępki dziwnych wodorostów. Zabity człowiek miał szeroko rozrzucone ręce i nogi. Kredowoblade, niemal sine dłonie zdawały się opuchnięte, rozdęte od wody, niczym jasne brzuchy martwych ryb. Mężczyzna – jego płeć poznałam po ubraniu – musiał nie żyć od dłuższego czasu. Przemykający po skałach krab, którego chyba spłoszyłam, przywrócił mnie do rzeczywistości.

Obrzydliwy odór śmierci trącał me nozdrza i kazał skręcać się wszystkim wnętrznościom – podziałał na mnie mocniej niż sole trzeźwiące. Odwróciłam się i zwymiotowałam.

Dopiero po tym mój mózg zaczął pracować gorączkowo niczym kocioł pędzącej lokomotywy.

Złapałam bladego Gabriela za rękę.

– Chodźmy stąd! Uciekajmy, zanim Artur wróci! – krzyknęłam mu w twarz.

– Artur?!

– Tak! Nie rozumiesz?! Wszystko się zgadza, wszystko do siebie pasuje! – Jak w amoku wyrzucałam z siebie słowa. – Tylko on przychodził do tej jaskini! To jego widziałam wtedy we mgle! Wykorzystał miejsce naszej dziecinnej zabawy jako swoją kryjówkę! – Dygotałam jak osika. Dreszcze szarpały mną niczym konwulsje, zaś żołądek wywracał się na nice. – To on musiał zabić moją ciotkę! Zrobił to dla tego przeklętego naszyjnika! Dla innych kosztowności! A może z powodu swojej ukrytej obsesji, swojej wypaczonej namiętności do mnie! Artur jest mordercą! A tu leży jego kolejna ofiara! – Wskazałam na ciało i po raz kolejny zawirowało mi w głowie.

Gabriel podtrzymał mnie, nim upadłam, i oparł mnie na swym ramieniu.

– Uciekajmy stąd! – jęknęłam, z trudem łapiąc oddech. Zdawało mi się, że gorset zaraz zmiażdży mi żebra. – Zabierz skarb... Tylko on... To dowód... Gabrielu...

– Nic już nie mów, Madeline!

Mężczyzna zaczął prowadzić mnie ku wyjściu z jaskini, w którego prześwicie gasły ostatnie czerwone łuny. Światło latarni morskiej na wysepce zaczęło migać z ciemniejszą dali. Przypominało mi zbiegające mrugające oko, które ciekawie przypatrywało się upiornej

tajemnicy.

\* \*

Wspinaliśmy się możliwie szybko po kamiennych schodkach wykutych w stromym zboczu klifu. Ja z latarenką szłam z przodu. Gabriel z częścią kosztowności przesypanych do mojej torebki był tuż za mną. Nie zabraliśmy wszystkiego, co znajdowało się w skrzyni, ale to, co ze sobą mieliśmy, i tak wystarczało. Chodziło nam przecież o coś, co będziemy mogli pokazać policji – a tym niewątpliwie były naszyjnik z brylantem, wisiorki, perły i kilka drogocennych pierścionków...

Wędrówka w górę zdawała mi się wiecznością. W szczelinach skał cicho świstał wiatr – szliśmy po wyszlizganych deszczami i wiatrem stopniach w całkowitym milczeniu. Ostatnie odbłaski zachodu malowały na czerwono szczyty klifów nad naszymi głowami – z dołu, od strony plaży ścigała nas ciemność. Znaleźliśmy się na górze w momencie, gdy nad oceanem zapadł zmrok. Gdy padliśmy sobie w ramiona, odetchnęłam z ulgą. Zacisnęłam powieki, tłumiąc urywany szloch. Lecz gdy otworzyłam znów oczy, moje serce zamarło.

Znad morza, w ślad za nami, zaczęła napływać mgła.

– Och, nie! – jęknęłam, bo przypomniałam sobie, jak poprzednim razem błąkałam się po wrzosowisku w jej gęstych oparach. Wówczas znalazł mnie Artur... Czy to był przypadek?! Czy to on był mężczyzną idącym po plaży? Zobaczył mnie wtedy i dlatego później wiedział, gdzie mnie szukać?!

Otoczyły nas blada mgła i gęsta noc.

– Nie bój się, Madeline. Jestem przy tobie. Znam drogę i doprowadzę cię do domu – zapewnił mnie Gabriel, tuląc do siebie niczym dygocące z chłodu pisklę. Zdjął marynarkę i zarzucił mi ją

na ramiona – była za duża, a jej długie poły w kształcie jaskółczego ogona przypominały smoliste czarne skrzydła. Wtuliłam się w materiał z wdzięcznością, chłonąc ledwie wyczuwalny ślad ciepła, jaki zostawiło w nim męskie ciało.

Gabriel uniósł latarnię, wziął mnie za rękę i poprowadził przez mgłę.

W pełnej tajemniczych szmerów ciszy wrzosowiska szaleńczo tęskniłam za brzmieniem jego głosu, lecz jednocześnie nie śmiałam zadawać mu w tej chwili żadnych pytań. Bez słów wyczuwałam napięcie. O czym myślał? Przeróżające przypuszczenia musiały być dla niego nie do zniesienia. Kim był martwy mężczyzna, który leżał w wodzie na dnie jaskini? Czy to możliwe, że to brat Gabriela?!

W tamtej chwili byłam tego niemal pewna. Dlatego nie miałam odwagi, żeby się odezwać. A może było inaczej – może już wtedy, pośród gęstniejących mgieł, niejasno domyślałam się całej prawdy, która była zbyt straszna, żeby przejść mi przez gardło. Gabriel miał rację – nic w ludzkim życiu nie jest bardziej przerażające niż stanięcie oko w oko z rzeczywistością całkowicie odartą ze złudzeń.

Srebrny księżyc wzeszedł na niebo – w jego poświacie gęsta mgła wokół nas przybierała coraz to bardziej niesamowite kształty. Chwilami miałam wrażenie, że krocymy pośród duchów. Kłębki mgły zmieniały się w widmowe twarze, które pierzchały równie prędko, jak się pojawiały. Wiedziałam, że to zwidy, efekt doznanego szoku i mojej rozchwianej wyobraźni, lecz mimo to chwilami zamykałam oczy – a wówczas czułam, jak utkane z mgły oblicza zbliżają się prędko, żeby smagać moje usta lodowatymi pocałunkami.

W mojej głowie wirowały niespokojne myśli: co, jeśli Artur się dowie, że ktoś odkrył jego kryjówkę w jaskini? Czy dla niego te morderstwa i kradzieże były upiorną zabawą?! Rodzajem powrotu do przeszłości, groteskową parodią jednej z gier, które razem

wymyślaliśmy w dzieciństwie? Tak przypuszczałam. Artur znów bawił się ze mną w piratów. Tyle tylko, że teraz nie byliśmy już dziećmi, a on dręczył mnie sekretnym okrucieństwem, które nie pozwalało odkupić dawnych win.

Czułam się coraz słabsza i coraz bardziej zmęczona. Noc i mgła pochłaniały świat wokół mnie. Światełko naszej latarni zdawało mi się błędnym ognikiem, zwodzącym ku bagnom i śmierci zapóźnionych wędrowców, którymi byliśmy.

Nie wiem, kiedy znalazłam się na ganku. Miałam wrażenie, że zbudziłam się z długiego snu, z dziwnego transu, w jaki wprowadził mnie ten nocny marsz. Zamrugałam i uniosłam głowę. Niemal w całym domu paliły się światła. Grube drzwi otworzyły się przede mną i stanęła w nich ściskająca lampę naftową Rosalind wraz z Anną.

– Panienko Madeline!!!

Zatoczyłam się i padłam jej w ramiona. W rękę mocno ścisnęłam moją torebkę z zabranymi z jaskini kosztownościami. Rosalind po chwili zauważyła jej ciężar.

– Co to takiego?

– Zabraliśmy to z jego kryjówki... – wyszeptałam z przejęciem.

– Zabraliście? Panno Madeline, na litość boską, kto był z panienką? Pan Clark powiedział, że panienka zaginęła, odchodziliśmy tutaj od zmysłów! Jakiś człowiek powiedział, że panienka wsiadła do pustej łodzi i...

– Gabriel... – szepnęłam i odwróciłam się, szukając wzrokiem towarzyszącego mi mężczyzny.

Ale obok nie było nikogo.

Tylko noc, cisza i mgła.

Objęłam się ramionami. Nie miałam na sobie nawet jego marynarki.

Moje serce zaczęło bić niespokojnie, pompując krew i rozgrzewając zmarznięte ciało.

– Gabrielu! – krzyknęłam głośno. Odpowiedziała mi cisza. Zbiegłam po schodkach z ganku, a Rosalind, przyświecając lampą, ruszyła za mną z rozwianymi włosami, w długiej nocnej koszuli i z chustą na ramionach.

– Panienko Madeline! Tutaj nikogo nie ma!

– Gabrielu!

– Panienko...

– Gabriel!!!

Rosalind dotknęła mojego ramienia.

– Panienko Madeline, proszę wejść do domu. Musi się panienka rozgrzać i wypocząć.

– On mnie tu przyprowadził...

– Może musiał odejść.

Odetchnęłam głęboko. Ależ tak! Może postanowił od razu udać się na policję? Analizowanie faktów w tej chwili przychodziło mi z trudem. Rzuciłam ostatnie spojrzenie na czerń nocy i pozwoliłam Rosalind zaprowadzić się do środka.

Służąca pomogła mi się rozebrać i przygotowała miskę z gorącą wodą, w której kazała mi wymoczyć nogi przed snem – na wszelki wypadek, żeby uniknąć przeziębienia.

– Rano wyślemy Artura do Torquay... – odezwała się łagodnym głosem, a ja cała zadrżałam.

– Wykluczone!

Potrząsnęłam głową, a Rosalind spojrzała na mnie zdumiona w świetle świec.

– Panienko?

– Artur nie pojedzie do Torquay – powiedziałam najspokojniej, jak tylko mogłam, szybko szukając możliwie dobrej wymówki. – Nie



pamiętasz, że wdał się w bójkę z dorożkarzem? Nie chcę, żeby znowu sprowadził na nas kłopoty... Musimy na niego uważać, Rosalind – rzekłam z powagą i mimowolnie zacisnęłam usta. Poczułam, że mimo to mój podbródek dygoce.

Rosalind spojrzała mi w oczy, jak gdyby szukała w nich prawdy. Po chwili wolno skinęła głową. Kiedy później służąca wychodziła z mej sypialni, jej sylwetka zdała mi się przygarbiona jak nigdy dotąd.

\* \*

Po wyjściu Rosalind niemal natychmiast zasnęłam ze znużenia, ale na krótko. Obudziło mnie uczucie lęku i rozpacz, a przy tym nerwowe kołatanie serca. Sen pierchnął sprzed moich oczu, kiedy spojrzałam w ciemne okno. Pod powiekami pozostał tylko cień niespokojnych majaków. W blasku księżyca przesączającym się przez wydętą chłodnym wietrzykiem firankę usiadłam na łóżku. Dotknęłam poduszki i poczułam, że jest mokra od potu.

Albo od łez.

Podciągnęłam kolana i kołdrę pod brodę. Wiedziałam, że już nie zasnę. Czekałam... Czekałam na pierwsze oznaki świtu. W myślach toczyłam przeraźliwą walkę z mrokiem i z własną niecierpliwością. Wydawało mi się, że od tego, czy ją wygram, zależy nadejście nowego dnia.

Dlatego musiałam wyteńczyć wszystkie siły.

Kiedy za oknem czerń zaczęła zmieniać się w granat, a później w szarość, nie tracąc czasu, zaczęłam się ubierać przy zgaszonych lampach. Po omacku wymacałam tweedowy kostium podróżny składający się z długiej spódnicy i marynarki. Spieszyłam się tak bardzo, że nie zabrałam kapelusza. Wzięłam za to moją torebkę z pobrzękującymi wewnątrz kosztownościami.

Najciszej, jak potrafiłam, przemknęłam na tyły domu. Minęłam oranżerię – poranna woń oleandrów, jednocześnie słodka i rześka, znajoma i egzotyczna – przypominała mi Gabriela. Tak mocno, jakby ciągle przy mnie był...

We mgle i w gęstej rosie perlącej się w półmroku pobiegłam do stajni. Na szczęście potrafiłam osiodłać sobie konia – Artur nauczył mnie tego przed laty. Wybrałam karą klacz, którą parę dni temu mężczyzna zaprzągnął mi do dwukółki – wiedziałam już, że to łagodne i mądre zwierzę. Zarżała cicho, kiedy wyprowadziłam ją przed budynek, i moje serce zadrżało ze strachu, że koń ostrzeże o mej obecności Artura... Prędko włożyłam nogę w strzemię i podciągnąwszy się na rękach zaciśniętych na wysokim łęku siodła, wskoczyłam na koński grzbiet. Na szczęście jazda wierzchem należy do tych umiejętności, których nigdy się nie zapomina. Mocno spięłam klacz łydkami – z miejsca przeszła do kłusu, a potem do galopu. Minąwszy bramę, pognałyśmy w kierunku Torquay.

Niewiele pamiętałam później z tej szaleńczej konnej gonitwy. Wiedziałam tylko, że muszę jak najszybciej porozmawiać z policjantami i że nie mogę zostać we Wzgórzu Mgieł ani minuty dłużej. Nie mogłam dopuścić, żeby Artur uprzedził mój ruch, wrócił do swej kryjówki, znowu kogoś zabił albo uciekł... Podświadomie liczyłam na to, że Gabrielowi udało się już jakoś skontaktować z policjantami, ale dopóki nie miałam tej pewności, mogłam liczyć tylko na siebie. Zresztą to ja byłam w posiadaniu dowodu, który razem zdobyliśmy – naszyjnika Hortense, ukrytego przez Artura w nadmorskiej jaskini...

W jaskini, w której znajdowało się czyjeś martwe ciało.

Myślałam o tym wszystkim, pędząc konno do miasteczka, które jeszcze nie zbudziło się ze snu. Szarość świtu nie przeminęła – po prostu zmieniała się w szarość ponurego dnia. Ciężkie chmury

uderzyły w świat zacinającym deszczem. Krople smagały mą twarz i spływały mi za kołnierz, zmieniały moje rozwiane włosy w mokre strąki. Szalony tętent końskich kopyt uderzających o rozmiękłą ziemię wyznaczał rytm uderzeń mego serca.

Przekroczyłam próg posterunku policji w pełnym biegu – nie dałam sobie nawet chwili, żeby zaczerpnąć oddechu. Wpadłam na sierżanta Thorntona. Przeraził się na mój widok. Kiedy wyjaśniłam, o co chodzi, popędził po inspektora, a potem przyniósł mi koc, żebym się okryła. W tej chwili nie zwracałam uwagi na moje mokre ubrania – chciałam tylko jak najszybciej pomówić z inspektorem Langleyem i opowiedzieć o wszystkim, co wiedziałam.

Gdy mówiłam, dygocącymi z przejęcia dłońmi ściskając gorący kubek z herbatą, inspektor i sierżant Thornton prawie mi nie przerywali. Kosztowności, które wyrzuciłam na biurko inspektora, zrobiły na nich piorunujące wrażenie. Słuchali mnie uważnie. Opowiedziałam o tym, jak z Gabrielem weszliśmy do jaskini, jak znaleźliśmy skrzynię, a później ludzkie zwłoki, i dlaczego sądzę, że zabójcą jest Artur. Opowiedziałem o jego brudnej od krwi koszuli, o anonimowym liście, o bukietcie hortensji... O tym, że miał obsesję na moim punkcie... Obsesję sięgającą naszego dzieciństwa.

Z każdym moim zdaniem miny policyjnych detektywów stawały się poważniejsze i bardziej zatroskane. Kiedy skończyłam mówić, w gabinecie inspektora zapadło milczenie. Słyszałam tylko chór kropel deszczu uderzających o parapet i spływających po szybie, gulgotanie blaszanej rynny za oknem i szmer zgiętych wiatrem, żółciejących gałęzi.

Inspektor Langley pochylił się do przodu na krześle i złożył swoje dłonie w piramidkę.

- Więc twierdzi pani, że na dnie jaskini leżą ludzkie zwłoki?
- Chyba wyraziłam się jasno – powiedziałam, lekko marszcząc

brwi.

– Czy przypuszcza pani, panno Hyde, czyje to może być ciało?

Przełknęłam ślinę i wbiłam wzrok w podłogę. Objęłam się ramionami. Poczułam przeszywające zimno.

– Przypuszczam... To raczej przecucie...

– Przecucie?

Uniosłam spojrzenie, żeby napotkać współczujący wzrok inspektora.

– Przypuszczam, że to może być ciało syna państwa Ackroydów. To znaczy brata pana Gabriela Ackroyda. Ale oczywiście nie mogę tego wiedzieć. Czy udało się wam już z nim porozmawiać?

– Z kim, panno Hyde?

– Z Gabrielem Ackroydem, rzecz jasna – odparłam niecierpliwie i westchnęłam. – Przepraszam... Nadal jestem bardzo zdenerwowana. Ale Gabriel jeszcze raz opowie panom o wszystkim. Być może jego wersja zdarzeń będzie mniej chaotyczna od mojej. – Uśmiechnęłam się blado.

Policjanci rzucili sobie szybkie, porozumiewawcze spojrzenie. Milczeli. Znowu poczułam dziwny, zimny strach. Inspektor Langley odchrząknął. Jego jasnoniebieskie oczy spojrzały w moje.

– Panno Hyde... Państwo Frank i Sara Ackroydowie mieli tylko jednego syna.

Nie zrozumiałam, co miał na myśli.

– Jednego? – powtórzyłam pytająco.

– Tak. – Inspektor skinął głową. – Miał na imię Gabriel. Chciałbym wierzyć, że to jakiś dziwny zbieg okoliczności, ale...

– ...ale? – spytałam z naciskiem. Moje serce zaczęło wyczyiniać w piersi przerażające harce.

– Panno Hyde... Od tygodni prowadzimy śledztwo w związku z zaginięciem Gabriela Ackroyda. Na wrzosowisku znaleziono jego

but i srebrny wisior z krzyżem, który rozpoznała jego matka. Dlatego właśnie syna państwa Ackroydów oficjalnie uważa się za zmarłego. Być może... widziała pani ducha.

W jednej sekundzie cały świat runął z impetem, żeby rozgnieść mi serce.

## 33. GORĄCZKA

Kasłałam i wiłam się na łóżku w pościeli, która nasiąkała moim potem. Zdawało mi się, że na mej rozgrzanej skórze nieustannie skrapla się mgła.

Zachorowałam i miałam gorączkę – tyle udało mi się wyczytać z zatroskanych twarzy Rosalind, doktora Watsona i Clarka, które pochylały się nade mną z ciemności w prześwitach jednostajnie szarych dni... Dni, godzin, a może tygodni? Nie wiedziałam tego. Dla mnie czas przestał płynąć. Był jak gęsta mgła, która zamazuje wszelkie kształty i granice – pomiędzy różnymi obiektami, między ziemią a niebem, a może nawet granice dwóch różnych, istniejących obok siebie światów...

Przez jej opary docierały do mnie tylko strzępki obrazów, zapachów, dźwięków i słów. Odwiedzali mnie jacyś ludzie – chyba była wśród nich pani Martens. Raz zdało mi się, że rozpoznaję jej głos.

- Podobno widziała ducha.
- W czasie seansu spirytystycznego zgodziła się zostać medium.
- Wywoływaliśmy zmarłego syna państwa Ackroydów.
- Wówczas zemdląca, uderzyła się w głowę... Chyba wcale tego nie pamięta.
- Nie chcieliśmy jej tego przypominać. To znaczy tego, że ona była medium. Miała dość okropnych przeżyć tamtej nocy. Ustaliliśmy, że będziemy milczeć w tej sprawie.
- Będę szczery. Obawiam się, że może umrzeć – odezwał się cichy

głos doktora Watsona.

Na myśl o śmierci poczułam niejasną ulgę.

*Tak, umrę! Umrę i będę już na zawsze z Gabrielem. Chcę umrzeć, bo on także nie żyje. To znaczy żyje, ale innym życiem. Gabriel żyje życiem we mgle...*

Pragnęłam śmierci. Prawdziwy świat – ten poza zasłoną mgły, która spowijała mój umysł – stał się zbyt pusty, zbyt smutny i zbyt straszny, żebym chciała do niego wracać. Tylko we mgle czułam się teraz bezpieczna – otulała mnie niczym zaciszny miękki kokon. Unosiłam się w niej leniwie, uciekając od bólu i wspomnień. Wtulałam się we mgłę jak w poduszkę, za którą nie czaiły się żadne sny...

Ale chwilami widywałam też Gabriela. Jego sylwetka rozplątywała się, gdy chciałam za nim pobiec. Wołałam jego imię, prosiłam i błagałam... Wyciągałam ramiona, lecz nie mogłam go dotknąć. Wreszcie pojęłam, że mgła go wchłonęła – był teraz tylko jej częścią.

Traciłam nadzieję, że znowu się spotkamy. Mój stan zdrowia zaczął się poprawiać. Aż wreszcie, pewnej nocy, odzyskałam przytomność. Zobaczyłam księżyc za oknem i usiadłam na łóżku. Nagle cicho odezwał się męski głos.

– Madeline...

Usłyszałam muzykę pianina. Przyzywała mnie – zarazem smutna i kojąca. Nieustępliwa... Pełna niewysłowionych obietnic... Przeszywająca na wskroś moje zmysły – niczym promień księżycy przechodzący przez szybę.

W długiej nocnej koszuli uniosłam się na łokciu. Spuściłam bose stopy na drewnianą podłogę. Jakaś deska zatrzeszczała cichutko, gdy ruszyłam przed siebie.

Cały dom pogrążony był we śnie. Wyszłam na zewnątrz, do ogrodu, a potem dalej. Muzyka napływała z wietrzykiem

od oceanu. Wolno wstąpiłam na znajomą ścieżkę.

W świetle księżycyca w pełni wąskie kwiatostany wrzosów płożące się po ziemi przypominały mi tańczące w powiewie języki fioletowego ognia. Te błędne ogniki przyzywały mnie coraz dalej i dalej. Teraz cała poddałam się już muzyce. Padające z księżycowej tarczy promienie uczepliły się moich dłoni i stóp niczym srebrne sznurki milczącego marionetkarza. Byłam tylko kruchą lalką z bladej porcelany prowadzoną czyjąś nienazwaną wolą. Mimo to jakaś cząstka mnie zaczęła zdawać sobie sprawę, że kieruję się w stronę stromych klifów. Lecz ta wiedza nie miała teraz znaczenia. Chciałam znowu zobaczyć Gabriela, poczuć jego dotyk, jego pocałunki, zapach, jedwabistą fakturę jego miękkich, kędzierzawych włosów... Chciałam, żeby mógł ze mną rozmawiać, by zapewnił mnie, że wszystko będzie dobrze i nic się nie zmieniło, bo mnie kocha.

Ujrzałam go wreszcie – stał na krawędzi klifu, osrebrzony księżycowym światłem. W dole czarne fale uderzały o brzeg, wypełniając szumem bezdenną przepaść. Ich głosy przypominały zmieszane szepty – mnóstwo słów, mnóstwo imion i zdań, których jacyś ludzie w swoim życiu nigdy nie zdążyli wypowiedzieć...

Zgubione słowa...

Urwane zdania...

Nienazwane uczucia...

Nieujawnione prawdy...

– Madeline... – Gabriel odwrócił się ku mnie.

Padliśmy sobie w ramiona. Miał zimne dłonie, zimną skórę i usta. Mimo to wtuliłam się w niego całym ciałem. Chciałam, żeby ten moment trwał już na zawsze – pragnęłam tego desperacko, ze wszystkich sił, z całej mej duszy. Gabriel musiał wyczytać to w końcu w mych oczach.

Zrobił krok ku krawędzi klifu. Wyciągnął ku mnie rękę. Zadrżałam



z zimna.

– Chodź ze mną, Madeline... Jeśli tego pragniesz... Możemy być razem już na zawsze. Połączą się nasze dusze – i nasze ciała.

Patrzyłam prosto w jego ciemne oczy.

– Co mam zrobić?

– Musisz skoczyć. Dzieli cię ode mnie tylko krok – wyszeptał.

Przełknęłam ślinę.

– Krok w przepaść?

Znowu owionął mnie chłód – a razem z nim nadeszło uczucie grozy.

Gabriel w milczeniu skinął głową. Czarne fale pełne ludzkich głosów szumiały i wołały mnie coraz głośniejsze.

– Przecież wiesz... Tylko tak możemy być razem. Nasze dusze i nasze ciała... obok siebie.

Wiatr buszował w moich włosach. Podałam mu dłoń. Pocałował mnie lekko, a ja poczułam, jak gdyby na moich ustach roztopił się płatek śniegu.

Za wszelką cenę próbowałam nie patrzeć w dół.

– Więc mam skoczyć? – Z napięcia mój głos stał się obcy i ochrypły.

– Jeśli tylko chcesz być na zawsze ze mną, Madeline...

Pogładziłam jego policzek i się rozpłakałam.

– Wiesz, że nie mogę! – wykrztusiłam głosem rannego zwierzęcia bezsilnie wijącego się w sidłach stworzonych przez bezwzględna, złą siłę, sprytniejszą i bardziej świadomą od niego.

Wtedy Gabriel objął mnie mocno i odciągnął od krawędzi zbocza.

Szlochałam spazmatycznie, a on szeptał: „Wiem”. Powtarzał to wielokrotnie, za każdym razem scałowując słoną łzę z moich policzków, z moich powiek i z moich ust. Wreszcie łez już nie było, a słowa Gabriela rozplynęły się w miarowym szmerze uspokojonych fal. Zniknęły – tak jak on sam.

Odwrociłam się i zaczęłam iść w kierunku domu.

\* \*

O dziwo, ów sekretny nocny spacer nad oceanem nie pogorszył stanu mego zdrowia. Wręcz przeciwnie – gorączka spadła i z każdym kolejnym dniem czułam się lepiej. Nadal byłam bardzo słaba – tak słaba, że niemal nie mogłam mówić i spałam po kilkanaście godzin dziennie. Ale żyłam. A może raczej: egzystowałam. Pograżyłam się w zadumie i milczeniu. Wszak żadne słowa nie były w stanie wyrazić straszliwego bólu, jaki czułam w nocy i za dnia. Nie potrafiłam myśleć o niczym oprócz Gabriela...

Powoli usychałam. Nawet przyjazd mego ojca i macochy ze Szkocji nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Teraz rozumiem, że potrzebowałam czegoś, co zdołałoby wyrwać mnie z głębokiego marazmu, z letargu i mrocznej melancholii, w jakie popadałam coraz bardziej. Nagłego bodźca, wstrząsu, zdumienia, może szoku...

Ów szok w końcu nadszedł. Przewrotny los, który odebrał mi Gabriela, zanim tak naprawdę go poznałam, tym razem zesłał na mnie coś, co przywróciło mnie do świata żywych.

Leżałam w łóżku i obojętnie patrzyłam za okno, za którym trwał chłodny jesienny ranek. Obserwowałam pana Smitha, który grabił zerwane przez nocny wiatr suche liście. Czasem usta starego ogrodnika poruszały się bezgłośnie. Potem ułożyły się w pomarszczony dzióbek i zaczęły wygwizdywać melodyjkę, która rozbrzmiewała w moich uszach mimo dzielącej nas szyby...

Nagle ktoś wszedł do sypialni – usłyszałam ciche skrzypnięcie drzwi i sprężyste męskie kroki.

– Panienko Madeline... – Brzmienie tego głosu sprawiło, że aż podskoczyłam. Wzdrygnęłam się z przerażenia.

To był Artur.

– Co ty tu robisz? – wychrypiałam, kuląc się jak przed ciosem i mocno zaciskając dłonie. Przez ostatnie tygodnie nie widziałam go ani razu i byłam całkowicie przekonana, że jest w więzieniu.

Czy stamtąd uciekł?! Odszukał mnie, żeby się zemścić?!

– Panienko Madeline, chciałbym coś wyjaśnić...

Był blady, oczy błyszczały mu chorobliwie, silne dłonie zaciskały się w pięści. Zrozumiałam, że w żaden sposób się przed nim nie obronię. Z mojej piersi wyrwał się pisk. Zaczęłam krzyczeć – tak głośno, jak tylko pozwalały mi na to osłabione długotrwałą chorobą płuca.

Podziałało. Artur odskoczył od łóżka jak oparzony, zaś do pokoju wpadł zaalarmowany moimi wrzaskami doktor Watson. Zaraz za nim zjawił się Clark Cagwar, a po nich zbiegły się Rosalind i Anna. Do sypialni przytruchtała także zaferowana pani Martens. Mimo to mój krzyk rozbrzmiewał dalej. Dawał upust wszystkim lękom, wszystkim strachom i domysłom, które od tygodni zalegały w mojej głowie. Umilkłam dopiero, kiedy zabrakło mi tchu. Wtedy usłyszałam ciężkie kroki dwóch osób biegnących po schodach. W mojej sypialni, w której już i tak zrobiło się ciasno, niespodziewanie zjawili się dwaj policyjni detektywi: sierżant Thornton i łysy inspektor Langley.

– Kto wzywał pomocy?! – zawołał ten ostatni.

– Co się tu dzieje?! – dołączył swe pytanie Clark i zmierzył Artura nieprzychylnym, gniewnym spojrzeniem.

– Pan Smith przeraził czymś pannę Madeline, której potrzebne są spokój i wypoczynek – poinformował doktor Watson. Szybkim gestem poprawił lekko przekrzywione binokle. – Czyż nie mówiłem panu, Arturze, że bez mojej zgody nie powinien pan wchodzić do pokoju pacjentki?

Artur potrząsnął głową.

– Muszę wyjaśnić pewne rzeczy pannie Madeline. A skoro wszyscy państwo już tu jesteście, to wam również!

– Artur na pewno nie chciał zrobić nic złego... – szepnęła Anna, która spoglądała z napięciem na twarz stajennego.

Clark zignorował jej nieśmiałą uwagę.

– Nie słyszał pan doktora, Arturze?! Proszę natychmiast stąd wyjść! Inaczej sam będę musiał pana wyprowadzić! – powiedział z naciskiem, wydymając usta i marszcząc brwi. Ze stanowczą miną zrobił krok w stronę Artura, lecz wówczas drogę zagroził mu rudowłosy sierżant Thornton.

– Pan akurat jest ostatnią osobą, która może kogokolwiek wyprowadzić. To raczej pan zostanie zatrzymany, panie Cagwar – oznajmił, rzucając mężczyźnie przenikliwe spojrzenie. – Jest pan aresztowany pod zarzutem zamordowania swojej ciotki, pani Flory Jones, oraz lady Hortense Lancey. A także pod zarzutem oszustwa, kradzieży, wyłudzenia... Jako prawnik na pewno pan wie, jakie mu przysługują prawa. Chyba że to też było kłamstwem.

Sierżant Thornton zawiesił głos.

– To jakieś nieporozumienie. Pan raczy żartować? – Clark zmarszczył brwi, kompletnie zbity z tropu.

Wyglądał na całkowicie zagubionego i szczerze mówiąc – ja także. Przełknęłam ślinę. Zacisnęłam dłonie na kołdrze i wbiłam wzrok w sierżanta Thorntona.

– Chcę usłyszeć całą prawdę – powiedziałam, przerywając moment pełnej napięcia ciszy. Spojrzenia wszystkich osób zebranych w pokoju skierowały się teraz na mnie – zdumione, skonsternowane, współczujące.

Popatrzyłam po tych znajomych twarzach i poczułam wdzięczność, że w czasie choroby miałam przy sobie tylu ludzi, którym nie był obojętny mój los.

Lecz wśród nich krył się również morderca.

Wiedziałam, że nie odzyskam spokoju, dopóki nie dowiem się, kim on jest.

A także dlaczego zdecydował się zabić.

Odetchnęłam głęboko.

– Rozmawiacie państwo i sprzeczacie się między sobą, jak gdyby mnie wcale tu nie było – wyszeptałam z wysoko podniesionym czołem. – Ale jestem. Dzięki wam nie umarłam. Uważam jednak, że należy mi się prawda. Jeśli mam dojść do siebie i odzyskać pełnię zdrowia – wierzę, że tylko ona ma moc mnie uleczyć. Doktorze – zwróciłam się do doktora Watsona – proszę mi wierzyć, może jeszcze jestem słaba, ale nie aż tak, jak pan sądzi. Zniosę prawdę. Zniosę wszystko oprócz kłamstwa. Brak mi sił, by dłużej egzystować w niepewności. Muszę zrozumieć, co naprawdę zaszło tamtej nocy.

Zobaczyłam, że w oczach Rosalind i pani Martens błyszczą łzy.

– Kochana dziecińko! – zawołała pułkownikowa. – Ależ oczywiście, że musisz poznać prawdę! Powtarzałam to wszystkim bezustannie od nocy tamtego upiornego seansu! Ale kiedy zemdlałaś po śmierci swej ciotki, pozostali uczestnicy uparli się, żeby złożyć to głupie przyrzeczenie! Teraz, kiedy niemal otarłaś się o śmierć, oznajmiam wszystkim, że ja czuję się z niego zwolniona!

– O jakim przyrzeczeniu pani mówi? – spytał inspektor. Podobnie jak pozostali nie spuszczał teraz wzroku z pani Martens.

Pulchna kobieta otarła chustką kąciki oczu.

– Tamtej nocy mieliśmy wywołać ducha Gabriela Ackroyda – to znaczy nieżyjącego syna państwa Ackroydów. Pani Flora Jones, która miała być naszym medium, czuła się słabo, więc spytała panny Madeline, czy nie zechciałaby jej pomóc. Panna Madeline miała być głównym medium, a zadaniem pani Flory było zapisywać słowa duchów pismem automatycznym. Kiedy starsza pani nagle upadła,

wypuszczając z ust zielony obłok, panna Madeline zemdląła i widocznie uderzyła się w głowę. Gdy odzyskała przytomność, wszyscy stwierdziliśmy skonsternowani, że nie pamięta roli, jaką miała odegrać w seansie. Natomiast chwilami zdawała się z kimś rozmawiać i wspominała nam co jakiś czas o Gabrielu Ackroydzie. – Pani Martens westchnęła z głębi piersi, co objawiło się zakołysaniem jej obfitego biustu. – Możecie sobie państwo wyobrazić, jak bardzo byliśmy tym przerażeni. Stwierdziliśmy, że utrata pamięci oraz dziwne zachowanie panny Madeline muszą być skutkiem omdlenia, a przede wszystkim jej urazu głowy, który wyglądał niegroźnie, ale widać był poważniejszy, niż sądziliśmy. Potem ciotka panny Madeline została zamordowana – i biedna dziewczyna zemdląła po raz drugi. Noc i gęsta mgła uniemożliwiały wezwanie lekarza. Wówczas, kiedy panna Madeline leżała nieprzytomna, wszyscy zdecydowaliśmy, że dla jej dobra... i żeby oszczędzić jej szoku... nie będziemy wspominać o tym, że jest... to znaczy, że była... naszym medium. To był pomysł pana Cagwara, ale wszyscy się na niego zgodzili. – Pani Martens zerknęła na Clarka. – Oprócz mnie. Ja uważałam, że nie należy przed nią niczego ukrywać. Pozostali sądzili jednak, że dziwnie się zachowuje i że wspomnianie jej udziału w sesji z duchami może być dla niej zbyt wielkim i zbyt okropnym szokiem. Zwłaszcza po śmierci jej ukochanej ciotki.

– Jestem medium? – szepnęłam pytająco. Właściwie to nie było dla mnie aż tak wielkie zaskoczenie, jak pani Martens mogłaby przypuszczać.

Od wielu dni zdawałam już sobie sprawę, że widywałam duchy. A jednego z nich zdołałam pokochać...

\* \*

Po wyznaniu uczynionym przez panią Martens w pokoju nastąpiło

kilka sekund ciszy.

– Teraz ja muszę coś powiedzieć – odezwał się blady jak papier Artur. Widziałam, jak Anna rzuciła mu błagalne, zaklinające spojrzenie, jak gdyby bała się, co może wyznać. Artur smutno skinął jej głową i powiedział: – Muszę to zrobić. Panienska Madeline ma rację. Tylko prawda pozwoli wszystkim odzyskać spokój. Nie mogę dłużej znieść tego milczenia. – Zacisnął pięści.

– Proszę mówić – zachęcił go inspektor Langley. – Myślę, że pańska opowieść pomoże mnie i sierżantowi Thorntonowi wypełnić luki w naszej wersji zdarzeń.

Artur skinął głową i westchnął ciężko, po czym zapatrzył się gdzieś za okno, uciekając wzrokiem przed naszymi spojrzeniami.

– To wszystko zaczęło się na tydzień przed przyjazdem panny Madeline do Torquay. Lady Hortense poprosiła, żebym załatwił dla niej kilka sprawunków w miasteczku. Było popołudnie, kiedy wracałem bryczką, a nad wrzosowiskami pojawiła się mgła... Wszyscy państwo wiecie, że to częste zjawisko w tej okolicy, do tego bywa bardzo nagłe. Tak właśnie stało się tamtym razem. Natychmiast zapaliłem latarnie u powozu i bez popędzania koni jechałem dalej. I wtedy to się wydarzyło... – Artur zawiesił głos, a ja zamarłam. Dosłownie spijałam z jego ust każde słowo. Były jak krople wolno sączącej się trucizny. – We mgle zobaczyłem jeźdźca kłusującego na grzbiecie ciemnego konia. Nagle z za zakrętu drogi wyłonił się automobil... Przypominał jakąś piekielną maszynę pędzącą przed siebie z rykiem i z warkotem. Wierzchowiec się spłoszył, bez ostrzeżenia stanął dęba, jeździec również musiał przerazić się tego ustrojstwa... Spadł z konia, przeturlał się i pewnie byłby wstał... ale znalazł się pod kołami automobilu. – Miałam wrażenie, że powietrze w pokoju zmieniło się w lód. Kolejne słowa ścinały mi krew w żyłach. Czułam każde uderzenie własnego serca.

W uszach głośno zadudniła mi krew.

– Zginął na miejscu. Pojazd uderzył go i przeciągnął spory kawałek ze sobą... – Artur potrząsnął głową. – Miał zmasakrowaną twarz. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy... Nie miałem pojęcia, że to był syn państwa Ackroydów. – Artur szybko zamrugał i z góry na dół przetarł twarz rozcapierzonymi dłońmi.

– Gabriel... – wyszeptałam bez tchu.



## 34. CAŁA PRAWDA

*Pewnego razu, w rano po śmierci Hortense, wykrzyczałam Gabrielowi w twarz, że dla mnie jest martwy.*

*Nie wiedziałam wtedy, że to prawda.*

*Prawda, która była wiążącą go tajemnicą.*

Artur skrzyżował ramiona i nieobecny wzrokiem patrzył za okno. Jesienne słońce muskało jego bladą twarz, która zastygła w ponurym grymasie.

– Z samochodu wyskoczył Clark Cagwar. Zaczął na mnie krzyżeć. „To twoja wina! Wszyscy się dowiedzą, że spowodowałeś ten wypadek! Jak sądzisz, komu uwierzą?! Zwykłemu stajennemu czy mnie?!”. – Mężczyzna wolno wypuścił powietrze z płuc. – Spanikowałem. Uwierzyłem, że on ma rację. Bo co niby znaczy moje słowo przeciwko słowu takiego bogacza? Wiedziałem, że od chwili swojego przyjazdu do Torquay Clark Cagwar znalazł się w centrum śmietanki towarzyskiej... Światowiec zza oceanu wraca do domu – mruknął Artur z gorzką jak piołun ironią. – Wszyscy, którzy go poznali, uwielbiali go... Podobnie jak pani Flora Jones i lady Hortense.

W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Powiedział mi, że możemy zawrzeć układ. Że nikt nigdy się nie dowie o tym wypadku. Musimy tylko dobrze ukryć ciało. Mieliśmy rzucić je z klifu do oceanu... Zgodziłem się.

Wstrzymałam oddech, podczas gdy Artur mówił dalej.

– Zrobiliśmy to. Zrzućliśmy zwłoki z krawędzi klifu. Tyle tylko,

że był akurat odpływ. Mgła właśnie opadła i ujrzeliśmy, że ciało leży w płytkiej wodzie między skałami, zbyt blisko klifu, żeby mógł zabrać je ocean. – Artur potarł czoło. – Dopiero wtedy naprawdę dotarło do mnie, co się stało. Myślałem o tym, że ten nieszczęśliwy człowiek będzie tak leżał, gryziony przez kraby i ptactwo... – powiedział, a ja się wzdrygnęłam. – Że nie będzie miał żadnego grobu. Wtedy postanowiłem powiedzieć panu Cagwarowi o jaskini. zaproponowałem, żebyśmy przenieśli zwłoki do nadmorskiej groty, która od lat cieszyła się złą sławą... Wiedziałem, że nikt się do niej nie zapuszcza.

– Więc to od pana Clark Cagwar dowiedział się o tej jaskini – rzekł ściszym głosem inspektor Langley. – Ale skąd wiedziała o niej pani, panno Madeline?

Przełknęłam ślinę, próbując pozbyć się suchości w gardle.

– Artur i ja bawiliśmy się w tej grocie jako dzieci – wyjaśniłam. Zamrugałam, żeby ukryć łzy. – Aż do czasu pewnego wypadku. W jaskini uwięził nas przypływ. Gdyby nie Artur, straciłabym wówczas życie.

W pokoju znowu zapanowało głucho milczenie.

– Pływy są bardzo silne w tamtym miejscu – powiedział Artur. – Myślę, że to przypływ wyniósł ciało pana Ackroyda bliżej wejścia do jaskini. Pan Cagwar i ja ukryliśmy je bardzo głęboko. Kiedy tam szliśmy, naprawdę czułem się tak, jak gdybyśmy zstępowali do grobu.

Sierżant Thornton wolno pokiwał głową.

– Clark Cagwar postanowił użyć tego miejsca jako kryjówki na łupy skradzione z różnych domów.

– Z różnych domów?! – powtórzyłam zszokowana.

– Tak. Pan Cagwar, wykorzystując panią Florę, zdążył zorganizować w okolicy kilka seansów spirytystycznych. W ich trakcie zawsze

dochodziło do kradzieży kosztowności. To dzięki „skarbowi”, które przyniosła pani na policję, panno Madeline, zaczęliśmy uważniej badać ten trop. Ale zaraz do tego dojdziemy. Prawda, panie Cagwar?

– To wszystko podłe kłamstwa i pomówienia. Nie ujdzie wam to na sucho. Zobaczycie! – powiedział Clark i spojrzał mi prosto w oczy. – Nie wierz im, Madeline! To wszystko jakieś marne przedstawienie!

– Pan jest tutaj specjalistą od przedstawień! – sarknął na to inspektor Langley. – O ile wiemy, wszystkiego nauczył pana ojczym, amerykański aktor John Ceasar Kenrick! To on za oceanem zaznajomił pana z teatrem, prawda? Pracował na Broadwayu... Ale pan nie docenił angielskiej policji. Scotland Yard skontaktował się ze stróżami prawa w Nowym Jorku. Okazało się, że jest pan tam kompletnie spalony. Pana liczne oszustwa wyszły na jaw. Skorzystał pan z zaproszenia swojej ciotki, Flory Jones, żeby zbiec z Ameryki do Anglii, zanim będzie za późno, żeby uniknąć więzienia. Dla Flory Jones został pan praktycznie jedyną rodziną... Pewnie łatwo było panu zyskać jej przychyłność.

Kącik ust Clarka wygiął ledwie zauważalny grymas.

– Flora Jones była starą, szaloną kobietą. Sama prosiła się o kłopoty.

– Więc nie zaprzecza pan, że wykorzystał jej przywiązanie do siebie jako siostrzeńca?

– Przywiązanie? – W oczach Clarka niespodziewanie zapaliły się lodowate błyski. – Przywiązanie, które ciotka zaoferowała mi po latach, kiedy sama stała już nad grobem?! Co mi po nim?! Było za późno! Stara wiedźma wyrzekła się mojej biednej matki tylko dlatego, że ta porzuciła tyrana, jakim był mój ojciec! – W głosie Clarka wzbierał niepokonany gniew. – Nienawidziłem mojej angielskiej rodziny, bo odwróciła się od nas. Flora Jones odszukała siostrę dopiero po latach, kiedy moja matka była już umierająca.

Starej Angielki nie obchodził los własnej siostry, kiedy ta najbardziej jej potrzebowała. Gdy ojczym zachorował, a ona zaharowywała się na śmierć! Została zmuszona, by bywać w nocnych klubach Nowego Jorku... jako dziwka!

Clark skrzyżował swoje szerokie ramiona. Jak gdyby z poczuciem własnej wyższości rozejrzał się wokół po twarzach obecnych osób.

– Tak, mój ojczym być świetnym, wybitnie utalentowanym aktorem. Niestety nigdy należycie go nie doceniono... – W głosie mężczyzny zagrała bezdenna gorycz, ale zaraz powrócił do stanowczego, a jednocześnie dziwnie uprzejmego tonu. – To on zaznajomił mnie z Broadwayem... Nie tylko z jego teatrami, ale także z ciemniejszą stroną: niebezpiecznymi substancjami i ze sztuką charakteryzacji. To dzięki niemu po latach wpadłem na pomysł, jak otruć moją znenawidzoną ciotkę, podmieniając jej ulubione staroświeckie malowidło do ust...

– Wykorzystał pan cynober, zawierający silnie trującą rtęć – stwierdził ze śmiertelną powagą doktor Watson. – Na skutek długotrwałego działania rtęci charakter pisma pani Jones ulegał gwałtownym zmianom.

– Owszem – przyznał Clark z zimnym błyskiem w oku.

– To nie była jedyna trucizna, jakiej pan użył – powiedział doktor i wskazującym palcem przesunął swoje metalowe binokle w górę nosa. – Skorzystał pan również z fosforu, którym wypełnił jedną z pigułek, jakie zażywała Flora Jones. To dlatego w trakcie seansu spirytystycznego z ust staruszki wydobył się świecący obłok. Zabił pan ciotkę i pozwolił wierzyć świadkom, że ujrzeli jej ulatującą z ciała duszę.

– Skąd wie pan o fosforze? – spytał chłodnym głosem Clark.

– Przypuszczenie dotyczące fosforu nasunęła mi rozmowa z panną Madeline. Traf chciał, że akurat opiekowałem się apteką i miałem

dostęp do ksiąg aptekarza. Pan Duval troskliwie odnotowuje zakupy swoich klientów, zwłaszcza jeśli chodzi o tak niebezpieczne substancje. Wiedziałem, czego powinienem szukać, i w końcu znalazłem. Przy fosforze widniało pańskie nazwisko z datą zakupu. Musiałem poinformować policję o tym, czego się domyślam – rzekł doktor Watson.

– Pan Clark Cagwar jest świetnym aktorem – podjął poważnym tonem inspektor Langley. – W Stanach udało mu się przekonać swoją zdesperowaną ciotkę, że posiada ona zdolności medium i że jest w stanie kontaktować się z duchami. Jednocześnie nieustannie ją podtruwał i zyskiwał na nią coraz większy wpływ. Z jej pomocą organizował seanse spirytystyczne w najbogatszych nowojorskich domach. Prawie zawsze do przywołania zmarłych potrzebne były wahadełka w postaci drogich błyskotek, wisiorów i naszyjników, które znikwały później w tajemniczy sposób. Lecz w końcu genialnemu oszustowi zaczął się palić grunt pod nogami. Nadszedł czas, żeby razem z wiekową ciotką, którą skłonił do zapisania mu majątku, wsiąść na statek i popłynąć do Anglii. Tutaj również pan Cagwar i pani Jones zaczęli organizować swoje seanse z duchami. Aż do czasu, kiedy na jednym z nich zjawili się rodzice Gabriela Ackroyda. – Inspektor Langley spojrzał na sierżanta Thortona. – Przedstawi pan dalszą część tej historii, sierżancie?

Młodszy policjant skinął głową.

– Pan Cagwar nie tylko ma talent aktorski... – sierżant Thornton odchrząknął – ...ale jest również świetnym reżyserem. Zorientował się, że ma do czynienia z rodzicami ofiary tragicznego wypadku, który niedawno sam spowodował. Szybko uznał, że kontynuowanie seansów spirytystycznych w tych okolicznościach może okazać się dla niego zbyt niebezpieczne. Postanowił uciąć je raz na zawsze – to znaczy: pozbyć się swojego medium. Dlatego podrzucił Florze Jones

pigułkę z fosforem i wyreżyserował przedstawienie, w którym winą za śmierć medium można by obarczyć jakieś niespokojne, mściwe duchy...

– Tak właśnie wszyscy sądzili! – jęknęła pani Martens. – Ja sama twierdziłam, że panią Florę Jones musiały zabić jakieś zjawy...

– Tak przypuszczali wszyscy uczestnicy seansu – rzekł sierżant. – Wszyscy oprócz Clarka Cagwara. Bo pan przecież nie wierzy w duchy, prawda?

Clark nie odpowiedział. Jego niebieskie oczy lśniły dziko. Miałam wrażenie, że w skupieniu słucha tych wywodów i dogłębnie upaja się chwilą. Jak gdyby od dawna czekał na to, żeby cała uwaga otoczenia skupiła się wyłącznie na nim. Wreszcie tak się stało. On był aktorem, a my widownią, która dopiero co odkryła znaczenie wystawianej w teatrze sztuki. Wszyscy podziwiali jego zręczność, jego przebiegłość, wycucie chwili. Teraz wreszcie czuł się doceniony – ale nie winny. W jego oczach nie widziałam cienia żalu, ani krzty smutku, ani odrobiny skruchy... Nie mogłam się nadziwić, jak wielkie zmiany zaszły w jego fizjonomii. Naprawdę musiał być świetnym aktorem – miałam wrażenie, że aż do tej chwili nosił maskę.

Maska...

– A tamta twarz, która pojawiła się za oknem? – szepnęłam, mrugając oczyma. – Człowiek w masce, który przestraszył Annę? Zjawił się, kiedy Clark był razem z nami w jadalni...

– To byłem ja – odezwał się głucho Artur. Spojrzałam na niego z mieszaniną zgrozy i niedowierzania.

– Panno Madeline, przyrzekam, że nie wiedziałem, co on zamierza!  
– Artur upadł przede mną na kolana. – Gdyby tak było, nigdy bym się na to nie zgodził!

– Powiedz wszystko, co wiesz – wyszeptałam.

Pokiwał głową.

– Tamtego wieczoru Clark Cagwar poprosił mnie niespodziewanie, żebym oświetlił latarniami ścieżkę przy stawie. Była mgła i ta prośba wydała mi się zrozumiała. Pomyślałem, że goście lady Hortense może zechcą skorzystać z tarasu, zejść do ogrodu... Pan Cagwar prosił, żeby latarnie zostały wykonane z dyni. Wyjaśnił, że w porozumieniu z panią, panną Madeline, chce zrobić gościom żart, by udowodnić ciotce, że duchów nie ma. – Artur głośno przełknął ślinę. – Poprosił mnie, żebym założył papierową maskę i o wskazanej porze pojawił się za oknem, udając widmo. Pan Clark miał mnie złapać i przyprowadzić do domu, a następnie zdemaskować... Nie powinienem był się na to godzić. Ale raz już zostałem jego współnikiem. Gdybym mu odmówił, mógłby dalej mnie szantażować. Groził, że wyjawi, co zrobiliśmy z ciałem Gabriela Ackroyda...

– Więc przygotował pan latarnie jak na Halloween i umieścił je wokół stawu. – Inspektor Langley pokiwał głową i westchnął ciężko. – Tym samym pomógł pan naszemu oszustowi w jego przedstawieniu. Oświetlił pan ścieżkę, dzięki czemu morderca nie wpadł do stawu, lecz w gęstej mgle spokojnie okrążył dom. A potem, kiedy reszta towarzystwa szukała widma, pan Cagwar przemknął się do sypialni lady Hortense...

Na moment zakryłam twarz dłońmi, próbując zebrać myśli. Oddychałam głęboko. Wszyscy ucichli.

– Dlaczego zabiłeś moją ciotkę? – szepnęłam w końcu zmienionym, nieswoim głosem.

Clark spojrzał mi w oczy i jego zimne jak lód spojrzenie złagodniało.

– Zrobiłem to dla ciebie, Madeline...

– Dla mnie?! – Wzdrygnęłam się z niedowierzaniem i odrazą.

– Nie chciałem cię stracić... Od pierwszej chwili wiedziałem,

że jesteś wyjątkowa... Ale twoja ciotka wiedziała o naszyjniku. Nie chciałem, żeby to się wydało. Nie chciałem, żebyś mnie podejrzewała...

– Nie chciałeś, żebym podejrzewała cię o kradzież, więc postanowiłeś popełnić kolejne morderstwo?!

To, o czym mówił, było chore, kompletnie surrealistyczne...

– Spytałem, czy rozmawiałaś z Hortense, pamiętasz? Odparłaś, że nie, że ona spała. Wtedy uznałem, że już nie powinna się obudzić.

Zadrżałam.

*Czy naprawdę moje niewinne kłamstwo kosztowało ciotkę Hortense życie?!*

– Nie chciałem, żeby lady Hortense powiedziała ci o tym brylancie. I pragnąłem, byś odziedziczyła jej majątek. Żebyś nie była już tylko jej biedniejszą krewną. Madeline... – Teatralnym gestem Clark rozłożył ramiona, jak gdyby ogarniał nimi dom, park, ogród... cały świat wokoło. – Dostałaś to wszystko w spadku... dzięki mnie.

– Dzięki tobie? – powtórzyłam cicho, niczym echo. Moje ciało pokrywała gęsia skórka. – Zabiłeś jedną z najdroższych mi osób, a teraz mówisz, że zrobiłeś to... żeby mi pomóc?

Zaniemówiłam. Nie próbowałam nawet tego pojąć. Poczułam, że jeśli będę się starała, mój umysł zbliży się niebezpiecznie blisko do granicy, za którą rozciągało się szaleństwo.

– Sama już nie wiem, w co mam wierzyć i co myśleć! Co było iluzją, a co w tym wszystkim jest prawdziwe!

– Moja miłość była prawdziwa, Madeline...

– Przestań!

Nie mogłam dłużej patrzeć na Clarka.

– Anonimowy list i hortensje były od ciebie? – spytałam Artura.

Przytaknął wolnym skinieniem głowy.

– Wiedziałem już, co to za człowiek, panno Madeline,



i próbowałem panienkę jakoś przed nim ostrzec. Zabrakło mi odwagi, żeby działać wprost. W końcu on wiedział, że to ja byłem człowiekiem w masce, wtedy, za oknem, w środku mglistej nocy... Mógł teraz oskarżyć mnie, że to ja jestem mordercą... Dlatego najpierw zostawiłem w panienki pokoju tamten list. Nie piszę zbyt często, zresztą bałem się, że panienka pozna pismo... Dlatego powycinałem litery z gazety. Ułożyłem z nich krótką wiadomość: PRAWDA MUSI WYJŚĆ NA JAW. Liczyłem, że panienka pokaże ten list panu Clarkowi i może wtedy on się trochę przestraszy... Chciałem, żeby odsunął się od panienki. Żeby w końcu zostawił ten dom w spokoju.

Odetchnęłam głęboko.

– A bukiet hortensji z inicjałami M.H.?

Artur przygryzł usta.

– Byłem coraz bardziej zdesperowany. Na wieść, że tego dnia idzie z nim panienka na kolację, ogarniała mnie bezsilna wściekłość. Co tu mówić, naprawdę się o panienkę bałem. Nie wiedziałem już, co robić. Ten bukiet to miała być zakamuflowana wiadomość...

– Odczytałam ją – przerwałam cichym głosem. – Pamiętałam, jak ciotka Hortense kochała kwiaty, których nazwa brzmiała jak jej imię. „M.H.”. To miało znaczyć „Morderca Hortense”, prawda?

– Tak. Wiedziałem, że się panienka domyśli!

– Nie byłam pewna... Na chwilę przypomniał mi się nasz dziecinny szyfr, którym ty i ja posługiwaliśmy się jako para niedorostków... Ale Rosalind sądziła, że to Clark zostawił bukiet na ganku.

– Miałem nadzieję, że może skojarzy panienka pana Cagwara z wiadomością w bukiecie, właśnie dlatego, że tego dnia była z nim panienka umówiona...

Dotknęłam zaciśniętej z napięcia dłoni Artura.

– Przez cały czas próbowałam mnie chronić... – szepnęłam przez

ściśnięte gardło. – I to od czasu, kiedy byliśmy dziećmi... A ja sądziłam, że to ty jesteś mordercą! Czy możesz mi wybaczyć?

Potrząsnął głową.

– Nie żywię do panienki żadnej urazy. Wręcz przeciwnie. To ja błagam panienkę o wybaczenie!

Mocno przygryzłam usta i wzięłam kilka głębokich oddechów. W mojej głowie kłębiły się dziesiątki wspomnień...

– Po tym, jak Anna próbowała spalić twoją koszulę...

Artur wstał. Przy wszystkich wziął Annę za rękę.

– Bała się o mnie i zrobiła to z miłości. Odwzajemnionej. Już to sobie wyjaśniliśmy.

Anna spłonęła rumieńcem czerwiejszym niż ogniście rudy kolor jej włosów.

– To, co się stało wtedy w ogrodzie... – zaczął cicho Artur, kierując te słowa do mnie.

– ...było pomyłką – dokończyłam za niego. Popatrzyłam na tych dwoje razem: przerażonych, szukających w sobie nawzajem oparcia. – Już o tym zapomniałam. Nie żywię urazy.

Zapadło milczenie, w którym słychać było pochlipywanie pań.

Przerwał je zadumany doktor Watson.

– Gdyby z kolei pan Cagwar nie żywił urazy do swej ciotki, zapewne nie doszłoby do tych wszystkich tragedii.

Nie byłam pewna, czy jestem w stanie się z nim zgodzić. Być może spotkanie z Florą Jones po latach konfliktu z rodziną matki obudziło w Clarku najgorsze instynkty... Mimo to sądziłam, że korzenie zła sięgały znacznie głębiej i dalej. Do jego umysłu, jego przeszłości... Clark święcił triumfy jako oszust w Nowym Jorku. Żerował na ludziach, którzy stracili swoich bliskich. Ci w desperacji robili wszystko, co sugerował im znawca spirytyzmu... A jego sugestie mogły mieć olbrzymią moc.

– Kiedy zemdlałam w trakcie seansu, wcale nie uderzyłam się w głowę, prawda? – spytałam cicho, spoglądając na milczącego Clarka.

– Nie uderzyła się pani? – odezwała się jak echo pani Martens. – Ale... jak to? Więc dlaczego nic pani nie pamiętała? Nic o tym, że to pani była naszym medium? Panno Madeline, doprawdy nic z tego nie rozumiem! – Kobieta splotła swe pulchne dłonie na krągłych piersiach. W jej zaczerwienionych oczach kołysały się łzy, którym nie pozwalała spłynąć na policzki.

– Utrata pamięci to objaw przebytej hipnozy – wyjaśniłam. – Pan Clark Cagwar interesuje się pracami Zygmunta Freuda z zakresu psychologii i psychiatrii. Zapewne odkryciami nauczyciela Freuda, Jeana-Martina Charcota również, tymi odnośnie do hipnozy...

Wszyscy, łącznie z detektywami i z Clarkiem, spojrzeli na mnie zdumieni.

– Więc on panią zahipnotyzował, panno Madeline? – wyjąkała przerażona pani Martens.

– Tak przypuszczam. Być może nie tylko mnie, swoją ciotkę również. A może nas wszystkich. Wywołał hipnozę, posługując się kołyszącym się wahadłem. Czy mam rację? – spytałam cicho, walcząc z ciężką grudą w gardle i licząc na to, że Clark tym razem powie prawdę.

Spojrzał na mnie swoimi intensywnie błękitnymi oczami i zdało mi się, że znów dostrzegam w nich człowieka, którego poznałam pierwszego wieczoru we Wzgórzu Mgieł.

– Chciałem mieć cię dla siebie, Madeline – rzekł cicho. – Chciałem, żebyś także mnie pokochała. Ale twoje uczucia nie poddały się moim sugestiom.

## EPILOG: POWIEW JESIENI

W wieczór po aresztowaniu Clarka wpółleżałam na szezlongu w salonie i długo rozmyślałam, patrząc na tańczące w kominku płomienie. Wróciłam pamięcią do mojego pierwszego wieczoru we Wzgórzu Mgieł, kiedy zostałam przedstawiona Clarkowi. Potem próbowałam przypomnieć sobie wszystkie nasze spotkania, uśmiechy i rozmowy – w poszukiwaniu czegoś, co mi umknęło. Rozpaczliwie szukałam w moich wspomnieniach jakiegoś sygnału, gestu albo spojrzenia... czegokolwiek, co mogłoby zdradzić mi wcześniej, że to on jest mordercą. Bezskutecznie. Jedynym, co przychodziło mi do głowy, był tytuł operetki Victora Herberta wystawianej na Broadwayu, o której opowiedział mi Clark w Dębowym Parku: *The Fortune Teller*. Pomyślałam, że tamto przedstawienie, na które zabrał go ojczym, musiało wryć się Clarkowi głęboko w pamięć...

Czy stanowiło inspirację dla jego oszustw? Wszak *The Fortune Teller* to operetka o kobiecie przepowiadającej przyszłość i jednocześnie o osobie, która zostaje wzięta za kogoś, kim nie jest... W głównych bohaterach sztuki Herberta doszukiwałam się podobieństwa do dziwnej pary, jaką stworzyli w noc seansu spirytystycznego Clark Cagwar i pani Flora Jones.

To podobieństwo wydawało mi się wręcz złowrogie...

Szelest ognia brzmiał kojąco i tak przyjemnie na tle wieczornej ciszy panującej w domu. Za oknami cichuteńko świstał wiatr. Z portretu zawieszzonego nad kominkiem ciotka Hortense pochylała się nade mną dobrotliwie – w jasnej sukni, zielonooka i złotowłosa

niczym cudny opiekuńczy anioł...

\* \*

Tamtej nocy mi się przyśniła. Jej twarz była młoda i jeszcze piękniejsza niż na portrecie, który kazałam powiesić nad kominkiem w salonie. W długiej jasnej sukni z turniurą stała w ogrodzie i z wiklinowym koszykiem w dłoni pochylała się nad krzewami kwitnących hortensji. Nagle wyprostowała się z uśmiechem i pomachała do kogoś ręką. Najpierw myślałam, że do mnie, ale ciocia wcale mnie nie widziała. Zobaczyłam, że z za rogu domu wyłonił się wuj Roger – ciemnowłosy i wysoki, dokładnie taki, jakim go pamiętałam z dzieciństwa. Pocałował ją i ich dłonie splotły się w uścisku, którego moc poczułam głęboko w sercu. Hortense położyła głowę na ramieniu Rogera. Stojąc na ganku, patrzyłam, jak wtuleni w siebie oboje odchodzą wąską ścieżką w cieniu kamiennej pergoli. Za nimi wiatr obsypywał dróżkę herbacianymi płatkami przekwitających róż.

Obudziłam się na poduszce mokrej od łez, ale z odczuciem ulgi.

\* \*

Przez kilka dni zastanawiałam się nad tym, czy powinnam spróbować sprzedać posiadłość. Ojciec, który obecnie przebywał z moją macochą i jej synem w Londynie, namawiał mnie do tego w długim liście. Wahałam się, co mu odpisać, chociaż myślę, że w głębi duszy od początku dobrze znałam właściwą odpowiedź. Mój ojciec miał teraz nową rodzinę i upragnionego męskiego spadkobiercę – a ja wcale nie chciałam wracać do stolicy. Tutaj, pośród wrzosowisk, wreszcie poczułam się wolna. Wiedziałam, że różne plotki będą zapewne jeszcze przez dłuższy czas krążyły

po Torquay, ale miałam również bolesną pewność, że nic nigdy nie zmieni przeszłości. Musiałam to zaakceptować.

Jedyne, co mogłam zrobić, to wpłynąć na moją przyszłość.

\* \*

Codziennie przychodziłam na nadmorski cmentarz w Torquay i obserwowałam, jak lato ustępuje jesiennym chłodom. Brzozy przypominały złote wodotryski – listki spływały z nich na wiatr niczym deszcz kropel. Stare dęby i kasztanowce mieniły się brązami i płomienną czerwienią, na której tle odcinały się szare mury kamiennego kościoła na skałach.

Spędziłam przy grobie Gabriela dziesiątki godzin – a jednak jego strata bolała nadal. Długo nie mogłam się pogodzić z myślą, że jego życie urwało się, kiedy tak wiele było jeszcze przed nim. Wypadek przekreślił przyszłość, w której mogliśmy się spotkać, zakochać się w sobie... mieć dla siebie czas i naszą młodość.

Ale teraz Gabriel przynajmniej miał grób. Jego ciało nie tkwiło już porzucone w jaskini, lecz spoczęło w rodowej mogile Ackroydów. Istniało już miejsce, gdzie jego bliscy mogli go opłakiwać.

Doktor Watson powiedział mi kiedyś, że pogrzeb pomaga uporać się z żałobą i rozstać się z tymi, których wciąż kochamy. Miałam nadzieję, że te słowa okażą się prawdą. Gabriel odszedł, ale moja miłość żyła nadal. Przysiadając na ławeczce przy zimnym kamiennym grobie, zastanawiałam się, czy to uczucie kiedyś minie. Zostanie we mnie czy obróci się we wspomnienie?

Uniosłam wzrok znad nagrobka na odgłos szelestu kroków i suchych liści. Ścieżyną między grobami i kamiennymi krzyżami wolno szła ku mnie kobieta w czerni – Sara Ackroyd.

Wstałam z ławeczki i dygnęłam przed nią głęboko. Pastor wspominał mi, że pani Sara przychodzi tu popołudniami – dlatego ja

zwykle zjawiałam się wcześnie rano. Wymieniłyśmy pozdrowienia. Niespodziewanie Sara Ackroyd objęła mnie i mocno przytuliła. Odpowiedziałam jej tym samym. Otarła oczy i usiadła na ławeczce z kutego żelaza przed grobem Gabriela, po czym wskazała mi miejsce obok, to samo, które zajmowałam do tej pory.

– Nie chciałam pani spłoszyć, panno Madeline – powiedziała ze smutnym uśmiechem. – Choć wiem od pastora, że pani mnie unika... Ale nie mam pani tego za złe.

– To nie tak – odparłam cicho, lekko się rumieniąc. – Po prostu pomyślałam, że moja obecność... może pani przeszkadzać. Przypominać o seansie spirytystycznym i o zabójstwie mej ciotki. O tym wszystkim... o czym pewnie chciałyby pani zapomnieć.

– Pani obecność miałyby mi przeszkadzać? – powtórzyła Sara Ackroyd z niedowierzaniem. Potrząsnęła głową i poprzez woalki spływające na nasze twarze na chwilę popatrzyłyśmy sobie w oczy.

Teraz obie byłyśmy w żałobie, miałyśmy na sobie czarne suknie i peleryny, a także czarne kapelusze z woalkami. Sara Ackroyd nosiła się w czerni po śmierci syna, a ja po śmierci ukochanej ciotki. Nikt nie domyślał się, że tak naprawdę opłakuję w tej chwili dwie osoby: moją ciotkę Hortense oraz młodego mężczyznę, którego na przekór wszystkiemu wciąż kochałam.

– Być może nie potrafiłam tego wyrazić, ale czuję dla pani wyłącznie dozgonną wdzięczność. Cieszę się, że pani tu przychodzi – wyznała Sara Ackroyd. – Już dawno przestałam zwracać uwagę na plotki w miasteczku. Prawda jest taka, że Gabriel mógł wreszcie spocząć w pokoju tylko dzięki pani. Gdyby nie poszła pani wtedy na policję... pewnie nigdy nie znaleźliby jego ciała. To pani ocaliła mnie od szaleństwa. Nie mogłam dłużej znieść tamtej niepewności. Najgorsze było... podejrzewać jego śmierć, ale nie wiedzieć, co tak naprawdę się stało...

Zapadła między nami chwila ciszy, w trakcie której pani Sara otarła łzę spływającą po jej policzku. Obserwowałam, jak udaje się jej wygrać krótką walkę z wzbierającą w niej chęcią płaczu. Z godnością uniosła podbródek. Jej blada twarz stała się nieomal spokojna.

– Jeszcze pani nie podziękowałam. Do tej pory nie miałam sił... i chyba także odwagi, żeby móc o tym wszystkim mówić. Ale dziś, kiedy zobaczyłam panią przy jego grobie, panno Madeline... Poczułam, że już pora. Pożałowałam, że nigdy go pani nie poznała... – Kobieta urwała, wpatrując się w kamienny krzyż. Zawiał wiatr i rzucił na grób kilka złotych liści.

Ja również poczułam chęć, by jej coś wyznać, by powiedzieć, że to nieprawda – rozmawiałam z Gabrielem tamtego wieczoru, czułam jego bliskość... Ale milczałam. Tak jak milczą groby.

Sara Ackroyd ścisnęła mnie za rękę.

– Nadal nic pani nie pamięta ze swojego udziału w tamtym seansie?

Pokręciłam głową.

– Niestety nie. Prawdopodobnie Clark Cagwar mnie wtedy zahipnotyzował. A może rzeczywiście uderzyłam się w głowę... Nie wiem.

Dama w czerni skinęła ze zrozumieniem.

– Wielka szkoda... – Zajrzała w moje oczy. – Bo widzi pani, panno Madeline, ja jestem pewna, że pani jest prawdziwym medium. To, jak się pani wtedy zachowywała, co pani mówiła... było takie rzeczywiste. Dzięki pani miałam wrażenie, że Gabriel naprawdę jest z nami. Niemal to czułam.

Przełknęłam ślinę.

– Wiem, że nie powinno się mówić źle o zmarłych... – kontynuowała pani Ackroyd – ...ale kiedy teraz o tym myślę, to w porównaniu z panią Flora Jones wyglądała na oszustkę.



– A ja myślę, że pani Flora Jones mogła być prawdziwym medium  
– powiedziałam łagodnie. Nie potrafiłam zapomnieć, że w wieczór seansu to właśnie ciotka Clarka przedstawiła sobie mnie i Gabriela. – Niestety dała się omamić siostrzeńcowi, który wykorzystywał ją do swoich oszustw. Policja zabrała z nadmorskiej jaskini resztę kosztowności, które ukradł z kilku tutejszych domów.

Pani Ackroyd skinęła głową.

– Na szczęście nie zdążył skraść tego – rzekła cicho, po czym wyjęła coś z torebki i otworzyła przede mną dłoń w cieniutkiej czarnej rękawiczce. To był wisior ze srebrnym krzyżem, którego Clark użył jako wahadełka. Krzyż zaśnił na ciemnym tle niczym błyszcząca gwiazda.

– Należał do Gabriela. Chciałabym, żeby pani go wzięła.

– Nie jestem pewna, czy mogę... – Spłoszyłam się lekko.

– Proszę go wziąć. Pomogła mi pani odzyskać ciało syna, panno Madeline. Gdziekolwiek on teraz jest, na pewno chciałby, żebym go pani podarowała.

Wzruszona ujęłam krzyż i przycisnęłam go do serca.

– Dziękuję, pani Ackroyd.

– To ja dziękuję, Madeline.

Na moment spomiędzy chmur zaświeciło słońce.



*KONIEC*

# Przypisy

[1] Fragment Księgi Mądrości według Biblii Tysiąclecia.

[2] Cytat z Pieśni nad Pieśniami według Biblii Tysiąclecia.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

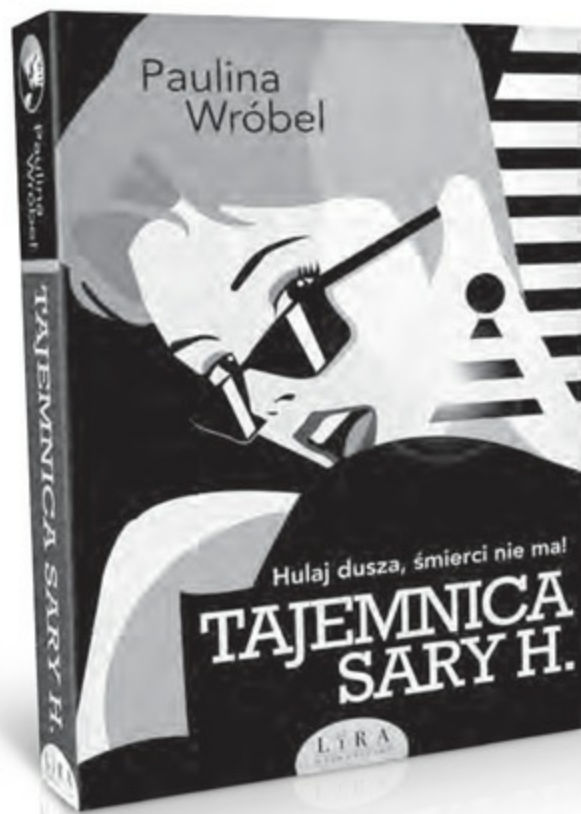


Róża Zimmerman, wychowanka sierocińca, dostaje się na pierwszy rok studiów medycznych, a jednocześnie musi rozwikłać tajemnicę związaną ze swoim pochodzeniem... Przenieś się w czasy, kiedy pierwsze kobiety wkraczały w świat medycyny i daj się uwieść mocy „Różanego eteru“!

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



To zabawna powieść obyczajowa...  
trochę nie z tego świata! Zapomniana gwiazda filmowa  
Małgorzata Lindberg niespodziewanie budzi się w cudzym  
ciele. Jaką cenę zapłaci za swoją drugą szansę?

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

**JUŻ W KSIĘGARNIACH**



Wdowa po aptekarzu ze Skąły, Karolina Morawiecka, to miejscowa panna Marple, która z pomocą zakonnicy, psa i znajomości sztuki kulinarnej angażuje się w policyjne śledztwo. Lira poleca doskonale komedie kryminalne, w których Karolina Morawiecka (autorka) zaprasza do rozwikłania zagadki wspólnie z Karoliną Morawiecką (bohaterką)!

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Książki Iwony Kienzler  
– znanej popularyzatorki  
historii i autorki bestsellerów  
biograficznych.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

L i R A  
WYDAWNICTWO



Tajemniczy wiktoriański dom na Wzgórzu Mgieł, w epoce popularności seansów spirytystycznych... Młoda arystokratka, Madeline Hyde, przyjeżdża z Londynu do posiadłości ciotki Hortense, by leczyć złamane serce. Bierze udział w seansie wywoływania duchów, podczas którego niespodziewanie dochodzi do tragedii. Czy duszę ofiary porwały istoty z zaświatów? A może dokonano sprytnego morderstwa?

To niejedyny dramat, jaki rozegra się w domu lady Hortense. Madeline Hyde wraz z nieprzeniknionym Gabrielem Ackroydem próbują rozwikłać zagadkę, jaką kryje stara posiadłość otoczona wrzosowiskami. Granice między miłością i zbrodnią zaczynają zacierać się we mgle...

*Poznaj tajemnice domu na Wzgórzu Mgieł  
i daj się zahipnotyzować „Damie z wahadełkiem”!*



PAULINA KUZAWIŃSKA

– absolwentka romanistyki na Uniwersytecie Warszawskim, zadebiutowała powieścią fantasy pt. „Zakłęcie na wiatr”. Właścicielka uroczonego mopsa Bazyla, miłośniczka gier planszowych oraz podróży. Chciałaby móc przeżyć wiele różnych życ – na szczęście znalazła na to wspaniały sposób, czyli wymyślanie opowieści.

www.wydawnictwolira.pl

**L I R A**  
WYDAWNICTWO

Patronat medialny



  
SZTUKATER.PL

ISBN 978-83-66229-55-6



9 788366 229556 >

cena: 36,99 zł  
(w tym 5% VAT)